

radar

magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал

2(4)
sierpień
august
серпень
2011



RADAR
magazyn literacki
Kraków 2011, nr 04
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKCJA
Renata Serednicka (redaktor naczelna)
Małgorzata Różańska (sekretarz redakcji)
Urszula Pieczek (serwis internetowy)

zespół redakcyjny
Birgit Bauer
Małgorzata Olszewska
Robert Ostaszewski
Ostap Sływynski
Bettina Spoerri
Igor Stokfiszewski
Natalka Sniadanko
Andreas Volk
Isabelle Vonlanthen
współpracownicy
Iwona Boruszkowska
Alexander Lay

RADAR ONLINE
www.e-radar.pl

PROJEKT GRAFICZNY, ILUSTRACJE, SKŁAD
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska
(Pracownia Grafiki), Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

PROJEKT OKŁADKI
Dorota Gawryszewska

WYDAWCA
Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUK
Drukarnia Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

NAKŁAD
3.000 egzemplarzy

NUMER ZREALIZOWANO ZE ŚRODKÓW:
Szwajcarskiej Fundacji dla Kultury PRO HELVETIA,
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
oraz Allianz Kulturstiftung

WYKONANIE OKŁADKI:

ZDJĘCIA
© Matthieu Gafsou

Ważne informacje

Ważne informacje

RADAR
literaturmagazin
Krakau 2011, Nr. 04
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKTION
Renata Serednicka (chefredakteurin)
Małgorzata Różańska (redaktionssekretärin)
Urszula Pieczek (internetseite)

redaktionsmitglieder
Birgit Bauer
Małgorzata Olszewska
Robert Ostaszewski
Ostap Sływynski
Bettina Spoerri
Igor Stokfiszewski
Natalka Sniadanko
Andreas Volk
Isabelle Vonlanthen
zusammenarbeit
Iwona Boruszkowska
Alexander Lay

RADAR ONLINE
www.e-radar.pl

GRAPHIK, ILLUSTRATIONEN, SATZ
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska
(Pracownia Grafiki), Warschau
www.pracowniagrafiki.pl

UMSCHLAGGESTALTUNG
Dorota Gawryszewska

HERAUSGEBER
Verein Villa Decius
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUCK
Druckerei Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

AUFLAGE
3.000 Exemplare

VERWIRKLICHT AUS DEN MITTELN VON:
Schweizer Kulturstiftung PRO HELVETIA,
Allianz Kulturstiftung
Minister für Kultur und Nationalerbe

WYKONANIE OKŁADKI:

FOTOS
© Matthieu Gafsou

Ważne informacje

Ważne informacje

РАДАР
літературний журнал
Краків 2011, № 04
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

РЕДАКЦІЯ
Рената Середницька (головний редактор)
Малгожата Ружанська (секретар редакції)
Уршуля Печек (веб-редактор)

редколегія
Біргіт Бауер
Малгожата Ольшевська
Роберт Осташевський
Остап Сливинський
Беттіна Спюері
Ігор Стокфішевський
Наталка Сняданко
Андреас Фольк
Ізабель Фонлантен
співпраця
Івона Борушковська
Александр Лей

РАДАР ОНЛАЙН
www.e-radar.pl

ГРАФІЧНИЙ ДИЗАЙН, ІЛЮСТРАЦІЇ, ВЕРСТКА
Дорота Гавришевська
Анна Яворська
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРОЕКТ ОБКЛАДИНКИ
Дорота Гавришевська

ВИДАВЕЦЬ
Асоціація Вілла Деціус
вул. 28 Липня 17а
PL 30-233 Краків
www.villa.org.pl

ДРУК
Друкарня Лейко
вул. Романовіча 11
PL 30-702 Краків
www.leyko.pl

НАКЛАД
3 000 примірників

ЗА ФІНАНСОВОЇ ПІДТРИМКИ
Швейцарської культурної фундації PRO HELVETIA
Міністра Культури і Національної Спадщини
та Фундації Allianz

WYKONANIE OKŁADKI:

ФОТО
© Маттью Гафсу

SCHOKOLADE UND LITERATUR

Ehe man sichs versieht, sind die Sommerferien auch schon vorbei. Und da es von den schönen Dingen nie genug geben kann, wollen wir noch einmal in Gedanken zurückkehren zu den Annehmlichkeiten des Sommers, den Reisen. Diesmal verlassen wir das deutsch-polnisch-ukrainische Terrain und werfen einen Blick auf die Schweiz. Bei diesem Land denkt man sofort an Neutralität, renommierte Banken, genau gehende Uhren und erlesene Schokolade, aber schließlich ist das nicht alles. Die Schweiz hat eine sehr interessante Gegenwartsliteratur – eine Besonderheit an ihr ist, dass sie in verschiedenen Sprachen und Dialekten geschrieben wird. Wir haben beschlossen, sie Ihnen etwas näherzubringen. Ans Herz legen möchten wir Ihnen die Lektüre von Annette Mingels Essay *Fremd bleiben*, dazugehören, die zeigt, was es heißt, Schriftsteller in der Schweiz (nicht unbedingt ein Schweizer Schriftsteller ...) zu sein. Wärmstens empfehlen wir auch die anderen Texte aus der Schweiz, die es möglich machen diese (zumindest in Polen und in der Ukraine) noch wenig bekannte Literatur besser kennenzulernen.

Das Motiv der Reise, das mit dem Kennenlernen und Aneignen neuer Welten verbunden ist, zieht sich übrigens durch viele Texte in dieser Nummer. Jurij Andruchowytsh (er ist ein Meister seines Faches!) erzählt in seinem ausgezeichneten Text *München, 1992* von seinem ersten Aufenthalt im Westen als Stipendiat in der bayerischen Hauptstadt. Dagegen spielt in Taras Prochaskos Prosa *Omertà*, die von der ukrainischen Mentalität, beziehungsweise (um einen etwas aus der Mode geratenen Begriff zu benutzen) der ukrainischen Seele handelt, ein besahy – eine Art Reisesack, der für den Umherziehenden unentbehrlich ist – eine Schlüsselrolle. Aber auch die Prosa der polnischen Autoren Inga Iwasiów und Jacek Wangin berühren das Thema „Reisen“. Denn was ist die Literatur im Grunde auch anderes als eine nicht enden wollende Reise in das Innere der Welt und des Selbst? Sie brauchen keine Fahrkarte lösen, müssen sich keine Sorgen machen wegen der Flughafengebühr und des Übergepäck's ... Um sich gemeinsam mit uns auf die Reise zu begeben, genügt es, die nächste Seite umzublättern. Auf geht's!

CZEKOLADA I LITERATURA

Wakacje, wakacje i po wakacjach. Ponieważ dobrego nigdy za wiele – wróćmy pamięcią do wakacyjnych przyjemności, czyli podróży. Tym razem wychnęliśmy poza niemiecko-polsko-ukraińskie opłotki i postanowiliśmy przyjrzeć się bliżej Szwajcarii. Ten kraj kojarzy się głównie z neutralnością, renomowanymi bankami, niezawodnymi zegarkami i wyborną czekoladą, ale to przecież nie wszystko. Szwajcaria ma bardzo ciekawą literaturę współczesną, a do tego dosyć specyficzną, bo tworzoną w różnych językach i dialektach. Postanowiliśmy przybliżyć ją naszym czytelnikom. Szczególnie polecamy esej Annette Mingels *Obcość – swojskość – przynależność*, który przedstawia specyfikę bycia pisarzem w Szwajcarii (niekoniecznie bycia pisarzem szwajcarskim...). Ale też inne teksty autorów ze Szwajcarii, które pozwolą lepiej poznać tę interesującą, choć niezbyt dobrze znaną (przynajmniej w Polsce i na Ukrainie) literaturę.

Zresztą, motyw podróży, poznawania i osvajania nowych światów przewija się w wielu tekstach zamieszczonych w tym numerze. Jurij Andruchowycz w świetnym (co mistrz, to mistrz!) tekście *Monachium, 1992* opowiada o swoim pierwszym pobycie na Zachodzie podczas stypendium w stolicy Bawarii. Zaś w prozie Tarasa Prochaśko *Omertà*, traktującym o ukraińskiej mentalności i – by tak rzec – duszy (choć to słowo jest ostatnio niemodne...), kluczowe pojęcie to „biesagi” – rodzaj worka podróżnego, niezbędego dla wędrowcy. Ale można uznać, że również proza polskich autorów, którą prezentujemy czytelnikom, Ingi Iwasiów i Jacka Wangina, w pewnym stopniu dotyka tematu podróżowania. Bo w gruncie rzeczy czymże jest literatura jeśli nie niekończącą się podróżą w głąb świata i samego siebie? Aby ruszyć z nami w podróż, nie trzeba mieć biletu, martwić się opłatami lotniskowymi i problemami z nadbagażem... Wystarczy przekładać kartki. W drogę!

ШОКОЛАД І ЛІТЕРАТУРА

Не встигнеш озирнутися, як уже настав кінець відпустки. Але оскільки доброго ніколи не буває забагато – повернімося подумки до приємностей відпустки, тобто подорожі. Цього разу ми вибралися трохи далі за німецько-польсько-українські терени і вирішили придивитися ближче до Швейцарії. Ця країна асоціюється насамперед із нейтральністю, солідними банками, годинниками, які ніколи не підводять, і ексклюзивним шоколадом, але це не все. Швейцарія має ще і цікаву сучасну літературу, до того ж, доволі специфічну, бо написану різними мовами і діалектами. Ми вирішили наблизити її до наших читачів. Радимо почати з есею Аннетте Мінгельс *Залишатися чужим, бути своїм*, який представляє специфіку існування письменника у Швейцарії (що не обов'язково тотожне з терміном „швейцарський письменник...”). Але варто прочитати й інші тексти авторів зі Швейцарії, які дозволять краще пізнати цікаву, хоча і не надто відому (принаймні в Польщі та Україні) літературу.

Зрештою, мотив подорожі, пізнавання і освоєння нових світів з'являється у багатьох текстах цього номеру РАДАРУ. Юрій Андрухович у своєму чудовому тексті *Мюнхен, 1992* (майстер є майстер!) розповідає про своє перше знайомство із Заходом під час перебування на стипендії у баварській столиці. Прозовий текст Тараса Прохаська під назвою *Омерта* розповідає про українську ментальність, так би мовити, про душу (хоча це слово останнім часом і вийшло з моди...), ключове поняття цієї прози – „бесаги” – щось на зразок подорожньої сумки, без якої мандрівникові не обійтися. Але можна погодитися і з тим, що проза польських авторів Інги Івасюв і Яцка Вангіна певною мірою також торкається теми подорожування. Бо за суттю своєю література є нічим іншим, як безкінечною подорожжю у глибину світу і самого себе, хіба не так? Щоб вирушити з нами у подорож, не потрібно мати квитка, перейматися зборами аеропортів і проблемами із зайвим багажем... Достатньо перегортати сторінки. У дорогу!

3 **FREMD BLEIBEN, DAZUGEHÖREN. VOM SCHREIBEN IN DER SCHWEIZ** **OBCOŚĆ, SWOJSKOŚĆ, PRZYNALEŻNOŚĆ. BYĆ PISARZEM W SZWAJCARII** **ЗАЛИШАТИСЯ ЧУЖИМ, БУТИ СВОЇМ. ПРО ПИСАННЯ У ШВЕЙЦАРІЇ**
{Annette Mingels Annette Mingels Аннетте Мінгельс } tłum. Agnieszka Gadzała, переклад: Наталка Сняданко

11 **EIN SYMBOLISCHES TAGEBUCH** **SYMBOLICZNY DZIENNIK** **СИМВОЛІЧНИЙ ЩОДЕННИК**
{Christian Zehnder Christian Zehnder Крістіан Цендер } tłum. Elżbieta Michałowska, переклад: Софія Онуфрив

16 **JULIA FIEDORCZUK** **JULIA FIEDORCZUK** **ЮЛІЯ ФЕДОРЧУК**
Übers. von Andre Rudolph, переклад: Остап Сливинський

22 **NORA GOMRINGER** **NORA GOMRINGER** **НОРА ГОМРІНГЕР**
tłum. Ryszard Wojnakowski, переклад: Юрко Прохасько

29 **JÜRIG HALTER** **JÜRIG HALTER** **ЮРІ ГАЛЬТЕР**
tłum. Ryszard Wojnakowski, переклад: Сергій Жадан

36 **OLEG LIŠEHA** **OLEH LYSCHEHA** **ОЛЕН ЇСЗЕНА**
übers. von Beatrix Kersten, tłum. Aneta Kamińska

42 **WASYL MACHNO** **WASYL MACHNO** **ВАСИЛЬ МАХНО**
tłum. Adam Wiedemann, übers. von Claudia Dathe

51 **ADAM WIEDEMANN** **АДАМ ВІДЕМАН** **ADAM WIEDEMANN**
переклад: Остап Сливинський, übers. von Thomas Weiler

58 **MÜNCHEN, 1992** **MÜNCHEN, 1992** **MONACHIUM, 1992**
{Юрій Андрухович Juri Andruchowycsch Jurij Andruchowycz }
übers. von Sabine Stöhr, tłum. Katarzyna Kotyńska

71 **SEZ NER SEZ NER ZAC NER**
{Arno Camenisch Arno Camenisch Арно Каменіш }
tłum. Krzysztof Jachimczak, переклад: Христина Назаркевич

80 **NA KRÓTKO** **НЕНАДОВГО** **FÜR KURZE ZEIT**
{Inga Iwasiów Inga Івасюв Inga Iwasiów }
переклад: Христина Стельмах, übers. von Herbert Ulrich

92 **OMERTA** **OMERTA** **OMERTA**
{Тарас Прохасько Taras Prochasko Taras Prochaško }
übers. von Maria Weißenböck, tłum. Renata Rusnak

104 **ECHOLOT** **ECHOLOT** **ЕХОЛОТ**
{Karin Richner Karin Richner Карін Ріхнер }
tłum. Alicja Rosenau, переклад: Наталка Сняданко

112 **Nawiedzenie** **Die Heimsuchung** **Відвідини**
{Jacek Wangin Jacek Wangin Яцек Вангін }
übers. von Ursula Kiermeier, переклад: Андрій Павлишин

FREMD BLEIBEN, DAZUGEHÖREN. VOM SCHREIBEN IN DER SCHWEIZ

OBCOŚĆ, SWOJSKOŚĆ, PRZYNALEŻNOŚĆ. BYĆ PISARZEM W SZWAJCARII
ЗАЛИШАТИСЯ ЧУЖИМ, БУТИ СВОЇМ. ПРО ПИСАННЯ У ШВЕЙЦАРІЇ

► Ich könnte sagen: Ich gehöre nicht dazu. Ich weiß nicht, ob es gut oder schlecht ist, nicht dazu zu gehören. Vielleicht ist es etwas, das eigentlich schlecht ist, aber der, der es sagt, denkt, dass es gut sei. Weil es doch bedeutet, dass er anders ist, besonders. Und weil Dazugehören immer auch etwas *Schafiges* an sich hat. Dabei kann es natürlich auch einfach sein, dass man ihn nicht dabei haben will.

Ich lebte fünfzehn Jahre in der Schweiz. Mein Mann ist Schweizer, mein Sohn ist es und seit ein paar Monaten bin ich es auch. Ich habe an einer Schweizer Uni studiert und unterrichtet, ich schreibe für Schweizer Zeitungen und mein erstes Buch erschien in einem Schweizer Verlag. Ich lebte in vier verschiedenen Schweizer Städten und wenn ich deutsch spreche, rutschen mir manchmal schweizerische Ausdrücke dazwischen, die meinen deutschen Freunden auffallen, mir jedoch nicht mehr. Aber was auch immer ich tue: ich bleibe eine Deutsche in der Schweiz, keine Schweizerin.

Der Hauptgrund hierfür liegt in der Sprache. Das Schweizerdeutsche ist identitätsstiftend – wer es nicht spricht, gehört nicht dazu. Das ist, gerade für jemanden, der beruflich schreibt, in mehrfacher Hinsicht paradox. Zunächst einmal gibt es ja offiziell nur eine hochdeutsche Schriftsprache. Das Schweizerdeutsche, wiewohl mehr als ein Dialekt, ist damit eben keine eigene Sprache. Anders als zum Beispiel in Holland, wo jeder Deutsche, der dort länger leben möchte, keine andere Wahl hat, als die Sprache zu lernen, ist das in der Schweiz nicht nötig. Ja, in gewissem Sinne nicht einmal möglich: Wann immer ich versuchte, Schweizerdeutsch zu sprechen, wurde ich von Schweizern erst belächelt, und dann gebeten aufzuhören. Offenbar klang es so, als machte ich mich lustig übers Schweizerdeutsch. Natürlich kommt hierbei das schwierige Verhältnis der Schweizer zu den Deutschen zum Tragen – die Komplexe, die wiederum in der Sprache gründen, und die Ablehnung dessen, was man hier als typisch deutsch erachtet: das Großtuerische, Bevormundende, die Dominanz, die gewöhnlich der kleine dem großen Nachbarn unterstellt, all die Vorurtei-

le, die ziemlich falsch sind und ein bisschen wahr. Als deutsche Autorin in der Schweiz ist man damit in einer schwierigen Situation. Nicht so sehr bei den staatlichen und kantonalen Institutionen: Bei der Förderung ist man, lebt man in der Schweiz, den Schweizern gleichgestellt, und in der Tat sind die Stipendien so großzügig bemessen, dass sie mitentscheidend sein können für die Weiterarbeit an einem Manuskript. Nie ganz gleich ist man jedoch vorm Feuilleton. Nicht, dass man schlecht behandelt wird. Aber was fehlt, ist die Zugehörigkeit: man ist eben nicht eine schweizerische Autorin. Man ist eine deutsche Autorin, die zufällig in der Schweiz lebt. Das ist bestenfalls okay. Die Bindung ist eine faktische, keine emotionale. Da ist keine Wärme, kein Stolz auf etwaige Erfolge, dann schon eher Häme bei Misserfolgen. Als aufschlussreich empfand ich in dieser Hinsicht vor einigen Jahren meine Teilnahme am Bachmann-Wettbewerb. In diesem länderübergreifenden 'Turnier' stellte ich (neben Silvio Huonder) gewissermaßen die Schweizer Delegation, und ich frage mich, was wäre gewesen, wenn ich gewonnen hätte? Wäre ich dann in der Schweiz offiziell zur Schweizer Autorin geworden? Hätte ich die Quadratur des Kreises vollbracht: als deutsche Autorin für die Schweiz einen Triumph über die deutschen Mitbewerber zu erringen? Denn dies ist ein wesentlicher Faktor in der Schweiz: die Konkurrenz mit Deutschland. Natürlich gibt es erfolgreiche Autorinnen und Autoren in

der Schweiz, die nicht ursprünglich Schweizer waren. Ich glaube, der Punkt, ab dem ein Schriftsteller als schweizerisch akzeptiert wird, ist wiederum ein sprachlicher: so sind die Ungarin Melinda Nadj Abonji, die in Deutschland geborene Ruth Schweikert und der rumänische Autor Catalin Dorian Florescu, die als Kinder in die Schweiz kamen und Schweizerdeutsch sprechen, fraglos Schweizer Autoren, während Sibylle Berg, Judith Kuckart, Thor Kunkel, Benjamin von Stuckrad-Barre, die allesamt in der Schweiz leben oder gelebt haben, nie als Schweizer Schriftsteller angesehen würden, auch wenn sie den Rest ihres Lebens in der Schweiz blieben. Und das gilt wohl auch für mich.

Fehlt das nun: diese Nestwärme, der kollektive Stolz, wenn etwas gelingt, der Beistand, wenn etwas nicht gelingt, das Gefühl, dazuzugehören, das ein Schriftsteller hier, in der Schweiz, deutlich eher bekommen könnte als in Deutschland, wo man vielleicht als Kölner, Berliner oder Münchner Autorin gelten würde, aber wohl kaum als Nationaldichter? Meine Antwort darauf ist eine doppelte. Zunächst einmal: Ja, es fehlt. Wer schreibt, setzt sich aus: präsentiert etwas, über das öffentlich befunden werden darf, und von dem er hofft, dass es gemocht werden wird. Schriftsteller sind eitel, und der Ratschlag, Kritik nicht persönlich zu nehmen, ist schwer zu befolgen: das, was da in Buchform vorliegt, ist ja persönlich, wenn auch nicht privat. Hinzu kommt, dass die Literaturkritik in der Tat ebenso wenig wie das eigentliche Dichten eine rationale Sache ist – dies gilt für jedes Feuilleton und für ein so überschaubares wie das der Schweiz ohnehin. Antipathien und Sympathien mischen sich in die Bewertung, positive und negative Urteile aufgrund welcher Kriterien auch immer – die Nationalität ist sicher eines davon. Und doch: Wenn ich mich entscheiden muss, gebe ich der Freiheit den Vorzug vor der Nestwärme. Zudem gibt es ja 'Ersatzheimaten': persönliche Kontakte und Freundschaften auch beruflicher Natur, Einladungen zu Podiumsdiskussionen oder zur Teilnahme an Autorengruppen, Lehraufträge an Universitäten und Literaturinstituten.

Ich habe die Büchse der Pandora geöffnet: Heimat, Nation, Identität – das alles sind schwer fassbare Begriffe, und jede Feststellung zieht neue Fragen nach sich. Ist das Verhältnis reziprok – geht es Schweizer Schriftsteller in Deutschland (wie Silvio Huonder oder Matthias Zschokke) genauso, auch wenn das deutsche Verhältnis zum schweizerischen Nachbarn entspannter, da gleichgültiger ist? Was meine ich, wenn ich von Heimat spreche – eine sprachliche, eine räumliche oder eine emotionale? Fest steht: die Schweiz ist bei aller Kleinheit ein komplexes Land, gerade was die Literatur angeht. Denn es gibt ja eben nicht nur die deutsche Literatur der Deutschschweiz, sondern auch die französische der Romandie, die italienische des

Tessins und die rätoromanische. Versuche, diese Literaturen zusammenzuführen, gibt es einige: Sei es, dass im 2004 eröffneten Schweizerischen Literaturinstitut französisch und deutsch unterrichtet wird, sei es, dass literarische Übersetzungen von der Pro Helvetia gefördert werden. Hinzu kommen zweisprachige Bücher wie jene des Bündner Autors Arno Camenisch („Sez Ner“, „Hinter dem Bahnhof“). So interessant die Versuche sind, die Sprachen in der Literatur und im Literaturbetrieb zusammenzuführen, so sehr bleiben sie jedoch nebeneinander bestehen wie einander zugeneigte, aber letztlich eigenständige Schwestern. Wo eine Auseinandersetzung mit dem eigenen Land erfolgt, geschieht dies meist in einer Weise, die sich einerseits an die eigenen Sprachgrenzen hält und andererseits, wie es z. B. Lukas Bärfuss mit seinem Darfur-Roman „Hundert Tage“ und Ruth Schweikert mit „Ohio“ tun, mit einem auf die Welt (hier: Afrika) geweiteten Blick die Grenzen der Schweiz sprengt.

Aber bin ich überhaupt die richtige Person, um darüber zu schreiben? In literarischer Hinsicht interessiert mich die Politik der Schweiz ebenso wenig wie die deutsche Politik. Obwohl sich natürlich auch in den von Yeats als einzig wichtig benannten literarischen Themen „sex and death“ die politische Lage eines Landes, die gesellschaftliche Situation der Protagonisten spiegelt: Literatur in luftleerem Raum gibt es nicht.

Während ich das schreibe, sitze ich in meinem Büro in Amerika, in einem Städtchen nahe New York, wo die Bäume so hoch sind wie die Häuser in Manhattan. Im Hickorybaum vor meinem Fenster ist eben ein Kardinal gelandet, sein Gefieder rasend rot, der Kamm auf dem Kopf stolz. Es gibt hier viele von ihnen, für mich sind sie jedoch so exotisch wie Paradiesvögel. Wenn ich einen sehe, habe ich den Rest des Tages Glück.

Seit einem Jahr lebe ich hier. In meinem Bekanntenkreis sind viele Schriftsteller, ich kann ihre Bücher lesen, sie meine nicht, auch wenn manche von ihnen es versuchen: sich mit den Überresten ihres Highschool-Deutsch die ersten zwei Seiten entlangquälen und dann aufgeben. Meine Schweizer Situation ist hier nochmals gesteigert: als Autorin bin ich hier, in Amerika, vollkommen inexistent und in Deutschland in gewisser Weise auch. Zwar erschien dort im Herbst mein letztes Buch, aber ohne mich: Ich beobachtete es von ferne, schaute wie eine Giraffenmutter ihrem Jungen aus gebührendem Abstand zu, ob es alleine stehen konnte oder nicht. Viel beeinflussen hätte ich ja ohnehin nicht mehr können. Das ist befreiend und manchmal frustrierend. Bisher weiß ich noch nicht, was von beidem überwiegt.



Mogläbym powiedzieć: nie jestem stąd, nie należę do tutejszego świata. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle tak „nie należę”. Być może jest to coś złego, ale ktoś, kto tak mówi, myśli, że to jest dobre – oznacza bowiem, że jest jakiś inny, szczególny. Tymczasem taka przynależność ma w sobie też coś stadnego. Ale może też być tak, że to inni nie chcą mieć tego „nie należącego” wśród siebie.

Od piętnastu lat mieszkam w Szwajcarii. Mój mąż jest Szwajcarem, mój syn, a za kilka miesięcy ja również zostanę obywatelką Szwajcarii. Studiowałam i uczyłam na szwajcarskim uniwersytecie, pisuję do szwajcarskich gazet, a moja pierwsza książka ukazała się w szwajcarskim wydawnictwie. Mieszkalam w czterech różnych szwajcarskich miastach, a kiedy mówię po niemiecku, wtrącam różne szwajcarskie wyrażenia, które zauważają moi niemieccy przyjaciele, ale ja sama już tego nie czuję. Cokolwiek jednak robię, pozostaję Niemką w Szwajcarii, a nie Szwajcarką.

Główna przyczyna tkwi w języku. Szwajcarski niemiecki daje poczucie identyfikacji – kto nim nie mówi, nie należy do „swoich”. Jest to pod wieloma względami paradoks dla kogoś, kto zawodowo zajmuje się pisaniem. Oficjalnie istnieje przecież tylko jeden literacki język niemiecki (Hochdeutsch). Szwajcarski niemiecki, choć kulturowo znacznie ważniejszy niż dialekt, nie jest jednak odrębnym językiem. Chcąc zamieszkać w Szwajcarii, Niemiec nie musi się uczyć języka. W pewnym sensie jest to wręcz niemożliwe: ilekroć próbuję mówić szwajcarskim niemieckim, Szwajcarzy najpierw się ze mnie podśmiewają, a potem proszą, żebym przestała. Prawdopodobnie brzmi to trochę tak, jakbym sobie robiła żarty z ich języka. Oczywiście, dochodzi tu jeszcze stosunek Szwajcarów do Niemców, ich kompleksy wynikające także z języka, oraz odrzucenie tego, co tutaj uchodzi za typowo niemieckie: bufonady, dominacji. Czyli te wszystkie rzeczy, które mniejszy sąsiad zwykle zarzuca większemu, wszystkie te uprzedzenia, które są dosyć błędne, a jednak trochę prawdziwe.

Trudna jest więc sytuacja niemieckiej autorki w Szwajcarii. Nie tyle w instytucjach państwowych czy kantonalnych: jako mieszkankę Szwajcarii zrównany w prawach ze Szwajcarami jest ona uwzględniana przy rozdzielaniu subwencji, a stypendia są na tyle hojne, że stanowią istotny czynnik decydujący o możliwości dalszej pracy nad książką. Nigdy nie jest się całkiem równym w gatunkach takich jak felieton. Nie chodzi o złe traktowanie, nie; felieton jako gatunek wymaga tej właśnie brakującej przynależności. Nie jesteś Szwajcarką. Jesteś niemiecką pisarką, przypadkiem mieszkającą w Szwajcarii. W najlepszym razie jest to okay. Twój związek ze Szwajcarią wynika z faktów, a nie z emocji. Nie ma w nim ciepła czy dumy z ewentualnych sukcesów, a w razie niepowodzeń pojawiają się raczej złośliwości. Bardzo pouczający pod tym względem był kilka lat temu mój udział w konkursie im. Ingeborg Bachmann. W tym ponadgranicznym „turnieju” Szwajcarię

reprezentowałam ja i Silvio Huonder. Zadaje sobie pytanie, co by się stało, gdybym to ja tę rywalizację wygrała? Czy również w Szwajcarii stałabym się oficjalnie szwajcarską autorką? Czy możliwy byłby taki paradoks, bym jako niemiecka pisarka zdobyła laury dla Szwajcarii, pokonując niemieckich konkurentów? Bowiem istotnym czynnikiem jest w Szwajcarii rywalizacja z Niemcami.

Są oczywiście w Szwajcarii pisarze nie pochodzący z tego kraju. Myślę, że akceptacja pisarza jako autora szwajcarskiego zależy właśnie od języka. I tak Węgierka Melinda Nadj Aboni, urodzona w Niemczech Ruth Schweikert i rumuński autor Catalin Dorian Florescu, którzy przybyli do Szwajcarii jako dzieci i mówią szwajcarskim niemieckim, są niewątpliwie autorami szwajcarskimi. Natomiast Sibylle Berg, Judith Kuckart, Thor Kunkel, Benjamin von Stuckrad-Barre, którzy mieszkają lub mieszkali w Szwajcarii, nigdy nie zostaną uznani za szwajcarskich pisarzy, nawet jeśli przez resztę życia pozostaną w tym kraju. Zapewne to samo odnosi się do mnie.

Czy zatem brakuje tego poczucia, że się wyrasta z tutejszości? Ciepła rodzinnego gniazda, wspólnej dumy, gdy się coś udaje, i wsparcia, gdy coś nie wychodzi? Poczucia przynależności, które tu, w Szwajcarii, pisarz może uzyskać znacznie wcześniej niż w Niemczech, gdzie można być pisarzem kolońskim, berlińskim albo monachijskim, ale prawie na pewno nie narodowym? Moja odpowiedź jest dwojaka. Po pierwsze: tak, tego wszystkiego rzeczywiście brakuje. Kto pisze, ten wystawia się na publiczne roztrząsanie poruszanych kwestii i ma nadzieję, że to, co zaprezentował, będzie się podobało. Pisarze są próżni i trudno im stosować się do rady, by nie przyjmowali krytyki osobiście; to, co przedstawiają w formie książki, jest przecież osobiste, choć nie jest prywatne. Do tego dochodzi fakt, że krytyka literacka jest w istocie równie mało racjonalna, jak sama twórczość – odnosi się to do każdego felietonu, a co dopiero do tekstu tak przewidywalnego jak felieton szwajcarski. W ocenie tekstów literackich mieszają się sympatie i antypatie, pozytywne i negatywne uprzedzenia oparte na najróżniejszych kryteriach – a narodowość z pewnością do nich należy. Kiedy jednak muszę wybierać, daję pierwszeństwo wolności przed owym poczuciem tożsamości, wynikającym ze wspólnoty pierwszych doświadczeń. Istnieją przecież „ojczyzny zastępcze”: kontakty osobiste, przyjaźnie (także natury zawodowej), zaproszenia do dyskusji panelowych lub udziału w pracy grup pisarzy, prowadzenie zajęć na uniwersytetach i w instytutach literackich.

Otworzyłam puszkę Pandory: ojczysta ziemia, naród, tożsamość – wszystko to są terminy trudne do ujęcia i każda konstatacja pociąga za sobą kolejne pytania. Czy tak samo jak Niemcy w Szwajcarii mają też szwajcarscy autorzy w Niemczech, jak choćby Silvio Huonder czy Matthias Zschokke? Stosunek Niemców do Szwajcarów jest przecież mniej napięty, chyba po prostu bardziej obojętny. Co mam na myśli, mówiąc Heimat – czy jest to najbliższa mi ojczyzna językowa, geograficzna czy emocjonalna?

Pewne jest to, że Szwajcaria, jakkolwiek mała, akurat gdy chodzi o literaturę jest krajem bardzo złożonym. Nie istnieje tam bowiem tylko niemiecka literatura niemieckojęzycznej Szwajcarii, ale też francuska literatura Romandii, włoska literatura Tessynu oraz literatura reto-



© Matthieu Gafsou

Otworzyłam puszkę Pandory: ojczysta ziemia, naród, tożsamość – wszystko to są terminy trudne do ujęcia i każda konstatacja pociąga za sobą kolejne pytania. Czy tak samo jak Niemcy w Szwajcarii mają też szwajcarscy autorzy w Niemczech, jak choćby Silvio Huonder czy Matthias Zschokke? Stosunek Niemców do Szwajcarów jest przecież mniej napięty, chyba po prostu bardziej obojętny. Co mam na myśli, mówiąc Heimat – czy jest to najbliższa mi ojczyzna językowa, geograficzna czy emocjonalna?

romańska. Było już kilka prób jakiegoś połączenia tych literatur: jednym są wykłady po niemiecku i po francusku w otwartym w 2004 roku Szwajcarskim Instytucie Literatury, innym działalność fundacji Pro Helvetia, wspierającej przekłady literackie z języków używanych w Szwajcarii. Do tego dochodzą dwujęzyczne książki, ot, choćby gryzońskiego pisarza Arno Camenisch (Sez Ner, Hinter dem Bahnhof).

Jakkolwiek interesujące są to próby, to przecież te języki będą istnieć paralelnie jak skłaniające się ku sobie, ale jednak samodzielne siostry. Czasami literatura jest miejscem sporu z własnym krajem – wtedy zazwyczaj autor z jednej strony trzyma się własnych granic językowych, z drugiej – to przyrządek Lukasa Bärfussa i jego powieści o Darfurze *Hundert Tage* oraz Ruth Schweikert z jej *Ohio* – wychodzi poza granice Szwajcarii, rozszerzając spojrzenie na resztę świata (tu: na Afrykę).

Ale czy ja jestem w ogóle odpowiednią osobą, żeby o tym pisać? Z literackiego punktu widzenia polityka Szwajcarii interesuje mnie tak samo niewiele, jak polityka Niemiec. Zdaniem Yeatsa w literaturze królują dwa najważniejsze tematy – sex and death – ale i w nich przecież odbija się polityczna sytuacja kraju oraz społeczna sytuacja bohaterów: literatura nie istnieje w próżni.

Piszę to, siedząc w swoim biurze w Ameryce, w miasteczku w pobliżu Nowego Jorku, gdzie drzewa są równie wysokie jak wieżowce w Manhattanie. Na drzewie hikory przed moim oknem wyładował upierzony szkarłatną czerwienią kardynał z dumnym grzebieniem na łebku. Kardynały są tu częste, ale dla mnie są egzotyczne niby rajskie ptaki. Kiedy zobaczę kogoś, przez resztę dnia dopisuje mi szczęście.

Mieszkam tu od roku. W kręgu moich znajomych jest wielu pisarzy, których książki mogę czytać, ale oni nie mogą czytać moich, choć niektórzy próbowali: resztkami swojej szkolnej niemieckiej przybyli się przez dwie pierwsze strony, po czym się poddawali. Tutaj moja szwajcarska sytuacja jest jeszcze bardziej spotęgowana. Jako autorka jestem tu, w Ameryce, całkowicie skazana na nieistnienie, ale w Niemczech w pewnym sensie także. Jesienią ukazała się tam wprawdzie moja ostatnia książka, ale odbyło się to beze mnie. Ja patrzyłam na nią z oddali, przyglądałam się tak, jak żyrafa-matka przygląda się z odpowiedniej odległości swojemu młodemu, czy potrafi utrzymać się na nogach. I tak nie mogłabym wyrzucić jakiegoś znaczącego wpływu na to, co się tam działo. To wyzwala, a czasem frustruje.

Na razie nie wiem jeszcze, co przeważy.

[Tłumaczenie: Agnieszka Gadzała]



Я могла би сказати: я – чужа. Не знаю, добре залишатися осторононь чи погано. Мабуть, загалом погано, але хто так говорить, думає, що це – добре. Бо це означає, що він не такий, як усі, особливий. І ще тому, що бути „своїм” має в собі щось стадне, овече. Але при цьому, ясна річ, може виявитися, що просто ніхто не хоче приймати тебе за свого.

Я прожила у Швейцарії п’ятнадцять років. Мій чоловік – швейцарець, мій син – швейцарець, а кілька місяців тому я теж стала швейцаркою.

Я вчилася і викладала у швейцарському університеті, я пишу для швейцарських газет, і моя перша книга вийшла друком у швейцарському видавництві. Я жила у чотирьох різних швейцарських містах і коли я говорю німецькою, у мене іноді проскакують швейцарські вирази, які відразу ж зауважують мої німецькі друзі, я ж сама вже цього не помічаю. Але що б я не робила, я продовжую залишатися у Швейцарії німкенем, не швейцаркою. Головною причиною цього є мова. Швейцарська німецька є основою тутешньої ідентичності – той, хто не розмовляє нею, не може стати своїм. А для людини, яка професійно пише, це у багатьох відношеннях парадоксально. Насамперед тому, що офіційно існує така лише одна літературна німецька мова. Швейцарська німецька хоча і є чимось більшим просто за діалект, все одно не вважається самостійною мовою. Тут усе інакше, ніж, скажімо, в Голландії, де кожен німець, який хоче жити там довший час, не має іншої можливості, окрім як вивчити мову. У Швейцарії ж такої необхідності немає. У певному сенсі це і неможливо: щоразу, коли я намагаюся говорити швейцарською німецькою, швейцарці спершу сміються, а потім просять мене припинити. Мабуть, для них це звучить так, ніби я намагаюся познущатися над їхньою швейцарською німецькою. Ясна річ, до цього додаються складні стосунки швейцарців з німцями – комплекси, які, знову ж таки, виводяться з мови і заперечення того, що тут вважається типово німецьким: зарозумілості, зверхності, домінантності, які менший сусід зазвичай закидає більшому, усі ці упередження і стереотипи, які вельми хибні, але трішки й правдиві.

Я, як німецька письменниця у Швейцарії, опинилася з усім цим у непростій ситуації. Це не стосується державних і кантональних інституцій: коли йдеться про фінансове сприяння, то усі, хто живе у Швейцарії, прирівнюються до швейцарців, а стипендії тут настільки щедрі, що це може стати визначальним для подальшої роботи над черговим манускриптом. Але ситуація міняється, коли справа доходить до літературних фейлетонів. Не скажу, що до мене ставляться погано. Але і своєю теж не вважають: ти просто не належиш до швейцарських письменниць. Ти є німецькою письменницею, яка випадково живе у Швейцарії. Це, зрештою, окей. Зв’язок тут фактичний, а не емоційний. Тут немає тепла, немає гордості за успіхи, радше зловтішання через поразки. Для мене яскравим прикладом цього стала моя участь кілька років тому у літературному конкурсі імені Ингеборг Бахманн. У цьому міжнародному турнірі я певною мірою представляла (разом із Сільвіо Гундером) швейцарську делегацію. І от я питаю

себе, що трапилося б, якби я тоді раптом перемогла? Чи стала би я у Швейцарії офіційно швейцарською письменницею? Чи розв’язала би я цим завдання про квадратуру кола: якби я, німецька письменниця, виборола в змаганні з німецькими конкурентами тріумф для Швейцарії? Бо у Швейцарії це дуже вагомий фактор: суперництво з Німеччиною. Звичайно, у Швейцарії є успішні письменники, які тут не народилися. Мені здається, що письменника визнають швейцарським насамперед за мовною ознакою: таким чином угорка Мелінда Надж Абоньї, народжена у Німеччині Рут Швайкерт і румунський автор Каталін Доріан Флореску, які приїхали до Швейцарії дітьми і говорять швейцарською німецькою, вважаються швейцарськими авторами без жодних заперечень і сумнівів, у той же час Сибіллі Берг, Юдит Кукарт, Тор Кункель, Беньямін фон Штукрад-Барре, попри те, що усі вони живуть чи жили колись у Швейцарії, ніколи не вважаються швейцарськими авторами, навіть якщо проведуть решту життя у цій країні. І те саме стосується, здається, мене.

То ж чи бракує цього: тепла родинного гнізда, колективної гордості, коли щось вдається, підтримки, коли щось не вдається, відчуття приналежності, яке для письменника тут, у Швейцарії, значно виразніше, ніж у Німеччині, де можна вважатися кельнським, берлінським чи мюнхенським письменником, але аж ніяк не національним письменником. Моя відповідь на це неоднозначна. Почну зі ствердження: так, бракує. Той, хто пише, розкривається, презентує щось, про що можна говорити публічно, і сподівається, що це сподобається. Письменники марнославні, їм важко прислухатися до поради не приймати критику надто близько до серця: те, що лежить на прилавку у вигляді книги – це ж особиста річ, хоча і не приватна. До цього додається і те, що літературна критика така ж ірраціональна, як і саме писання – це стосується усієї фейлетоністики, а у Швейцарії, де все на виду, й поготів. До оцінки домішуються особисті симпатії й антипатії, творяться позитивні й негативні стереотипи, які б критерії їм не слугували за основу – а національність, безумовно, є одним з таких критеріїв.

Але, попри все: якщо мені доведеться вибирати, то я виберу свободу, а не тепло родинного гнізда. Крім того, існують „ерзац-батьківщини“: особисті контакти і дружні зв’язки, зокрема і професійного характеру, запрошення на публічні дискусії чи участь у письменницьких угрупованнях, угоди про викладання в університетах і літературних інститутах.

Я відчинила скриньку Пандори: батьківщина, нація, ідентичність

– усе це поняття, які складно охопити, кожне твердження викликає нові запитання. Якщо поглянути у зворотний бік – то й швейцарським письменникам у Німеччині ведеться так само (як наприклад, Сільвіо Гундерові чи Маттіасу Цшокке), і це при тому, що ставлення німців до швейцарських сусідів набагато недбаліше, адже байдужіше? Що я маю на увазі, коли говорю про батьківщину – батьківщину мовну, географічну чи емоційну?

Достеменно відомо одне: попри свою мініатюрність, Швейцарія – це складана країна, особливо, коли справа стосується літератури. Бо існує не лише німецька література німецькомовної Швейцарії, а ще й французька романської частини, італійська у Тичіно та ретороманська. Було чимало спроб звести всі ці літератури воедино: от хоча б те, що у відкритому 2004 року швейцарському літературному інституті викладають французькою і німецькою, або що фундація Pro Helvetia підтримує літературні переклади. До цього

© Matthieu Galfou



додаються двомовні книги, як, наприклад, книги граубюнденського письменника Арно Каменіша *Sez Ner (Сец Нер)*, *Hinter dem Bahnhof (За вокзалом)*. Наскільки цікавими є спроби звести мови у літературі і літературному житті, настільки ж невблаганно вони продовжують існувати паралельно одна з одною, ніби люблячі, але водночас самостійні сестри. Там, де присутня протистояння з власною країною, це здебільшого відбувається у спосіб, коли, з одного боку, є дотримання власних мовних меж, а з іншого боку, як, наприклад, у романі Лукаса Берфуса *Hundert Tage (Сто днів)*, дія якого відбувається у суданському Дарфурі, чи у романі Рут Швайкерт *Ohio (Огайо)* письменники звертають погляд до світу (у цьому випадку на Африку) і виходять за межі швейцарських кордонів.

Але хіба я є відповідною особою для того, щоб писати про це? У літературному сенсі швейцарська політика цікавить мене так само мало, як і німецька. Хоча, ясна річ, навіть в названих поетом Сйтсом як єдино важливих літературних темах „sex and death“ („секс і смерть“) відображається політичне становище країни, суспільна ситуація протагоніста: література не існує в вакуумі.

Я пишу все це у своєму робочому кабінеті в Америці, у містечку неподалік Нью-Йорка, де дерева такі ж високі, як будинки у Манхеттені. На гілку карії, горіхового дерева, перед вікном сів кардинал, його пір'я яскраво – червоне, а чубчик на голові гордо настовбурчений. Їх тут багато, але для мене вони все одно екзотичні, ніби райські птахи. Коли я бачу одного з них, то почуваюся щасливою до кінця дня. Я живу тут уже рік. Серед моїх знайомих чимало письменників, я можу читати їхні книги, а вони моїх не можуть, хоча дехто всі залишки вивченої в університеті німецької, вони мучаться протягом перших двох сторінок, а потім здаються. Моя швейцарська ситуація тут ще більше загострилася: як письменниця я тут, в Америці, не існую взагалі, в Німеччині певною мірою теж. Там хоч і вийшла восени моя остання книга, але без мене: я спостерігаю за цим здалеку, ніби мати-жирафа за своїм жирафеням із належної відстані – зіпнеться воно саме на ніжки чи ні. Від мене однаково не багато залежало. Це, з одного боку, звільняє від відповідальності, а з іншого – вганяє у депресію. І я досі не знаю, що переважить – перше чи друге.

[Переклад: Наталка Сняданко]



Annette Mingels (1971, Deutschland) – Prosaautorin. Studium der Germanistik, Linguistik und Soziologie in Frankfurt, Köln, Bern und Fribourg. Promotion in Germanistik über Sören Kierkegaard und Friedrich Dürrenmatt. Bei DuMont erschienen drei Romane und ein Kurzgeschichten-Band von ihr: *Die Liebe der Matrosen* (2005), *Der aufrechte Gang* (2006), *Romantiker. Geschichten von der Liebe* (2007) und *Tontauben* (2010). Nach Jahren in Zürich lebt Annette Mingels heute mit ihrer Familie in Montclair/USA.

Annette Mingels (1971, Niemcy) – prozaiczka. Studiowała germanistykę, lingwistykę i socjologię we Frankfurcie, Kolonii, Bernie i Fryburgu. Swoją pracę doktorską na germanistyce pisała o Sørenie Kierkegaardzie i Friedrichu Dürrenmattcie. W wydawnictwie DuMont ukazały się trzy jej powieści i jeden zbiór opowiadań: *Miłość marynarzy* (2005), *Wyprostowana postawa* (2006), *Romantycy. Historie o miłości* (2007) i *Rzutki* (2010). Autorka mieszkała całe lata w Zurichu, a obecnie mieszka ze swoją rodziną w Montclair/USA.

Аннетте Мінгельс (1971, Німеччина) – авторка прози. Вивчала германістику, лінгвістику і соціологію у Франкфурті, Кьольні, Берні та Фрибурзі. Захистила кандидатську дисертацію з германістики про Сьорена К'єркегора і Фрідріха Дюрренматта. У видавництві DuMont вийшли три її романи і збірка оповідань: *Матроське кохання* (2005), *Прямоходіння* (2006), *Романтики. Історії про кохання* (2007) та *Диски* (2010). Після багатьох років життя у Цюриху зараз Аннетте Мінгельс із родиною мешкає у Монклер/США.

Christian Zehnder Christian Zehnder Крістіан Цендер

EIN SYMBOLISCHES TAGEBUCH SYMBOLICZNY DZIENNIK СИМВОЛІЧНИЙ ЩОДЕННИК

► I Zuerst bedeutete Schreiben für mich, sagen zu können, wie die Fläche eines Sees abends matt wurde, wie sich bei schwachem Sonnenschein durch die Wolken beinahe Reif bildete auf dem Wasser und die Oberfläche fast trocknete, wenn ich im Herbstwind am Ufer stand und auf nicht einmal altmodische Art an die Schönheit der Natur glaubte, hinter mir waren die Hochhäuser, und sie gefielen mir ebenfalls.

Später wollte ich, daß alles, was ich sah, vor meinen Augen zerflockte. Ich begann, Märchen zu schreiben, die in der Mitte aufhörten, bevor etwas passiert war. Eines dieser Märchen handelte von der Schneeblindheit beim Anschauen des Vierwaldstättersees, von der mir eine Touristin aus Argentinien erzählt hatte.

Auf einmal aber erschrak ich, daß noch immer nie etwas passiert war. Nie hatte bisher etwas seinen Lauf genommen, nie hatte etwas überhaupt angefangen, nie war etwas abgebrochen worden. Selbst mein Leben hatte erst mit ungefähr drei Jahren begonnen, als ich schon der war, der ich noch immer bin.

Versuche ich, mir die Kindheit vor Augen zu führen, so erinnere ich mich vor allem an einsame Augenblicke, obwohl meine Mutter und alle anderen immer da waren. Versuche ich zu sagen, wer ich in den ersten Jahren war, kommt mir, so behütet ich aufwuchs, doch zuerst ein Kind in den Sinn, das plötzlich, ich weiß nicht, ob einmal pro Tag, einmal pro Woche oder einmal pro Monat, abseits von den Leuten stand und sich betrachtete.

Ansonsten kann ich mich, wenn auch weniger deutlich, vor allem an den Wunsch erinnern, daß die Dinge immer so bleiben, wie sie gerade sind. Wenn ich mit meiner Schwester an einem Sonntagnachmittag Radio hörte,

konnten wir gar nie anfangen zuzuhören, denn wir hörten ja schon zu, auf dem Bett liegend die Füße in die Höhe streckend. Und später bei den Fußballjunioren blieb ich am liebsten in der Mitte des Feldes stehen, weil das Spiel dort, in der Nähe des Mittelpunkts, am ehesten so blieb, wie es war, und nicht vorbeiging.

Vor einiger Zeit nun bin ich vor einer ganz aus Beton gebauten Kirche am Stadtrand einer Frau mit ihrem schon annähernd erwachsenen Sohn begegnet. Um die beiden herum zerstreuten sich in alle Richtungen die Kirchgänger. Ältere Herren setzten sich den Hut auf und begaben sich zur Tramhaltestelle, ein paar Familien überquerten die Straße, auf der viel Laub lag, und stiegen ins Auto.

Die Mutter nickte den davongehenden Leuten zu, während der Sohn auf den Boden sah, wie es schüchterne Kinder tun. Und dann geschah folgendes: Sie blieben im Glockenläuten vor der Kirche stehen. Nach einer Weile sahen sie zu mir, ich stand unweit auf einem Trottoir. Ich glaube, sie baten mich, zu bleiben.

Vielleicht sprachen sie sogar. Natürlich war es ein gewöhnlicher Tag, und natürlich ist er, wie alle anderen auch, irgendwie vorübergegangen. Trotzdem war es anders, als wenn sich in einer Gasse zwei Fremde anlächeln. Die Begegnung mit dieser Frau und ihrem Sohn war tausendmal distanzierter. Dafür war eine seltene Klarheit darin, die im zufälligen Lächeln zwischen zwei Fremden fehlt. Ich verstand nämlich (und sie verstanden, daß ich verstand), was in ihnen vorging: Sie wollten vermeiden, daß nun gleich der nächste Moment einsetzte.

Das hatte wenig zu tun mit dem Wunsch, die Zeit zum Stehen zu bringen und den Augenblick festzuhalten. Die Zeit durfte in ihren Augen ruhig weiter vergehen,

zerfließen oder zerrinnen, aber der nächste Moment durfte nicht eintreten. Das Glockenläuten durfte sich mit jedem Schlag verändern, aber der letzte Schlag durfte nicht erklingen.

Ich frage mich, ob ich etwas zu dieser Szene beitrug. Falls ich tatsächlich etwas beigetragen habe, dann deshalb, weil es mir, vielleicht, gelang, die Mutter und ihren Sohn nicht zu beobachten, sondern wie in der Kindheit mich selbst zu betrachten.

II
Mein literarisches Ideal ist das Tagebuch, denn im Tagebuch ist der Beitrag dessen, der schreibt, der geringste. Es ist das einzige selbstlose Genre, die Außenwelt kommt von allein ins Tagebuch: Ein Mann und eine Frau, ihre Freunde und ein paar Kinder treten aus einer Tür hinaus in eine sonnige Seitenstraße: So habe ich es bei Jonas Mekas gesehen, dem Filmemacher aus Litauen, der mit der Kamera sein Leben in New York aufzeichnete und sagte: „Mein Land ist die Poesie.“

Ich habe die Erfahrung gemacht, daß da, wo ich lebe, kein Ort ist fürs Tagebuch, und daß sich immer erst dann ein Anklang von Tagebuchschriften einstellt, wenn ich im Zug von zu Hause wegfahre. Ist das deshalb so, weil ich die Heimat zu sehr verinnerlicht habe, und weil mir umgekehrt im Ausland alles genug fremd ist? Das kann ich nicht glauben. Das Ausland ist jedesmal schon nach wenigen Stunden ganz vertraut.

Vergangenen Sommer entdeckte ich auf den Champs-Élysées plötzlich Johannes, einen Bekannten aus Trier, er aß auf der Terrasse von McDonald's mit seiner Frau, seinem kleinen Kind und seinen Eltern ein Eis, ich war oben im fast leeren ersten Stock und schaute hinunter auf das Gedränge. Da rannte ich zu Johannes und den Seinen hinunter, wie zu den Meinen. Seine Jovialität, seine mir unbekanntem Eltern, seine Frau aus Persien, schließlich sogar die touristische Augusthitze, der Verkehr, alles war viel vertrauter als zu Hause, wo ich seit zwanzig Jahren dieselben Plätze überquere und dabei noch immer Schüchternheit empfinde.

Nicht deshalb kann ich in Bern kein Tagebuch führen, weil ich es zu gut kenne. Ich möchte doch in jeder Erzählung nur mitteilen, was um mich herum geschieht! Aber so großzügig ist die Heimat nicht. Wenn immer ich aufzeichnen möchte, was um mich herum geschieht, ist es schon mit den ersten Wörtern, Sätzen und Seiten verloren: Ich darf mich der Umgebung nur symbolisch annähern, durch die Stille der Kindheit hindurch, wenn auch unendlich, aber doch nur annähern, etwas anderes läßt die Heimat nicht zu. Oder gibt es ein symbolisches Tagebuch?

In der Literatur werden die Menschen noch mehr zu Passanten, als sie es sonst schon sind. Der anmutige Gang einer Frau, in dem sich, wie immer, etwas Schwerfälliges verbirgt, kann nur der einer Passantin sein. Das einzige, was nicht vorbeigeht, ist die Kindheit, deshalb ist sie fürs Schreiben so wichtig.

Was sich in der Kindheit ständig wiederholte, das Weinen, die Erwachsenen, die tägliche gewöhnliche Romantik – das hat alles in meiner Erinnerung nur ein einziges Mal stattgefunden: Die vielen Familienfeste, während denen ich mich meiner Mutter um die Beine schmiegte, mußte es geben, damit mir eines, das alle anderen enthält, in Erinnerung blieb. Ja, ich habe als Kind einmal geweint, einmal einen Spaß verstanden und einmal über die Welt gestaunt.

Das andere sind die Passanten am Bahnhof mit ihren flüchtigen Gesichtern, die ich meistens lange nicht vergessen kann, im Unterschied zu den Gesichtern der Nahestehenden, die ich mir bis heute nicht ganz eingepägt habe. Es ist sogar ein untrügliches Anzeichen für eine entstehende Freundschaft, wenn mir von jemandem, sooft ich ihn wiedersehe, das Gesicht nicht vertrauter wird.

Es gibt das Symbolische: die Kindheit. Und es gibt die jedesmal neu schockierende Intimität mit den Passanten. In diesen beiden Sphären siedelt sich für mich das Schreiben an.

April 2011

P.S.
Die sprachlichen, kulturellen und politischen Traditionen, d.h. die Sachbezüge der Literatur in der Schweiz, über die ich mich hier hätte äußern sollen, sind unbedeutend verglichen mit dem Umstand, daß die Schweiz mir eine Kindheit außerhalb der Geschichte gegeben hat, sogar außerhalb der Ahnung, daß es eine Geschichte geben könnte. Was mir außerdem bedenkenswert scheint, ist die Abwesenheit einer Schweizer Romantik.

I
Najpierw pisanie znaczyło dla mnie możliwość mówienia o tym, jak wieczorem tafla jeziora matowiała, jak w przebijających się przez chmury słabych promieniach słońca na wodzie niemal tworzył się szron, a powierzchnia stawała się prawie sucha, kiedy tak stałem w jesiennym wietrze na brzegu i wierzyłem w piękno natury w sposób, który nawet nie był staromodny, i podobały mi się także znajdujące się za mną wieżowce.

Potem chciałem, żeby wszystko, co widziałem, rozsypało się na moich oczach. Zaczęłem pisać bajki, które kończyły się, zanim coś się wydarzyło. Jedną z tych bajek opowiadała o wywołanej patrzeniem na Jezioro Czterech Kantonów ślepotę śnieżną, o której opowiadała mi pewna turystka z Argentyny.

Ale nagle przestraszyłem się, że nadal jeszcze nic się nie zdarzyło. Nigdy dotąd nic nie zaczęło biec swoim tempem, a nawet nic się nigdy nie zaczęło, nic się nigdy nie przerwało. Nawet moje życie rozpoczęło się dopiero mniej więcej w wieku lat trzech, gdy już byłem tym, kim wciąż jestem.

Kiedy staram się uzmysłowić sobie dzieciństwo, wspominam przede wszystkim samotne chwile, choć zawsze była na miejscu i moja matka, i wszyscy inni. Kiedy próbuję powiedzieć, kim byłem w pierwszych latach, to mimo że wychowywany byłem starannie, przychodzi mi najpierw na myśl dziecko, które nagle, nie wiem: raz dziennie, czy raz na tydzień, czy raz na miesiąc, stawało z boku z dala od ludzi i samo się sobie przyglądało.

Poza tym, choć mniej wyraźnie, mogę sobie przede wszystkim przypomnieć pragnienie, aby wszystko na zawsze pozostało właśnie takie, jakie jest. Kiedy w niedzielne popołudnie słuchałem z moją siostrą radia, nigdy nie mogliśmy zacząć słuchać od początku, bo przecież już słuchaliśmy, leżąc na łóżku, z nogami wyciągniętymi do góry. A później, grając w piłkę nożną jako junior, stałem najchętniej w środku pola, bo tam, blisko środka, gra najczęściej pozostawała niezmienna i się nie kończyła.

Jakiś czas temu przed kościołem na obrzeżach miasta, w całości zbudowanym z betonu, spotkałem kobietę z prawie dorosłym synem. Wokół nich rozchodzili się we wszystkie strony ludzie opuszczający kościół. Starsi mężczyźni wkładali kapelusze i udawali się na przystanek tramwajowy, kilka rodzin przeszło przez ulicę, na której leżało pełno liści, i wsiadło do samochodu.

Matka pozdrawiała przechodzących skinieniem, podczas gdy syn patrzył w ziemię, jak robią to nieśmiałe dzieci. I wtedy stało się coś takiego: zatrzymali się przed kościołem, kiedy były dzwony. Po chwili spojrzeli w moim kierunku, stałem niedaleko na trotuarze. Sprawiało to wrażenie, jakby prosili abym został.

Może nawet coś mówili. Był to naturalnie zwykły dzień i naturalnie tak jak i wszystkie inne jakoś minął. Mimo to było inaczej, tak jakby na ulicy uśmiechnęły się do siebie dwie obce osoby. Spotkanie z tą kobietą i jej synem było tysiąc razy bardziej zdystansowane. Za to była w nim rzadka oczywistość, jakiej brakuje w przypadkowym

uśmiechu dwojga obcych ludzi. Zrozumiałem mianowicie (a oni zrozumieli, że ja rozumiem), co się działo w ich głowach: chcieli uniknąć rychłego nadejścia następnej chwili.

Miało to niewiele wspólnego z pragnieniem zatrzymania czasu i utrwalenia obecnego momentu. W jej oczach czas mógł spokojnie biec dalej, rozplynąć się, lub stopnieć, ale następny moment nie powinien być nadejść. Głos dzwonów mógł się z każdym uderzeniem zmieniać, ale nie powinno było zabrznieć ostatnie uderzenie.

Zadaję sobie pytanie, czy w jakiś sposób przyczyniłem się do tej scenki. Jeśli rzeczywiście trochę się do niej przyczyniłem, to dlatego, że być może udało mi się nie obserwować matki i jej syna, a tak jak w dzieciństwie przyglądać się sobie.

II
Moim ideałem literackim jest dziennik, bo w przypadku dziennika wkład tego, kto go pisze, jest najmniejszy. To jedyny bezinteresowny gatunek, świat zewnętrzny trafia do dziennika sam z siebie: mężczyzna i kobieta, ich przyjaciele i kilkoro dzieci wychodzą przez drzwi na słoneczną stronę ulicy; widziałem to u Jonasa Mekasa, filmowca z Litwy, który nakręcił kamerą swoje życie w Nowym Jorku i powiedział: „Moim krajem jest poezja“.

Przekonałem się, że miejsce, w którym żyję, nie jest miejscem nadającym się do dziennika i że inklinacja do pisania dziennika zawsze daje się odczuć dopiero wtedy, gdy wyruszam z domu w podróż pociągiem. Czy dzieje się tak dlatego, że za bardzo oswoiłem strony ojczyste i że odwrotnie – za granicą wszystko jest dostatecznie obce? Nie mogę w to uwierzyć. Zagranica za każdym razem już po kilku godzinach jest całkiem swojska.

Minionego lata spostrzegłem nagle na Champs-Élysées Johannes, znajomego z Trewiru, na tarasie McDonald'sa z żoną, małymi dziećmi i swymi rodzicami jadł lody, ja zaś znajdowałem się na górze na prawie pustym pierwszym piętrze i patrzyłem w dół na tłumy ludzi. Wtedy zbiegłem do Johanna i jego rodziny, jak do swoich. Jego jovialność, jego rodzice, których nie znałem, jego żona z Persji, wreszcie nawet turystyczny sierpniowy upał, ruch uliczny, wszystko to było o wiele bardziej swojskie niż w domu, gdzie od dwudziestu lat przechodzę przez te same miejsca, wciąż jeszcze czując onieśmienie.

Nie dlatego nie mogę prowadzić dziennika w Bernie, że za dobrze je znam. Przecież w każdym opowiadaniu chciałbym przekazać, co się wokół mnie dzieje! Ale strony ojczyste nie są tak wspaniałomyślne. Zawsze, gdy chcę zapisać, co się dzieje wokół mnie, już przy pierwszych słowach, zdaniach i stronach wszystko to znika. Mogę się przybliżyć do otoczenia jedynie symbolicznie, poprzez ciszę dzieciństwa, wprawdzie bezgranicznie, ale tylko przybliżyć, czegoś innego strony ojczyste nie dopuszczają. A może istnieje symboliczny dziennik?

W literaturze ludzie jeszcze bardziej stają się przechodniami, niż nimi są. Wdzięczny chód kobiety, w którym, jak zawsze, kryje się pewna ociężałość, może być tylko krokami kobiety-przechodnia. Jedyną rzeczą, która nie

премія, jest dzieciństwo, dlatego jest ono dla pisarstwa tak ważne.

То, co się w dzieciństwie stale powtarzało: płacz, dorośli, zwykły romantyzm dnia codziennego – wszystko to w mojej pamięci miało miejsce tylko jeden jedyny raz: musiało być wiele uroczystości rodzinnych, podczas których trzymałem się matki za spódnicę, aby w pamięci pozostała mi jedna, zawierająca w sobie wszystkie inne. Bo tak naprawdę, będąc dzieckiem, tylko jeden raz płakałem, tylko raz zrozumiałem żart i raz zdumiał mnie świat.

Сzymś innym są przechodnie na dworcu, o ulotnych twarzach, których najczęściej długo nie mogę zapomnieć, w odróżnieniu od twarzy moich bliskich, które do dziś nie całkiem utrwaliłem sobie w pamięci. Jest nawet nieomylną oznaką rodzącej się przyjaźni, jeśli czyjaś twarz, mimo że często widziana, nie wydaje mi się przez to bardziej znajoma.

Istnieje rzecz symboliczna: dzieciństwo. I istnieje wciąż na nowo szokująca intymność wobec przechodniów. W tych obu sferach mieści się dla mnie pisanie.

kwiecień 2011

P.S.

Tradycje językowe, kulturalne i polityczne, tzn. rzeczowe benefity literatury w Szwajcarii, o których miałem się tu wypowiedzieć, są bez znaczenia w porównaniu z okolicznością, że Szwajcaria dała mi dzieciństwo pozbawione historii, a nawet poczucia, że historia może istnieć. Tym, co wydaje mi się poza tym godne rozważenia, jest nieobecność szwajcarskiego romantyzmu.

[Tłumaczenie: Elżbieta Michałowska]

І Спершу писати означало для мене можливість сказати про те, як поверхня озера надвечір втрачає блиск, як вона наче вкривається інеєм, коли сонце прозирає крізь хмари, а коли я стояв на березі у поривах осіннього вітру, здавалося, вона висихає, і я вірив у красу природи навіть не в старомодний спосіб, за мною стояли висотні будинки, і вони мені також були до вподоби.

Згодом у мене з'явилося бажання, щоб усе, що я бачу, розпадалося у мене на очах на частинки. Я почав писати казки, які доходили лише до середини, до того моменту, коли щось має трапитися. Одна з казок оповідала про сліпоту від снігу, коли дивитися на Фірвальдштетське озеро, про яке мені розповіла одна туристка з Аргентини.

Раптом мене охопив переляк, що ще нічого так і не трапилося. Не було ніякого продовження, нічого так і не розпочалося і не перервалося. Навіть моє життя розпочалося, коли мені було близько трьох років, вже тоді я був таким, яким є і сьогодні.

Коли я викликаю в пам'яті спогади з дитинства, то згадую передовсім миті самотності, хоча моя мама та інші члени родини були поруч. Коли я намагаюся сказати, яким я був тоді, то на думку спадає дитина, яка раптово, не знаю, чи раз на день, чи раз на тиждень, чи раз на місяць опиняється осторонь і споглядає на себе. Причому ця дитина виростає оточена турботою та піклуванням.

Загалом, пригадую, хоч і не так чітко, бажання, щоб усі речі залишалися такими, якими вони є. Коли я з сестрою слухав радіо в неділю пополудні, то ми навіть не могли почати слухати, бо ми вже слухали, лежачи на ліжку і задерши ноги догори. А у футбольній команді юніорів я найбільше любив перебувати в центрі поля, бо саме поблизу центру поля гра залишалася такою, як була, і не минала.

Нещодавно на околиці міста, перед церквою, побудованою з бетону, я перестрів жінку з дорослим сином. Парафіяни навколо розсіювалися у різні боки. Старші панове одягали капелюхи і прямували у бік трамвайної зупинки, кілька родин перейшли на інший бік вулиці, всіяної опалим листям, та сіли до авт.

Мати кивала на прощання, а син втупив свій погляд у землю, як це роблять несміливі діти. І тоді сталося наступне: вони зупинилися перед церквою під звуки церковних дзвонів. За якусь хвилю подивилися на мене, я стояв неподалік на тротуарі. Мені здалося, вони просять мене залишитися.

Можливо, вони між собою розмовляли. Ясна річ, то був звичайний день, і, як і всі інші дні, він, ясна річ, проминув. Але щось було інакше, так, ніби на вузькій вулиці двоє незнайомих посміхнулися один до одного. Зустріч із цією жінкою та її сином була в тисячу разів стриманішою. Але панувала рідкісна ясність, якої немає у випадковій посмішці двох незнайомих. Бо я зрозумів (і вони зрозуміли, що я зрозумів), що вони переживають: вони не хочуть, щоб надійшла наступна мить.

Це мало пов'язане з бажанням спинити час та затримати мить. В їхніх очах час спокійно міг би собі йти, спливати або збігати, але наступна мить не мала права надійти. Звук дзвонів міг мінятися з кожним ударом, але останній удар не мав права прозвучати.

Я питаю себе, чи якимось доклався до цієї сцени. Якщо так, то, напевно, тому, що я не спостерігав за мамою та сином, а поглянув на себе самого збоку, як у дитинстві.

II

Мій ідеал у літературі – це щоденник, бо в щоденнику внесок того, хто його пише, мінімальний. Це єдиний

безкорисливий жанр, зовнішній світ присутній в щоденнику як даність – чоловік, жінка, декілька друзів та дітей виходять з будинку на сонячну бічну вуличку – це я побачив у Йонаса Мекаса, режисера з Литви, який задокументував своє життя у Нью-Йорку і сказав: «Моя країна – це поезія».

Мій досвід показує, що там, де я живу, я не можу писати щоденник; лише тоді, коли відбуваю кудись потягом, я відповідно налаштований і можу взятися до нього. Можливо, причина в тому, що вдома все мені близьке та знайоме, а за кордоном навпаки – все чуже і незнайоме? Не дуже в це вірю. Кілька годин – і вже почуваюся за кордоном як удома.

Торік улітку на Єлисейських Полях я несподівано зустрів Йоганнеса, знайомого з Тріра. Разом з дружиною, маленькою дитиною та батьками він сидів на терасі «Мак Дональдса» і їв морозиво. Я сидів на другому поверсі в напівпорожньому залі і дивився на людські тлуми. І я побіг до нього і його родини вниз, ніби вони були моєю ріднею. Його привітність, його батьки, з якими я не був знайомий, його дружина з Персії, зрештою, навіть туристична серпнева спека, транспортні корки – все це було мені ближчим, ніж моє рідне місто, де я вже двадцять років ходжу одними і тими самими вулицями і все ще почуваюся непевно.

Я не можу вести щоденник у Берні не тому, що дуже добре знаю це місто. У кожному оповіданні я лише хочу оповісти про те, що відбувається навколо. Але батьківщина не є такою великодушною. Коли я тільки збираюся описати, що відбувається навколо мене, вже при перших словах, реченнях та сторінках все втрачено: я можу наблизитися до оточення лише символічно, крізь тишу дитинства, навіть якщо це буде безкінечно, але лише наблизитися, чогось іншого батьківщина не допускає. А може, існує такий символічний щоденник?

В літературі люди є ще більше перехожими, ніж в реальному житті. Граційна хода жінки, яка, як

CHRISTIAN ZEHNDER (1983, Schweiz) – Prosaautor, Übersetzer. Studium der Slawistik und Philosophie in Fribourg und München. Derzeit Assistent für slawische Sprachen und Literaturen bei Professor Jens Herth an der Universität Fribourg. 2008 veröffentlichte Christian Zehnder die Erzählung *Gustavs Traum* und 2011 den Roman *Julius*. Er bereitet eine Arbeit zum Thema *Pasternak und das Licht* vor und arbeitet an Übersetzungen aus dem Russischen (Boris Poplavskijs Roman *Apollon Bezobrazov*) und dem Polnischen (Edward Stachura, diverse Erzählungen).

CHRISTIAN ZEHNDER (1983, Szwajcaria) – prozaik, tłumacz. Studiował slawistykę i filozofię we Fryburgu i Monachium. Obecnie pracuje jako asystent w Instytucie Slawistyki i Literatury u profesora Jensa Herltha na uniwersytecie we Fryburgu. W 2008 roku opublikował

zawжди, приховує незграбність, може належати лише перехожій. Сдине, що не проходить – це дитинство, тому воно таке важливе для писання.

Речі, які повторювалися у дитинстві – коли я плакав, дорослі навколо мене, щоденна рутинна романтика – у моїй пам'яті все це відбувалося лише один-єдиний раз: численні родинні свята, коли я тулився до маминих ніг, мусили відбутися, щоб у мене в пам'яті залишилося одне, яке вміщає всі інші. Так, коли я був дитиною, я одного разу плакав, одного разу зрозумів жарт і один раз зачудовано дивився на світ.

Цілком іншими є перехожі на вокзалі, у них неуважний вираз обличчя, їхні лица я довго не можу забути, на відміну від лиць моїх близьких, які я так і не запам'ятав. Це навіть безсумнівна ознака приязні, що зароджується, якщо обличчя когось, кого я бачу дуже часто, так і не стає для мене впізнаваним.

Символічне існує, це – дитинство. Як існує, щоразу по-новому шокуючи, інтимність із перехожими. У цих двох сферах живе для мене писання.

Квітень 2011

P.S.

Мовні, культурні та політичні традиції, тобто предмет швейцарської літератури, про яку я мав би тут говорити, неважливі у порівнянні з фактом, що Швейцарія дала мені дитинство поза межами історії, більше того, поза межами уявлення, що історія існує взагалі. На певні роздуми мене, крім того, наштовхує відсутність швейцарської романтики.

[Переклад: Софія Онуфрив]

opowiadanie *Sen Gustawa*, a w 2011 powieść *Julius*. Obecnie przygotowuje pracę pt. *Pasternak i światło* oraz zajmuje się tłumaczeniami z języka rosyjskiego (powieść *Apollon Bezobrazov* Borysa Popławskiego) i polskiego (różne opowiadania Edwarda Stachury).

КРИСТІАН ЦЕНДЕР (1983, Швейцарія) – прозаїк, перекладач. Вивчав славістику та філософію у Фрибурзі та Мюнхені. Зараз працює асистентом в Інституті славістики і літератури у професора Єнса Герлта в університеті міста Фрибург. У 2008 році Крістіан Цендер опублікував оповідання *Сон Густава*, а у 2011 – роман *Юліус*. Зараз працює над дослідженням *Пастернак і світло*, а також перекладає з російської (роман Бориса Поплавського *Аполлон Безобразов*) і польської (різні оповідання Едварда Стахури).

JULIA FIEDORCZUK

(1975, Polska) – poetka, tłumaczka. Adiunkt na Uniwersytecie Warszawskim, prowadzi zajęcia z literatury amerykańskiej, teorii literatury i ekokrytyki. Nagrodzona przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek za najlepszy debiut (2002). Laureatka niemieckiej nagrody Huberta Burdy za wiersze opublikowane w piśmie „Manuskripte” (2005). Członkini ASLE (Association for the Study of Literature and the Environment). Autorka tomów poezji: *Listopad nad Narwią* (2000), *Bio* (2004), *Planeta rzeczy zagubionych* (2006), *Tlen* (2009), dwóch utworów prozatorskich – tomu opowiadań *Poranek Marii i inne opowiadania* (2010) oraz powieści *Biała Ofelia* (2011).

JULIA FIEDORCZUK (1975, Polen) – Dichterin, Übersetzerin. Wissenschaftliche Mitarbeiterin an der Universität Warschau, hält Lehrveranstaltungen über amerikanische Literatur, Literaturtheorie und Ökokritik. Sie wurde vom Polnischen Verlegerverein für das beste Debüt ausgezeichnet (2002). Preisträgerin des deutschen Hubert-Burda-Preises für ihre Gedichte, die in der Zeitschrift „Manuskripte“ (2005) veröffentlicht wurden. Mitglied bei ASLE (Association for the Study of Literature and the Environment). Autorin folgender Gedichtbände: *November am Narew* (2000), *Bio* (2004), *Der Planet der verlorenen Dinge* (2006), *Sauerstoff* (2009) und zwei Prosawerke: des Erzählbands *Der Morgen der Maria und andere Erzählungen* (2010) und des Romans *Weisse Ophelia* (2011).

ЮЛІЯ ФЕДОРЧУК (1975, Польща) – поетка, перекладачка. Ад'юнкт (доцент) Варшавського університету, веде заняття з американської літератури, теорії літератури та екокритуки. Лауреатка нагороди Польського товариства книговидавців за найкращий дебют (2002) та премії Губерта Бурди за вірші, опубліковані в австрійському часописі „Manuskripte” (2005). Є членкинею ASLE (Асоціація досліджень літератури та довколишнього середовища). Авторка збірок віршів *Листопад над Нарвою* (2000), *Біо* (2004), *Планета загублених речей* (2006), *Кисень* (2009), двох прозових творів – збірки оповідань *Ранок Марії та інші оповідання* (2010) та роману *Біла Офелія* (2011).

Юлія Федорчук Julia Fiedorczuk Julia Fiedorczuk

Fale

fragment

1
jeszcze nigdy nie było takich gwiazd i krwi
słońca o toksycznym świetle żeglarzu
śmiech na dnie
jednostajnie chory
a ja mam usta pełne pereł pigułek snu

nigdy jeszcze nie było takich map dna
to tu
nakrył nas strach nic nie można powiedzieć
dear darkness?

pan się zaciąga i obraca w żart. „Julia”
znów nie chce żyć na pustyni ona tak już ma
kanonicznie po angielsku
niemiecku francusku na wyspie
(pierdolić te wiersze, ang. „fuck these poems”)

jeszcze nigdy nie było takich wysp na marsie życia
po życiu we mgle klonazepam afobam xanax xanax tlen
i cóż tam jest
dziewczynko na zewnątrz TEJ literatury?

(nie ma już ziemi wszystko metafora) bursztyn
zielone szkiełka

jeszcze nigdy
(ty serio?)
nie było takich pereł oczu
zwiewnej topielicy syreny tancerki oceany
są dzisiaj gładkie jak pierś
znasz tę historię Kolumb etc.
Serious Moonlite
muszelki

(tymczasem ona
nie miała na sobie twarzy)

słońce
otworem ci przestrzenne leżą oceany
już nigdy

2
takich gwiazd i krwi słońca żeglarzu
kochał się ze mną a mnie tam nie było
kochał się ze mną jego tam nie było
nie kochaliśmy się obfita miesięczka

i gdzie się podział świat?

kochaj się ze mną teraz jestem tutaj
kochaj się ze mną teraz jesteś tutaj
mówi się: „dymać”

mamy mapę świata
lecz nie mamy świata ani dna
pewnego dnia
an earplane will curve gracefully around the volcano
on my volcano grows the grass i może tam
jest trochę świata (żartuję)
albo wcale nie

(kochaj)
mamy już mapę lecz nie mamy dna
do samego końca (śmiech
w wodzie) do końca
już nigdy

3
takiej krwi pelagiczny kochanku
moja kobieta śpi na dnie jak skarb
oceanu
przyprószone światłem clair de lune kiedy zaczęła pani
swoją przygodę z poezją?

w wieku dojrzewanania
ciepłych gruszek lata (oops) i dalej:

jeszcze nigdy nie było takich światełek (bez urazy)
na suficie morza

moja kobieta
śpi na dnie jak skarb klucz papierosy złoty łańcuszek żeglarzu
oceanu są dzisiaj roztańczone jak wino a ja mam usta pełne
wina i słodczy

Lesvos:

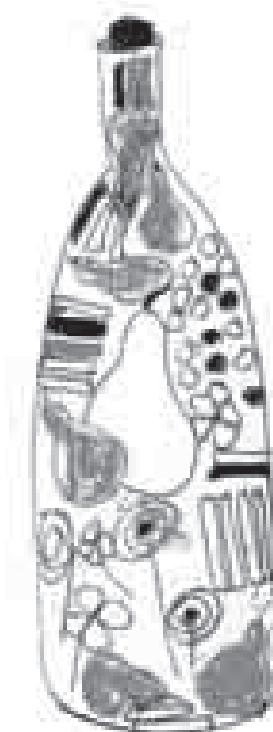
różo miłości pełna just for one day
lilio czystego źródła just for one day
kwitnąca koniczynko just for one day

już nigdy

4.
„bardziej zielona od zielonej trawy” moja kochanka
na dnie
jeszcze nigdy nie było takich gwiazd i krwi
słońca o toksycznym świetle
żeglarzu klonazepam
afobam xanax xanax tlen

la mer mêlée au soleil

już już



© Dorota Gawryszewska

Julia Fiedorczuk Julia Fiedorczuk Юлія Фєдорчук

Хвилі

Фрагмент

1
ще ніколи не було таких зірок і крові
сонця на токсичнім світанні моряче
сміх на дні

монотонно хворий
а мої вуста повні перлин пігулок сну

ніколи ще не було таких карт дня
це тут

накрив нас страх нічого не можна сказати
dear darkness?

ви затягуєтесь пане й обертаєте на жарт. «Юлія»
знов не хоче жити в пустелі їй вже так
канонічно по-англійському
німецькому французькому на острові
(їбати ці вірші, англ.: «fuck these poems»)

ще ніколи не було таких островів на марсі життя
після життя у тумані клоназепам діазепам ксанакс ксанакс кисень
і що ж там дівчинко –
назовні ТІЄІ літератури?

(нема вже землі все метафора) бурштин
зелені скельця

ще ніколи
(ти всерйоз?)
не було таких перлин очей
легкої потопельниці сирени танцівниці океани
сьогодні гладенькі як груди

знаєш цю історію Колумб і т. д.
Serious Moonlite
мушли

(тим часом вона
не мала на собі обличчя)

сонце
тобі відкрились навстіж просторі океани
більше ніколи

2
таких зірок і крові сонця моряче
кохався зі мною мене ж не було там
кохався зі мною його не було там
ми не кохались рясні були місячні

і куди дівся світ?

кохайся зі мною тепер я тут
кохайся зі мною тепер ти тут
кажуть: «трахатись»

у нас є карта світу
але немає ні світу ні дна

одного дня
an earplane will curve gracefully around the volcano
on my volcano grows the grass і можливо там
є трохи світу (жартую)

а може й зовсім ні

(кохай)
ми вже маємо карту але не маємо дна
до самого кінця (сміх
у воді) до кінця

більше ніколи

3
такої крові пелагічний коханцю
моя жінка спить на дні наче скарб

океани
припорошені світлом clair de lune коли почалась прошу
пані

ваша пригода з поезією?
в період

дозрівання
теплих груш літа (упс!) і далі:

ще ніколи не було таких світляків (без образи)
на стелі моря

моя жінка
спить на дні наче скарб ключ цигарки золотий ланцюжок
моряче
океани сьогодні у танці мовби вино а мої вуста повні
вина і солодощі

Lesvos:

трояндо любові повна just for one day
ліліє чистого джерела just for one day
квітуча конюшинко just for one day

ніколи вже

4.
«зеленіша ніж зелена трава» моя коханка
на дні

ще ніколи не було таких зірок і крові
сонця на токсичнім світанні
моряче клоназепам
діазепам ксанакс ксанакс кисень

la mer mêlée au soleil
вже вже

Юлія Фєдорчук Julia Fiedorczuk Julia Fiedorczuk

Wellen

Auszug

1
solche Sterne gab es noch nie und Blut
der Sonne in der toxischen Früh Seemann
Lachen am Grunde

gleichmäßig krank
und ich habe den Mund voll von Perlen Pillen des Schlafs
noch nie gab es solche Karten vom Grunde
war das hier

wo uns die Angst zudeckte kann man nichts
sagen
dear darkness?

sie sprechen in Zungen und spotten, mein Herr. „Julia“
will wieder nicht in der Wüste leben so sehr ist sie schon
kanonisch auf Englisch
Deutsch Französisch auf dieser Insel
(ficken diese Gedichte, engl. „fuck these poems“)

solche Inseln gab es noch nie auf dem Mars des Lebens
nach dem Leben im Nebel klonazepam afobam xanax xanax
sauerstoff
und was ist denn

Mädel auf der Außenseite DIESER Literatur?

(keine Erde mehr alles Metapher) Bernstein
Glasperlen grün

nie gab es solche

(dein Ernst?)

solche Augenperlen gab es nie
der flüchtigen Ertrunkenen Nixe Tänzerin die Ozeane
sind heute glatt wie eine Brust

du kennst die Geschichte Kolumbus

usw.
Serious Moonlite

Muscheln

(während sie
kein Gesicht trug)

die Sonne
offen vor dir liegen weit die Ozeane
nie mehr

2
solche Sterne und Blut der Sonne Seemann
er schlief mit mir aber ich war nicht da
er schlief mit mir er war nicht da
wir liebten uns nicht starke Blutung

und wo war die Welt hin?

schlaf mit mir jetzt bin ich hier
schlaf mit mir jetzt bist du hier
man sagt: „vögeln“

wir haben eine Karte der Welt
aber keine Welt und keinen Grund

eines Tages
an earplane will curve gracefully around the volcano
on my volcano grows the grass und dort vielleicht
gibt es ein wenig Welt (kleiner Witz)

oder gar nicht

(liebe)
wir haben schon die Karte aber keinen Grund
bis ans letzte Ende (Lachen
im Wasser) bis ans Ende

nie mehr

3
solches Blut pelagialer Geliebter
meine Frau schläft am Grund wie ein Schatz

die Ozeane
übergraut vom Licht clair de lune wann hat das angefangen für Sie
mit dem Abenteuer der Poesie?

während der Puber-
tät
der warmen Birnen des Sommers (Oops) und weiter:

solche Bullaugen gab es noch nie (nichts für ungut)
an der Zimmerdecke des Meeres

meine Frau
schläft auf dem Grund wie ein Schatz Schlüssel Zigaretten Goldkettchen
Seemann
tänzerisch sind heute die Ozeane wie Wein und ich habe den Mund voll
von Wein und Süße

Lesbos:

Rose der Liebe voll just for one day
Lilie aus reiner Quelle just for one day
Honigduftender Klee just for one day

nie mehr

4.
„grüner als das grüne Gras“ meine Geliebte
am Grund

solche Sterne gab es noch nie und Blut
der Sonne in der toxischen Früh
Seemann klonazepam
afobam xanax xanax sauerstoff

la mer mêlée au soleil
ja ja, ich komm ja

【Переклад: Остап Сливинський, Übersetzung: Andre Rudolph】

(1980, Deutschland) – Lyrikerin, Slammerin. Sie ist Schweizerin und Deutsche. Als Lyrikerin legt sie im Herbst 2011 ihre sechste Werkausgabe vor unter dem Titel *Mein Gedicht fragt nicht lange* (mit CD) und den Essayband *Ich werde etwas mit der Sprache machen*. Seit 2006 wird sie bei Voland & Quist Leipzig verlegt. Gomringer widmet sich zunehmend der Arbeit für Rundfunk und erweitert ihre frühe Leidenschaft für Rezitation, wofür sie 2011 mit dem Jacob Grimm Preis Deutsche Sprache ausgezeichnet wird. Besonderes Augenmerk legt die Lyrikerin auf das Sprechen von Poesie.

NORA GOMRINGER (1980, Niemcy) – poetka, slamerka. Jest zarówno Szwajcarką jak i Niemką. Na jesieni 2011 wydaje swój szósty tomik poetycki pt. *Mój wiersz nie pyta za długo* (z płytą CD) oraz zbiór esejów *Zrobię coś z językiem*. Od 2006 roku jej wydawcą jest Voland & Quist Leipzig. Autorka poświęca się również pracy w radio i swojej namiętności związanej z recytacją, za co wyróżniona została w 2011 roku Nagrodą Języka Niemieckiego im. Jacoba Grimma. Autorka przykłada szczególną wagę do recytowania poezji.

НОРА ГОМРІНГЕР (1980, Німеччина) – поетка, слемерка. Є водночас швейцаркою та німкенєю. Восени 2011 року видає свою шосту збірку віршів під назвою *Мій вірш не питає надто довго* (з компакт-диском) та книгу есе *Зроблю щось із язиком*. З 2006 року її видавцем є Voland & Quist Leipzig. Поетка віддається також роботі на радіо та своєму захопленню – декламації, за яку 2011 року отримала Нагороду німецької мови ім. Якоба Гріма. Декламування поезії постійно перебуває в центрі її уваги.

Як я пояснюю Берлін

Це якась особлива мова, вона примушує мене казати
Місто, ця єдина хвороба
Інфікує тугою всю землю
Застерігаю тебе від мене.
Не закохуйся в мене. Я не зможу тебе покохати,
В мене стілілки всього.
А це завжди початок кінця
Всієї градобудови, кожної пристрасти.
Була б я будинком, я була б кривою
Не затишною. Я б іскрилась
Безвартісно.
Мережа моїх вулиць схожа на клітину чуми
Під мікроскопом – не смію цього сказати.
Треба заткати мені рот.
Це ім'я промовляють пошепки, з блиском в очах
Місто велике, строкате, янусолике.
Я є.
У мене коліські вмурували серця, розстріляли
Міняйл. Сьогодні я вагітна жінка
З каштановим песиком і рожевими немовлям,
Коли я з'явлюся з-за рогу,
Побачиш мої шви.

Wie Erkläre Ich Berlin

Das Ist Eine Eigene Sprache, Die Mich Sagen Lässt
Eine Stadt, Die Eine Krankheit
Den Erdball Infiziert Mit Sehnsucht
Ich Muss Dich Vor Mir Warnen.
Verlieb Dich Nicht In Mich. Ich Kann Dich Nicht Lieben,
Habe Sooo Viel Zu Tun.
Und Das Ist Immer Der Anfang Vom Ende
Allen Städtebaus, Aller Leidenschaft.
Wäre Ich Ein Haus, Ich Wäre Schief
Und Nicht Wohnlich. Ich Würde Funkeln.
Wertlos.
Mein Strassennetz Gleicht Einer Pestzelle
Unter Dem Mikroskop – Das Darf Ich Nicht Sagen.
Man Muss Mir Den Mund Zuhalten.
Den Namen Flüstert Man Mit Glänzenden Augen
Grosse Stadt, Bunt Und Janusköpfig.
Ich Bin.
In Mir Einst Eingemauert Die Herzen Und Erschossen
Die Wechsler. Heute Bin Ich Eine Schwangere Frau
Mit Einem Braunen Hund Und Einem Pinken Baby.
Und Wenn Ich Um Die Ecke Komme,
Siehst Du Meine Nähte.

Jak mam wyjaśnić Berlin

To specyficzny język, który każe mi mówić
Miasto, ta jedna choroba
Zarazająca kulę ziemską tęsknotą
Muszę cię ostrzec przed sobą.
Nie zakochuj się we mnie. Nie mogę cię kochać,
mam tyyye roboty.
I taki jest zawsze początek końca
Każdej urbanistyki, każdej namiętności.
Gdybym była domem, byłabym krzywa
A nie przytulna. Lśniłabym.
Bez wartości.
Moja sieć ulic przypomina komórkę dżumy
Pod mikroskopem – nie wolno mi tego mówić.
Trzeba mi zamknąć usta.
Tę nazwę szepcze się z błyszczącymi oczami
Wielkie miasto, kolorowe i z janusowym obliczem.
Jestem.
Zamurowane kiedyś we mnie serca i zastrzeleni
Pracownicy kantorów. Dziś jestem kobietą w ciąży
Z brązowym psem i różowutkim niemowlęciem.
A gdy się przypadkiem pojawię,
zobaczysz moje szwy.

Was sind die Alternativen?

Nach Sheffield ziehen
 Schafe züchten
 Nen Laden öffnen
 Allen alles verkaufen
 Verbindungen nutzen
 Aufstehen
 Gar nicht erst hinsetzen
 Nie mehr Eis essen
 Die Kasse leeren
 Den Beutel füllen
 Mit Frauen schlafen
 Sich im Vorbeigehen in der Scheibe betrachten
 Das lassen
 Nie mehr Unterwäsche tragen
 Nur noch reisen
 Nur noch schlafen
 Auch ein Kind aus Korea adoptieren
 Kleine Brillen tragen
 Die Pille aussetzen
 Vollmilch
 Auch ein Kopftuch tragen
 In München wohnen

Ein künstlicher Darmausgang
 Ohne Vollnarkose
 Acrylnägel
 Am Ende des Tages nicht versöhnt ins Bett gehen
 Den Richtigen wählen
 Hoffnung haben
 Beten
 Beichten
 Alles
 Grußformeln wie: Nette Grüße und Lies mehr!
 Augen zu um 8
 Katzen und Möbel aus Holz
 Schatten und Scherze
 Verliebt bleiben
 Gute Noten heimbringen
 Schuhe mit Riemchen
 Mal kerzengerade
 Mal ohne mich
 Mal ohne M
 ich

Jakie są alternatywy?

Przenieść się do Sheffield	Zamieszkać w Monachium
Zająć hodowlą owiec	Sztuczny odbyć
Otworzyć sklep	Bez pełnej narkozy
Wszystkim sprzedawać wszystko	Gwoździe akrylowe
Wykorzystywać kontakty	Na końcu dnia nie iść bez buntu do łóżka
Wstać	Wybrać właściwego
Wcale najpierw nie siadać	Mieć nadzieję
Już nigdy nie jeść lodów	Modlić się
Opróżnić kasę	Spowiadać
Napełnić sakiewkę	Wszystko
Spać z kobietami	Formy pozdrowień jak Miłe pozdrowienia i Więcej czytaj!
Przechodząc przejrzeć się w szybie	Zamykać oczy o 8
Zaniechać tego	Koty i meble z drewna
Nigdy więcej nie nosić bielizny	Cienie i cienkie żarty
Odtąd tylko podróżować	Nadal być zakochaną
Odtąd tylko spać	Przynosić do domu dobre oceny
Też adoptować dziecko z Korei	Buty z pasczkiem
Nie nosić okularów	Raz prosto jak świeca
Odstawić pigułkę	Raz beze mnie
Pełne mleko	Raz bez M
Też nosić chustę	nie

А альтернативи які?

Переїхати в Овернь	Тільки спати і все	Все
Розводити овець	І собі всиновити дитинку з Кореї	Формули ввічливості як-от: Щирі вітання, читай більше!
Відкрити крамничку	Не носити окуляри	Заплющ очі о 8
Всім все розпродати	Перестати запобігатися	Коти й меблі з дерева
Згадати про зв'язки	Повністю домашнє молоко	Тіні й відтінки
Встати	І собі носити чадру	Залишитися закоханою
Взагалі не сідати	Жити в Мюнхені	Приносити добрі оцінки
Ніколи не їсти морозива	Штучний задній прохід	Взуття на зав'язках
Спорожнити касу	Не повністю під наркозом	То в тім'я
Набити гаман	Акрилові нігті	То в ім'я
Спати з жінками	В кінці дня не лягати замирено в ліжко	То без і і без м
Розглядати себе у вітринах	Знайти саме того	я
Лишитися того	Сподіватися	
Ніколи не носити білизни	Молитися	
Тільки подорожувати і все	Сповідатися	

Kleine Schamszene

Vietnamesische Mutter an deutschem Bahnhof –
 im Vergleich
 zu den großen, schweren Menschen dieser Welt
 federleicht, ein Schleier
 im Vergleich zu den anderen Abschiednehmenden
 die reine Vernunft, Zurückhaltung in Allem
 im Vergleich
 ist der Buddhismus zwar die allumspannende Liebe
 ist sie aber auch eine Mutter, eifersüchtig, wortlos
 im Vergleich
 sagt der Sohn akzentfrei: stell dich hinter die weiße Linie.

Im Vergleich versteht sie etwas anderes und
 befolgt nur die Geste. So hat sie hier gelernt,
 was ihm beigebracht wurde.

Als er im Zug sitzt
 macht er eine Bewegung
 durch die Scheibe,
 die einem Hund anzeigt,
 er solle verschwinden.

Im Vergleich
 Ist er ungerührt.



© Dorota Gawryszewska

Mała wstydliva scena

Wietnamska matka na niemieckim dworcu –
w porównaniu
z dużymi, ciężkimi ludźmi tego świata
lekka jak piórko, woal
w porównaniu z innymi żegnającymi się
czysty rozum, powściągliwość we wszystkim
w porównaniu
buddyzm jest wprawdzie wszechogarniającą miłością
ale ona jest także matką, zazdrosną, bez słów
w porównaniu
syn mówi bez akcentu: stań za białą linią.

W porównaniu ona rozumie coś innego i
stosuje się tylko do gestów. Tak tutaj się nauczyła,
jemu to wpojono w szkole.

Kiedy on siedzi już w pociągu
wykonuje ruch
przez szybę,
jak pokazuje się psu,
żeby zmykał.

W porównaniu
on jest niewzruszony.

Сценка сорому

Мати-в'єтнамка на німецькій вокзалі –
в порівнянні
з великими, важкими людьми цього світу
легенька пір'їнка, серпанок
у порівнянні з усіма, що прощаються,
чистий розум, стриманість геть у всьому
в порівнянні
буддизм хоч і є всеосяжна любов
та вона все-таки мати, ревнива, без слова
в порівнянні
син без тіні акценту: стань за білу лінію, каже.

В порівнянні вона розуміє щось інше і
кориться самому лиш жесту. Так навчилась того,
чого його тут навчили.

Уже сидячи в потязі,
він рукою крізь шибку
робить рух,
як показують псові,
аби той забирався.

В порівнянні
він незворушний.

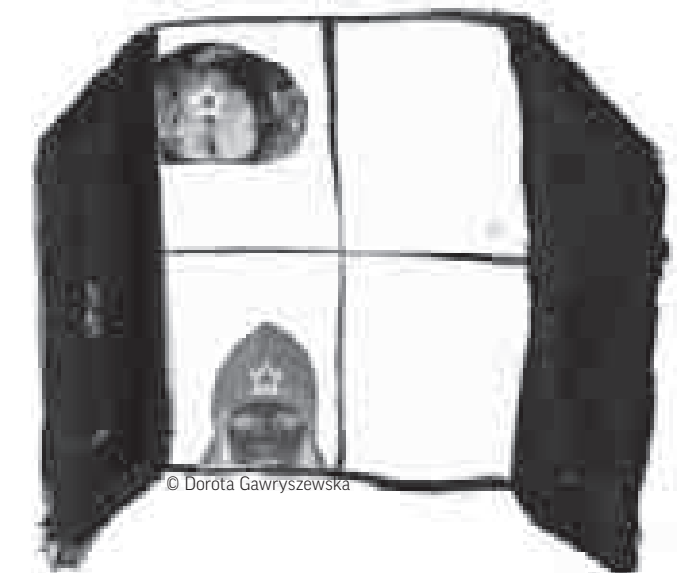
Sie ruinieren das Parkett

Als du nicht anriefst
In unserem Haus,
in das ich allein gebannt war,
deine Briefe wie langvergessene Cousins
mit langsamen Herzschlägen eintrafen und
trotz aller Unsichtbarkeit Feierlichkeiten und
Gaben verlangten,
deine Frauen jedoch begannen,
ein und aus zu gehen,
durch die Fensterläden
mir auf die Teller lugten,
aus den Rinnen quollen,
an den Ranken blühten,
am Spiegel klopfen
und mich anatmeten

und das Alles auch aus ihren Briefen,
die ich öffnete, um ihr Flattern im Zimmer
zu unterbinden,

wuchsen Bovisten aus dem Parkett –
ein Myzel, unterwucherte das morsche Haus,
das dunkel am Rand der Wege stand

zum Abort deines Herzens geworden,
der du aufgehoben warst in einem
Frauennetz, gesponnen von
Weberinnen, nassfingrig, gelbäugig
diese Spinnerinnen.



© Dorota Gawryszewska

Diese Briefe!

Als du weiter schwiegst
gar leugnetest, lächerlich – bei deinem Gedächtnis!
an solche Dinge gedacht zu haben,
trotz aller Post und Kuverts
verklebt mit Vergiss-mein-nicht-Lippen
begann ich mich auszurotten,
holte die Harke und kämmte mich aus.
Zog an den Bovisten, schlug Furchen
In das Parkett.

Lächerlich, diese Sargbretter!

Rujnują parkiet

Kiedy dzwoniłeś do mnie
w naszym domu,
do którego tylko ja byłam przykuta,
twoje listy jak dawno zapomniani kuzyni
przybywały na zwolnionych uderzeniach serca i
mimo całej niewidzialności domagały się
odświętnego przyjęcia i darów,
twoje kobiety zaczęły jednak
regularnie przychodzić,
przez okiennice
zaglądały mi do talerzy,
wypływały z rynien,
kwitły na pnączach,
stuknęły w lustro
i muskały mnie swoim oddechem

a wszystko to także z ich listów,
które otwierałam, żeby ukrocić
ich fruwanie po pokoju,

z parkietu wyrastały purchawki –
grzybnia, płożąca się pod spróchniałym domem,
ciemną bryłą na skraju drogi,

który stał się wychodkiem twojego serca,
a ty znalazłeś schronienie w
kobiecej sieci, uprzedzonej przez
tkaczki o mokrych palcach, żółtych oczach,
te prządki.

Te listy!

Kiedy nadal milczałeś
wręcz wypierałeś się, to śmieszne – mając świetną pamięć!
że myślałeś o takich rzeczach,
pomimo całej tej poczty i kopert
zaklejonych niezapominajkowymi usteczkami
zaczęłam siebie usuwać,
wzięłam grabie i zaczęłam się wyczesywać.
Wyciągałam purchawki, ryłam bruzdy
W parkiecie.

Śmieszne te deski na trumnę!

Ви нищите паркет

Коли ти не задзвонив
У нашому домі,
в якому я відбувала самотнє заслання,
твої листи, як давно забуті кузени,
прибували неквапним пульсом і,
попри всю непоказність, вимагали
врочистости й дарів,
а тим часом твої жінки пустилися
входити і виходити,
крізь віконниці,
зизили мені в тарілку,
бухтіли з канав,
в'юнилися вусиками,
стукнули в дзеркало,
дихали мені в лице

і все це ще й з їхніх листів,
які я відкривала, щоби припинити
їх пурхання в кімнаті,

виростали з паркету порхавки –
міцелій буяв під порохнявим будинком,
що темнів край доріг,

виходком твого серця ставши,
тебе, прихищеного в
жіночих тенетах, сплетених
прялями, жовтооки, вогкопалі
ці прялі.

Ці листи!

А коли ти й далі мовчав,
заперечував навіть, смішно – з твею-то пам'яттю! –
що подбав за ці речі,
попри всю пошту й конверти,
заліплені рожевими губками-бантиком,
я взялася себе корчувати,
взяла сапку й полола себе.
Рвала порхавки, рила борозни
в паркеті.

Сміховинні ці дошки домовинні!

JÜRIG HALTER

(1980, Schweiz) – Dichter, Autor und Performance-Künstler. Gehört in der Schweiz zu den wichtigsten literarischen Stimmen seiner Generation. Studium an der Hochschule der Künste in Bern. Gründer der Spoken-Word-Songs-Band Schule der Unruhe. Inszenator diverser Theatershows. Unter dem Namen Kutti MC ist er auch als Rapper bekannt und hat bisher drei Alben veröffentlicht. Als Jürg Halter bisher zwei Buchveröffentlichungen: *Ich habe die Welt berührt* (2005) und *Nichts, das mich hält* (2008). Ein Spoken-Word-Hörbuch: *Aber heute ist der Tag, an dem ich mehr als sprechen will* (2007). Zahlreiche Auftritte an renommierten Literaturfestivals in Europa, Russland, den U.S.A. und Afrika. Essays und Kolumnen für diverse Zeitungen, Zeitschriften, Anthologien. www.juerghalter.com

JÜRIG HALTER (1980, Szwajcaria) – poeta, prozaik, performer. W Szwajcarii należy do najważniejszych głosów swojego pokolenia. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Bernie. Założyciel grupy Schule der Unruhe. Inscenizował liczne przedstawienia teatralne. Jest też znany jako raper i jako Kutti MC wydał jak dotąd trzy płyty. Jest autorem dwóch książek: *Dotknąłem świat* (2005) i *Nic, co mnie trzyma* (2008) oraz jednego audiobooka ze śpiewaną poezją: *Ale dziś jest ten dzień kiedy chcę nie tylko mówić* (2007). Liczne występy na dużych festiwalach literackich w Europie, Rosji, USA i Afryce. Pisał eseje i artykuły w różnych gazetach, czasopismach, antologiach. www.juerghalter.com

ЮРІ ГАЛЬТЕР (1980, Швейцарія) – поет, письменник і перформер. Належить до найвідоміших літераторів свого покоління. Навчався у Вищій школі мистецтв у Берні. Заснував групу Школа неспокою, яка виконувала співану поезію. Був ініціатором численних театральних шоу. Відомий також як репер під іменем Kutti MC і записав три альбоми. Опублікував під іменем Юрга Гальтера дві книги: *Я торкнувся світу* (2005) і *Ніщо з того, що мене тримає* (2008). Автор аудіокниги співаної поезії *Але сьогодні день, коли я не хочу більше говорити* (2007). Він багато разів виступав на відомих літературних фестивалях Європи, Росії, США та Африки. Публікує есеї та колонки у багатьох газетах, журналах, антологіях. www.juerghalter.com

Neue Zeitrechnung

Gesättigt ruht der Mensch
vor dem Aas der Welt
inmitten einer Wüste

Der nächste Morgen scheint
tausend Jahre fern
der Hunger für immer gestillt

Gewiss ziehen die Geier
dort oben ihre Kreise nur
um sich selber zu weihen

Diese Wüste ist eine Fata Morgana
der Untergang findet wohl statt
aber nicht doch auf unserem Stern



Новий відлік часу

Сито відпочиває людина
над падаллю світу
серед пустелі

Завтрашній день здається віддаленим
на тисячу років
голод назавжди втамовано

Впевнено тягнуться шуліки
там угорі їхнє кружляння лише
для самопосвяти

Ця пустеля – фата-моргана
все напевно занепадає
але не на нашій зірці

Nowa rachuba czasu

Syty człowiek spoczywa
przed padliną świata
pośrodku pustyni

Następny poranek wydaje się
oddalony o tysiące lat
głód zaspokojony na zawsze

Na pewno sępy w górze
zataczają swoje kręgi tylko po to
żeby siebie uświęcić

Ta pustynia to fatamorgana
zagłada zdarza się, owszem
ale nie na tej planecie

Cuba Bar Woche

Es ist immer drei Uhr Morgens hier
eine Woche unter Getriebenen
suche ich nach Konfrontation

Rede mit jenen Menschen über jenes
merke mir jedes Gespräch
um jedes Wort
für Wort wieder zu vergessen.

Eine andauernde Party ist bestimmt kein Fest.

In der Cuba Bar ist es immer drei Uhr Morgens
inmitten authentischer Dekoration bist du der Anfang
vom Ende, so wurde es mir erzählt

Du lachst als Che-Guevara-Portrait von der Wand
dein Sieg ist gewiss, kein Sieg
auch hier drehen sich Köpfe nach immer noch
besseren Möglichkeiten um

Schliesslich werden Nächte nicht zu Tagen
sie bleiben Nächte
was immer ich auch suche, treffe überall
bloss auf mich selbst, ernüchternd

Und wer ich wirklich bin
weiss nur die dauerbesoffene Kakerlake
die dort im Spalt hinter den Schnäpsen haust
bis der Pächter sie eines Tages kunstlos tot tritt

Тиждень у барі «Куба»

Тут завжди третя година ранку
тиждень поміж метушні
шукаю я конфронтацій

Говорю з різними людьми про різне
запам'ятовую кожну розмову
щоби слово
за словом знову забути

Постійна вечірка напевно не є святом

В барі «Куба» завжди третя година ранку
посеред автентичних декорацій ти є початком
кінця, так мені говорилося

Ти смієшся як портрет Че Гевари зі стіни
твоя перемога – це точно не перемога
тут теж озираються голови за щоразу
кращими можливостями

Зрештою, ночі днями не стануть
лишаються ночами
чого б я не шукав, потрапляю повсюди
лише на самого себе, протверезівши

І ким я є насправді
знає лише постійно п'яна тарганиха
котра живе в шпарці за пляшками
доки одного дня господар невибагливо
на неї не наступить

Tydzień w Cuba Bar

Tu zawsze jest trzecia nad ranem
tydzień wśród nieznajdących spokoju
szukam konfrontacji

Gadam z tamtymi ludźmi o tamtym
zapamiętuję każdą rozmowę
żeby każde słowo
po słowie z powrotem zapomnieć.

Nieustające przyjęcie to na pewno nie święto.

W Cuba Bar zawsze jest trzecia nad ranem
wśród autentycznych dekoracji jesteś początkiem
końca, tak mi powiedziano

Śmiejesz się jako portret Che Guevary na ścianie
twoje zwycięstwo jest pewne, żadne zwycięstwo
także tutaj głowy obracają się
za coraz lepszymi możliwościami

Ostatecznie noce nie zamieniają się w dnie
pozostają nocami
czegokolwiek szukam, wszędzie natykam się
tylko na samego siebie, to otrzeźwiający

A kim naprawdę jestem
wie tylko wiecznie pijany karaluch
mieszkający w szczelinie za butelkami wódki
dopóki dzierżawca pewnego dnia zwyczajnie go nie rozdepcze

Die Welle

Ich stehe am Ufer, sehe die Welle nicht
nur die Bilder der Stadt hinter meinem Rücken
nachdem sie die Welle getroffen haben wird

Die Sonne taucht rot ins Meer
tief unter der Oberfläche schieben sich
tektonische Platten übereinander

Ich stehe am Ufer, in meinen Armen
der Körper eines Kindes, dessen Herz weiter
schlägt
als wäre alles nur ein böser Traum gewesen –
kann mich nicht erinnern, eingeschlafen zu sein.

Хвиля

Я стою на березі, не бачу хвиль
лише зображення міста за моєю спиною
після того як воно зустрілося з хвилею

Сонце червоно западає в море
глибоко під поверхнею рухаються
одна над іншою тектонічні площини

Я стою на березі, на моїх руках
тіло дитини, чиє серце далі б'ється
так ніби все - лише страшний сон що минув –
не можу згадати, щоб я засинав.

Fala

Stoję na brzegu, nie widzę fali
tylko obrazy miasta za moimi plecami
gdy miasto napotka fale

Słońce zanurza się w morzu
głęboko pod powierzchnią nasuwają się
na siebie płyty tektoniczne

Stoję na brzegu, w moich rękach
ciało dziecka, którego serce bije nadal
jakby wszystko było tylko złym snem –
nie przypominam sobie, żebym zasnął.



Mein Beitrag zum Weltkulturerbe

Ich wünsche diesem Gedicht Millionen von Lesern
in allen möglichen Sprachen
ich wünsche, dass dieses Gedicht fortgeschrieben
wird
bis in die fernste Zukunft
mindestens so lange wie es die Menschen gibt
soll dieses Gedicht hier rezitiert werden
ich denke, weniger als dies zu erhoffen
wäre kaum weniger vermessen als das Gedicht
überhaupt zu veröffentlichen

Mój przyczynek do kulturowego dziedzictwa świata

Życzę temu wierszowi milionów czytelników
we wszystkich możliwych językach
życzę, żeby ten wiersz był pisany dalej
w najodleglejszej przyszłości
przynajmniej tak długo jak będzie istniał gatunek ludzki
niech ten wiersz będzie recytowany
myślę, że gdyby mieć nadzieję na coś mniej
byłoby to niewiele mniejszą zuchwałością
niż w ogóle opublikowanie tego wiersza

Мій внесок до всесвітньої культурної спадщини

Я бажаю цьому віршеві мільйона читачів
всіма можливими мовами
я бажаю, щоби цей вірш було дописано
в далекому майбутньому
щонайменше настільки далекому доки ще будуть люди
якби цей вірш мали тут декламувати
гадаю, очікувати менше від цього
було б заледве менш непомірно, аніж цей вірш
взагалі оприлюднювати



© Dorota Gawryszewska

Święta rodzina

Przy oknie matka kołysze dziecko do snu
trzy monitory oświetlają pokój

Przed jednym ojciec, przed drugim córka
mijają godziny
matka leży na kanapie z dzieckiem na rękach

Ojciec i córka przysnęli przed swoimi monitorami
od tygodni rodzina nie opuszcza mieszkania
matka siedzi przy pianinie, gra znaną piosenkę

Powierzchnia wody w wannie
w pokoju obok marszczy się nieznacznie
godziny mijają albo dni

Przy oknie matka kołysze dziecko do snu
trzy monitory oświetlają pokój
Coś wybuchło, trwa albo dobiegło już końca

Святе сімейство

Коло вікна матір заколисує дитину
три екрани освітлюють кімнату

Перед одним батько, перед іншим донька
минають години
матір лягає на софу, дитя на руках

Батько й донька заснули перед своїми екранами
вже кілька тижнів родина не виходить із будинку
матір сидить за піаніно, награв своє довірливу пісню

Поверхня води у ванні
в кімнаті поруч дещо вирує
години минають чи можливо дні

Коло вікна матір заколисує дитину
три екрани освітлюють кімнату
щось зламалося, триває чи добігає кінець

Die heilige Familie

Am Fenster wiegt die Mutter das Kind in den Schlaf
drei Bildschirme beleuchten das Zimmer

Vor einem der Vater, vor einem die Tochter
Stunden vergehen
die Mutter liegt auf dem Sofa, Kind im Arm

Vor ihren Bildschirmen sind Vater und Tochter eingenickt
seit Wochen hat die Familie das Haus nicht mehr verlassen
die Mutter sitzt am Klavier, spielt ihr vertrautes Lied

Die Oberfläche des Wassers in der Badewanne
im Zimmer nebenan kringelt sich wenig
Stunden vergehen oder sind es Tage

Am Fenster wiegt die Mutter das Kind in den Schlaf
drei Bildschirme beleuchten das Zimmer
Etwas ist ausgebrochen, dauert oder ist schon zu Ende

ОЛЕГ ЛИШЕГА

(1949, Україна) – поет, прозаїк, драматург, художник. Навчався у Львівському університеті, звідки був виключений за участь у неофіційному літературному колі „Львівська богема” та публікацію в альманасі *Скриня*. З 1972 до 1988 року йому було офіційно заборонено публікуватися в Радянському Союзі. Працював на хутрянній фабриці та художником-декоратором на кінофакультеті київського театального інституту. Згодом закінчив кінофакультет Київського державного інституту театального мистецтва ім. Карпенка-Карого. Автор поетичних книг *Великий міст* (1989), *Снігови і вогню* (2002), прозової збірки *Друже Лі Бо, брате Ду Фу* (2010). 2000 року Лишега та його англійський перекладач Джеймс Бресфілд отримали нагороду ПЕН-клубу за переклад англійською мовою збірки *Вибрані вірші*. Олег Лишега перекладає з англійської (Д. Г. Лоуренс, Е. Паунд, Т. С. Еліот, М. Твен). Живе у Львові.

OLEH LYSZCHEHA (1949, Ukraine) – Dichter, Prosaiker, Dramaturg, Künstler. Er studierte an der Lemberger Universität, von welcher er aufgrund seiner Beteiligung in der geheimen, literarischen Gruppe „Lemberger Bohème“ und seiner Veröffentlichung im Jahrbuch *Die Kiste* ausgeschlossen wurde. In den Jahren 1972 bis 1988 hatte er gesetzliches Publikationsverbot in der Sowjetunion. Er arbeitete als Künstler-Dekorateur in einer Pelzwarenfabrik. Lyscheha beendete sein Studium der Filmwissenschaft am Kiewer Nationalen Pädagogischen Karpenko-Kareg Institut. Autor der Gedichtbände *Die große Brücke* (1989), *Dem Schnee und dem Feuer* (2002), der Prosasammlung *Freund Li Bai, Bruder Du Fu* (2010). Im Jahr 2000 wurden Lyscheha und James Bresfield, der seine Werke ins Englische übersetzt, für die englische Übersetzung seines Gedichtbandes *Ausgewählte Gedichte* mit dem Preis des PEN-Clubs ausgezeichnet. Oleh Lyscheha übersetzt ebenfalls aus dem Englischen (D.H. Lawrence, E. Pound, T.S. Eliot, M. Twain). Er lebt in Lemberg.

OLEH ŁYSZEHA (1949, Ukraina) – poeta, prozaik, dramaturg, artysta. Studiował na Uniwersytecie Lwowskim, skąd został usunięty za udział w nieoficjalnym kole literackim „Lwowska bohema” oraz za publikację w almanachu *Skrzynia*. Od 1972 roku do 1988 roku miał oficjalny zakaz publikacji w Związku Radzieckim. Pracował w fabryce futra jako artysta-dekorator. Ukończył filmoznawstwo na Kijowskim Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej im. Karpenka-Karego. Autor tomów poetyckich *Wielki most* (1989), *Śniegowi i ogniu* (2002), zbioru prozatorskiego *Przyjacielu Li Bai, bracie Du Fu* (2010). W roku 2000 Łyszeha oraz tłumacz jego utworów na język angielski James Bresfield otrzymali nagrodę PEN Clubu za tłumaczenie na język angielski tomu *Wiersze wybrane*. Oleh Łyszeha tłumaczy z języka angielskiego (D. H. Lawrence, E. Pound, T. S. Eliot, M. Twain). Mieszka we Lwowie.

Jastrząb

- A dokąd prowadzi ta droga?
- A przejdziecie przez jedno lato,
potem miniecie jeszcze jedno mniejsze
i jeszcze mniejsze – tam będzie wioska Pohonia...
Ubita polna droga, popękana jak gliniana skorupa,
dokola sama czerwona koniczyna i chmury.
Ktoś zgubił wiązkę owianej słomy –
prosto pośrodku drogi..
Przysiądź trochę.. jeszcze iść a iść..
Nie dajcie spokoju trzmiel.. tu jest twoja nora?
Nie mam nektaru..
Czy przekazujesz mi znak trwogi?
Idę już, idę!
Od razu za plecami wzbija się wir powietrza
i łapie słomę..
Pod górą pasie się całe stado gołębi domowych
i kiedy wzlatają prosto w słońce –
z nieba nagle sypie się rybia łuska...
Potem, żeby choć trochę schować się w chłodzie,
poszedłem na przelaj
przez kukurydzę, koński żąb –
Boże, jak zniszczyły ją dziki!
Nadgrzyzione, wyplute kolby..
Zakrwawione strzępy sierści po nocnym szabacie..
Dokąd to zaprowadzi mnie ta poryta kłami droga..
Czy naprawdę do domu?
A gdzie jest twój dom.. może jastrząb wie? –
rozpostarte skrzydła przejryste
i pośrodku ciemna plamka, jak u motyla,
który zawisł na całej lato nad górą..
Ale widzisz? – urwało się lato –
on się zachwiał.. idź za nim..

Яструб

А куди веде ця дорога?
Та перейдете через одне літо,
Далі минете ще одне менше,
І ще менше – там буде село Погоня..
..Бита польова дорога, розстріскана, як черепок,
Довкола сама червона конюшина і хмари..
Хтось загубив оберемок вівсяної соломи –
Прямо посеред дороги..
Присяду трохи.. ще йти і йти..
Не дає спокою джміль.. тут твоя нора?..
У мене немає нектару..
Чи подаєш мені тривожний знак?..
Та йду вже, йду!..
Відразу за спиною звихрюється смерч
І хапає солому..
Під горою пасеться ціла череда свійських голубів,
І коли злітають проти сонця –
З неба раптово осипається риб'яча луска..
Далі, щоб хоч трохи сховатись у холод,
Пішов навпростець
Кукурудзою, «кінським зубом» –
Боже, як понівечили її вепри!
Надкушені, виплюнуті качани..
Закривавлені згустки шерсті після нічного шабашу..
Куди ж заведе ця порита іклами дорога..
Невже додому?..
А де ж твій дім.. може, яструб знає? –
Розчепірені крильця прозорі,
І посередині темна цятка, як у метелика,
Що завис на ціле літо над горою..
Але бач? – урвалося літо –
Він похитнувся.. іди за ним..

Habicht

“Und wohin führt dieser Weg?”
“Durchquert einen Sommer,
Dann passiert ihr einen kleineren,
Dann einen noch kleineren – dort liegt das Dorf, dessen Name ist Hatz..”
..Ein ausgetretener Feldweg, gesprungen, wie eine Tonscherbe,
Ringsum nur Rotklee und Wolken..
Jemand vergaß einen Armvoll Haferstroh
Mitten auf dem Weg..
Ich setze mich kurz, noch weit muss ich gehen, gehen..
Eine Hummel lässt mir keine Ruhe.. ist hier dein Bau?..
Ich habe keinen Nektar..
Kündest du ein Unheil mir an?..
Ich geh schon, ich gehe!..
Gleich braust hinter mir ein Wirbelwind auf
Und greift sich das Stroh..
Ein Schwarm zahmer Tauben grast am Fuße des Hügels,
Zur Sonne fliegen sie auf,
Da regnen vom Himmel plötzlich die Schuppen von Fischen..
Um mich in der Kälte notdürftig zu schützen,
Gehe ich weiter
querfeldein durch den Mais –
Gott, wie haben die Wildschweine den „Pferdezahn“ zugerichtet!
Angebissen und ausgespuckt die Kolben..
Blutige Fellbüschel nach nächtlichem Sabbat..
Wo führt er hin, dieser von Hauern aufgerissene Weg..
Doch nicht etwa nach Haus?..
Und wo ist dein Haus.. Vielleicht weiß es der Habicht? –
Durchsichtig die ausgebreiteten Schwingen
Und in der Mitte ein dunkler Klecks, wie beim Schmetterling,
So war er den ganzen Sommer über dem Hügel gekreist..
Siehst du nicht? – der Sommer hat sich losgerissen –
Er taumelt.. los, geh ihm nach..

Дністер

1.
 Мерехтять білі метелики
 Над горбами червоної конюшини..
 Чи це вчулось овече бляння?..
 Я лежу впоперек дороги, головою в конюшині,
 І розглядаю на долоні
 Крем'яну сокирку з просвердленим отвором..
 Вгорі пропливають три чаплі –
 З боків звичайні, попелясті,
 А посередині біла-біла,
 Ніби охороняють її, щоб ніхто
 Не захляпав кров'ю її рідкісне пір'я..
 Але, мабуть, вже недалеко вода,
 Бо розлітаються кожна на свій обрій..
 І вже скоро побачу те, що й вони в долині –
 Але не точним пташиним оком, –
 А зіницею з розтріснутими капілярами,
 Крізь червоний туман понад горбами,
 Через крем'яну сокиру, в її отвір..
 2.
 Корова стояла коло самої води
 І невидючими очима вглядалась
 В рідке каламутне скло..
 Далеко-далеко понад низьким берегом,
 Порослим кущами бурого кінського щавлю
 На паромі відпливали в тумані
 Її далекі сестри..
 Підійшла жінка, відтягає корову від води..
 Босі, подряпані старі ноги..
 Я показав рукою на другий берег –
 Його вже не було видно в темряві:
 А що там за село на тому боці?
 Не знаю.. я там ніколи не була..

3.
 Мене збудили поштовхи.. я хилився надвір,
 У холод, крізь розхитану стіну вагона..
 Відразу за вікном у мряці тремтів
 Присохлий листок кукурудзи.. по радіо
 схлипувала
 Безконечна мелодія пісної мамалиги..
 Далі простягалась пустеля.
 Зрідка оживлена плямкою корови..
 Стікали краплі брудним склом..
 Вже не видно було нічого.. лише чути,
 Як тріщить хребет поїзда..
 Як мене вигинає, крутить
 Його млява, недалека тінь..
 Прощай.. я не побачу тебе ніколи..

Dniester

1.
 Weiße Schmetterlinge tanzen
 Über den roten Schöpfen des Klees
 Blöken da Schafe?
 Ich liege quer über dem Weg, den Kopf im Klee
 Und wäge in der Hand
 Eine kleine Axt aus Kiesel, durchbohrt, mit einem Loch..
 In der Höhe segeln drei Reiher vorbei –
 An den Seiten die sind gewöhnlich, aschgrau,
 Doch der in der Mitte ist weiß, oh so weiß,
 Es ist, als bewachten sie ihn, damit niemand
 Mit Blut sein rares Gefieder beschmutzt..
 Aber vielleicht ist das Wasser schon nah,
 Denn sie fliegen auseinander, jeder zu seinem Horizont
 Schon bald werde ich sehen, was sie da im Tal sehen –
 Aber nicht mit scharfem Vogelauge –
 Den Augapfel voll geplatzter Äderchen,
 Durch den roten Nebel über den Hügeln,
 Durch die Kieselaxt, in ihrem Loch..
 2.
 Ganz dicht am Wasser stand eine Kuh
 Und blickte mit blinden Augen
 Ins trübe, flüssige Glas..
 In der Ferne am flachen Ufer entlang,
 Wo Sauerampfer in üppigen braunen Büscheln wuchs,
 Schwammen auf einer Fähre im Nebel
 Ihre fernen Schwestern davon..
 Da kam eine Frau, zog die Kuh weg vom Wasser..
 Barfuss, die alten Beine zerkratzt..
 Mit der Hand wies ich zum anderen Ufer –
 Im Dunklen sah man es schon nicht mehr:
 „Was für ein Dorf ist auf jener Seite?“
 „Ich weiß nicht... bin nie dort gewesen.“
 3.
 Stöße wecken mich.. ich lehne mich hinaus,
 In die Kälte, durch die klapprige Wand des Wagens..
 Im Nebel zittert dicht vor dem Fenster
 Ein vertrocknetes Maisblatt.. im Radio schluchzt
 Die endlose Melodie des Fastenzeitmaisbreis..
 Weit dehnt sich die Ödnis.
 Selten belebt vom Farbtupfer einer Kuh..
 Am schmutzigen Glas laufen Tropfen herab..
 Sehen kann man schon nichts mehr.. nur hören,
 Wie es knackt, das Rückgrat des Zugs..
 Wie er mich biegt und verdreht,
 Sein kraftloser, naher Schatten..
 Leb wohl.. ich werde dich nie mehr wieder sehen..

Dniestr

1.
 Migoczą białe motyle
 nad wzgórzami czerwonej koniczyny..
 Czy to przeszyszało się beczenie owiec?
 Leżę w poprzek drogi, głową w koniczynie
 i oglądam na dłoni
 krzemioną siekierkę z wywierconym otworem..
 W górze przepływają trzy czaple –
 po bokach zwyczajne, popielate,
 a w środku biała-bieluteńka,
 jakby chroniły ją, żeby nikt
 nie zachlapał krwią jej rzadkich piór..
 Ale chyba już niedaleko jest woda,
 bo rozlatują się, każda w swój horyzont..
 I już niebawem zobaczę to, co i one w dolinie –
 ale nie bystrym ptasim okiem –
 tylko źrenicą z popękanyimi naczynkami,
 przez czerwoną mgłę ponad wzgórzami,
 przez krzemioną siekierkę, w jej otwór..
 2.
 Krowa stała koło samej wody
 i niewidzącymi oczami wpatrywała się
 w rzadkie mętne szkło..
 Daleko-daleko ponad niskim brzegiem,
 porośłym kępami burego końskiego szczawiu,
 na promie odpływały we mgle
 jej dalekie siostry..
 Podeszła kobieta, odciąga krowę od wody..
 Bose, podrapane stare nogi..
 Pokazałem ręką na drugi brzeg –
 nie było już go widać w ciemności:
 – A co tam za wioska po tamtej stronie?
 – Nie wiem.. nigdy tam nie byłam..
 3.
 Zbudziły mnie szarpnięcia.. wychyliłem się na dwór,
 w chłód, przez rozkołysaną ścianę wagonu..
 Od razu za oknem w mżawce drżał
 przyschnięty listek kukurydzy.. w radiu pochłipywała
 niekończąca się melodia postnej mamałygi..
 Dalej rozciągała się pustynia.
 Z rzadka ożywiona plamką krowy..
 Spływały krople po brudnej szybie..
 Już nie było widać niczego.. tylko słyhać,
 jak trzeszczy kręgosłup pociągu..
 Jak mnie wygina, wykręca
 jego wątyły niedaleki cień..
 Żegnaj.. nie zobaczę cię już nigdy..

Хлопець

Я зустрів його далеко за Тисменицею
 На полі під лісом, де Стримба набагато дикіша,
 І видно відразу, що це гірська річка,
 Хоч мусить бігти по рівнині..
 Мене здивувало, що він тут сам,
 Ніде жодної душі,
 А в такому віці, де під шістнадцять,
 Хлопці бігають табунами літом..
 Присівши біля берега, по кістки у воді,
 Дивився собі під ноги на щось блискучо-біле..
 – Ну що, є риба? – спитав просто так..
 – Нема, лише ця одна, плотиця.. я її видер
 Під отим-во корчем, а тепер йду додому,
 І хочу її випустити..
 Трохи далі лежала повалена верба,
 І там вже було глибоко –
 Там треба було пірнути,
 Аби запхати руки
 Під стовбур столітнього дерева,
 Обсмоктаного холодною течією,
 З високо піднятим над водою
 Одним-єдиним голим суком –
 Здавалось, велетень-плавець
 На мить занурив голову,
 Перевернувся на бік
 І викинув над собою правицю,
 Але чомусь голова так і лишилась затоплена,
 А рука і досі благає рятунку..
 – Я пішов нурка і витягнув її звідти,
 А вона тепер не може плисти..
 І він погладив по синюватому хребті плотицю,
 Яка ніби вигрівалась на сонці при березі,
 Лежачи на боці, розмірено здвигаючи
 Яскравими пірцями..
 Її гаряча, сповнена любові, оболонка ока
 Дивилась на хлопця,
 Низько похиленого над водою –
 І він, здається, теж більше нікого не помічав..
 Його рука бавилася з нею..
 І плотиця ніби й хоче
 Вже відплисти на більшу воду,
 Та не наважується,
 І знову тягнеться до пестливої руки..
 – Нічого, – він вибачливо звів на мене очі, –
 Я зачекаю, поки вона відійде
 І аж тоді піду додому..
 Я там його лишив. Оглянувшись здалеку,
 Знов побачив самотню зігнену фігурку..
 Це ж і я колись нишпорив по глибоких норах,
 Звідки часом могла вислизнути гадюка..
 А він якийсь нетутешній –
 Худий, засмаглий.. синюваті білки
 Ледь скошених очей..
 Такі уста подобаються дівчатам..
 Де він тепер?..

Der Junge

Weit hinter Tysmenyca traf ich ihn
 Auf einem Feld am Wald, wo die Strymba ganz wild ist,
 Und man gleich sieht, sie ist ein Gebirgsfluss,
 Auch wenn sie gezwungenermaßen die Ebene durchfließt..
 Mich erstaunte, dass er so allein war,
 Ringsum keiner da,
 Dabei laufen in diesem Alter, irgendwas um die Sechzehn,
 die Jungs doch im Sommer in Rudeln herum..
 Auf einem Stein im Wasser am Ufer sitzend,
 schaute er sich etwas Glitzrig-Weiβes zu seinen Füβen an..
 „Na, viele Fische?“ fragte ich so leichthin..
 „Nein, nur diesen einen, eine Plötze, ich zog sie raus
 Unter dem toten Baum da, aber jetzt gehe ich heim
 Und wollte sie freilassen.“
 Ein Stück entfernt lag eine umgestürzte Weide
 Dort war es schon tief –
 Man musste dort tauchen
 Um mit den Händen
 Unter den uralten Baumstamm zu fassen,
 Von einem kalten Strom war er umspült,
 ein einziger kahler Ast ragte auf über dem Wasser –
 Es sah aus, als hätte ein Riese beim Baden
 Für einen Moment den Kopf eingetaucht,
 Sich dann auf die Seite gewälzt
 Und seine Rechte in die Luft geworfen,
 Aus irgendeinem Grund war der Kopf aber unten geblieben,
 Und die Hand flehte noch immer um Rettung..
 „Ich tauchte und zog sie heraus,
 Aber jetzt kann sie nicht schwimmen.“
 Und er strich das bläuliche Rückgrat der Plötze entlang,
 Die, als hätte sie sich nur müde geplansch am sonnigen Ufer,
 lag auf der Seite und bewegte matt
 Die funkelnden Flossen..
 Ihre feurigen Regenbogenaugen
 sahen den Jungen liebevoll an –
 Und tief übers Wasser gebeugt
 Nahm wohl auch er sonst niemand mehr wahr..
 Glückhlich spielte seine Hand mit ihr..
 Fast schien es da, als wollte die Plötze
 Hinaus ins offene Wasser schwimmen,
 Aber sie wagte es doch nicht
 Und fand mühsam wieder die zärtliche Hand..
 „Da kann man nichts machen“, entschuldigend sah er zu mir auf,
 „Ich warte, bis sie weg ist,
 Eher geh ich nicht heim.“
 Ich verlieβ ihn. Beim Blick zurück aus der Ferne
 Sah ich erneut die einsame, gekrümmte Gestalt..
 Ich hatte früher auch tiefe Höhlen erkundet,
 Aus denen manchmal vielleicht eine Schlange kroch..
 Doch irgendwie schien er nicht von hier –
 Braungebrannt, mager.. bläulich das Weiβ
 Der leicht schrägen Augen..
 Ein Mund, wie ihn Mädchen haben..
 Wo ist er jetzt?..

Chłopiec

Spotkałem go daleko za Tyśmienicą
 na polu pod lasem, gdzie Strymba jest o wiele bardziej dzika
 i widać od razu, że to góraska rzeka,
 choć musi płynąć po równinie..
 Zdziwiło mnie, że jest tu sam,
 nigdzie ani żywej duszy,
 a w takim wieku, gdzieś koło szesnastki,
 chłopcy biegają tabunami latem..
 Przesiadł przy brzegu, po kostki w wodzie
 i patrzył sobie pod nogi na coś połyskująco białego..
 – No co, są ryby? – zapytałem tak po prostu.
 – Nie ma, tylko ta jedna, płotka.. wyszarpnąłem ją
 spod tamtego tam pnia, a teraz idę do domu
 i chcę ją wypuścić.
 Trochę dalej leżała przewrócona wierzba
 i tam już było głęboko –
 trzeba było tam zanurkować,
 żeby wepchnąć ręce
 pod pień stuletniego drzewa,
 wyslizganego przez zimny prąd,
 z wysoko podniesionym nad wodą
 jednym-jedynym nagim sękiem –
 zdawało się, olbrzym pływak
 na chwilę zanurzył głowę,
 przewrócił się na bok
 i wyrzucił nad siebie prawicę,
 ale z jakiegoś powodu głowa jednak została zatopiona,
 a ręka do tej pory błaga o ratunek..
 – Dałem nurka i wyciągnąłem ją stamtąd,
 a ona teraz nie może płynąć..
 I pogłaskał po niebieskawym grzbiecie płotkę,
 która jakby wygrzewała się na słońcu przy brzegu,
 leżąc na boku, miarowo poruszając
 jaskrawymi płetwami.
 Jej gorąca, przepelniona miłością, błona oka
 patrzyła na chłopca,
 nisko pochylonego nad wodą –
 a on, zdaje się, też więcej nikogo nie zauważał..
 Jego ręka bawiła się z nią..
 I płotka niby i chce
 już odpłynąć na większą wodę,
 ale nie waży się.
 I znowu przysuwa się do pieszczołliwej ręki..
 – No nic – on usprawiedliwiająco podniósł na mnie wzrok –
 zaczekam, aż ona odejdzie
 i dopiero wtedy pójde do domu..
 Tam go zostawiłem. Obejrzałem się z daleka
 i znowu zobaczyłem samotną zgietą figurkę..
 Przecież i ja kiedyś szperałem po głębokich norach,
 skąd czasem mogła wysliznąć się żmija..
 A on jakiś taki nietutejszy –
 chudy, opalony.. niebieskawe białka
 lekko zezowatych oczu..
 Takie usta podobają się dziewczynom..
 Gdzie on teraz jest?

Übersetzung: Beatrix Kersten. Humaczenie: Alena Kamińska

ВАСИЛЬ МАХНО

(1964, Україна) – поет, есеїст, перекладач. Закінчив Тернопільський педагогічний інститут, викладав літературу в Тернопільському національному педагогічному університеті та Ягелонському університеті (Краків). З 2000 року живе в Нью-Йорку. Є автором семи поетичних збірок, серед яких – *Схема* (1993), *Книга пагорбів та годин* (1996), *Плавник риби* (2002), *38 віршів про Нью-Йорк і не тільки* (2004), *Cornelia Street Café* (2007), книги есеїстики *Парк культури та відпочинку імені Гертруди Стайн* (2006). Перекладає сучасну американську, польську, сербську поезію.

VASIL MACHNO (1964, Ukraine) – Dichter, Essayist, Übersetzer. Er beendete sein Studium am Institut für Pädagogik in Ternopil, anschließend dozierte er Literaturwissenschaft an der Nationalen Universität Ternopil und an der Jagiellonen Universität in Krakau. Seit dem Jahr 2000 lebt er in New York. Er ist Autor von sieben Gedichtbänden, u.a. *Schema* (1993), *Das Buch der Anhöhen und der Stunden* (1996), *Die Fischflosse* (2002), *38 Gedichte über New York und nicht nur* (2004), *Cornelia Street Café* (2007), dem essayistischen Buch *Der Gertrude-Stein-Park für Kultur und Erholung* (2006). Er übersetzt amerikanische, polnische und serbische zeitgenössische Dichtung.

WASYL MACHNO (1964, Ukraina) – poeta, eseista, tłumacz. Ukończył Tarnopolski Instytut Pedagogiczny, wykładał literaturę na Tarnopolskim Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym oraz Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Od 2000 roku mieszka w Nowym Jorku. Jest autorem siedmiu tomów poetyckich, m. in. – *Schemat* (1993), *Księga wzgórz i godzin* (1996), *Płetwa ryby* (2002), *38 wierszy o Nowym Jorku i nie tylko* (2004), *Cornelia Street Café* (2007), książki eseistycznej *Park kultury i wypoczynku imienia Gertrudy Stein* (2006). Tłumaczy amerykańską, polską, serbską poezję współczesną.

Cornelia Street Café II

Ну, від Morton Street до Cornelia Street Café
п'ять хвилин – І та вулиця мов галіфе
й знак питання – Військовий рейд –
кінський волос – пожовклий лист
і одні уважали що сніг – це лис
що шугнув поміж авт як до курей

так питання в подібності – себто поділ
може поділ на рими і зими подій
на місця на сирітство самотніх мужчин
самогубців які затискають в руці
смерть записок живим – а потім мерці
запливають в комірки підземних вощин

але ми не про це – бо в Cornelia Street
мікрофон барахлить – защемлений дріт
світло – наче їжак коле очі – і б'є
сім поетів сидять – сім коханок – і сім
тихих ангелів в рамах – а рам'я на всіх
той хто руки уміє – той пиво пролле

значить все що порядок щоб визначить стан
треба вулиці сплутати – знати з вистав
тільки запах завіси і поту з чола
і забути рядки – знати будь-який сніг
хтось захеканий знову до столу прибіг
чи прибився вірніше – немає стола

це човен у яким місце – тільки – ти сам –
хто тебе перевів у сановий цей сан
в царську одіж вдягнув – і зв'язав рукави
навіть ангели пирснули у кулаки
і коханки скривилися – і що вже з таким
тут поробиш – пливи й допливи

до сумирних голів православних церков
трохи в снігові й золоті – але цілком
патріаршого вигляду кілька бомжів
супроводять тебе поміж авт і таксі
або двері відчиняють щоби ангели всі
розпростерли обійми й сховали ножі

мабуть голос твій в дроті застряг - це в облom
запахати в кишені за вірші бабло
пити поспіхом пиво – торкатись жінок
забувати обіцянки – знати про всіх
що їх тіні заступить опівнічний сніг
як два п'яних базіки – один з них – пророк

Cornelia Street Café II

Ganze fünf Minuten von der Morton Street
bis zum Cornelia Street Café – sackhoseige Straße,
Fragezeichen – Militärstreife –
Pferdehaar – vergilbtes Laub
manch einer sah den Schnee als Fuchs
die Autos umschnürend wie auf der Hühnerhatz

Fragen einebnen frank und frei
Geschehenes geteilt in Reim und Reif
in Orte in vereinsamer Männer Verlassenheit
Selbstmörder mit dem Tod mit einem Abschiedsbrief
in der zusammengepressten Faust – schließlich treiben
die Toten in die Kammern der unterirdischen Waben

aber davon genug – denn in der Cornelia Street
krächzt das Mikro – ein verzerrter Draht
stechend wie ein Igel das Licht die Augen blendet
es sitzen sieben Dichter – sieben Geliebte – sieben
stille Engel gerahmt – geliebt ein Arm für alle
wer die Hände wäscht – vergießt auch das Bier

die Ordnung die Position abzustecken heißt
die Straßen verwechseln – im Theater wissen
nur vom Muff im Stoff und vom Schweiß auf der Stirn
die Reihen vergessen – aller Schnee bekannt
außer Atem kommt jemand zum Tisch gerannt
oder strandet vielmehr – einen Tisch gibt es nicht

ein Boot dessen Platz nur du besetzt
wer hat dich in diesen rangigen Rang versetzt
in Zarenkleider gesteckt und die Ärmel vernäht
selbst die Engel prusten hinter der Hand
die Geliebten krümmen sich – kein Land
in Sicht – schwimm los und schwimm hin

zu den stillen Köpfen der Kuppelkirchen
Schnee und Gold überzogen – anzusehen
patriarchalisch ganz und gar etliche Penner
lotsen dich zwischen Autos und Taxis hindurch
oder sperren die Tür auf damit alle Engel
ihre Arme ausbreiten und ihre Messer stecken lassen

vielleicht hängt deine Stimme in der Leitung fest – voll daneben
sich Geld in die Taschen zu stopfen für Gedichte
begierig sein Bier zu schlürfen – Frauen zu berühren
Versprechen zu vergessen – von allen zu wissen
ihre Schatten betreten den Mitternachtsschnee
wie zwei trunkene Schwätzer, unter ihnen ein Prophet

Cornelia Street Café II

Pięć minut drogi dzieli Morton Street
od Cornelia Café. Ulica ma sznyt
bryczesów, pytajnika. Przemarsz wojsk –
pożółkły liść i koński włos –
i niektórym wydało się, że śnieg
to lis, co między auta jak do kurnika wbiegł.

Cały padół problemu to zbieżność wyrażen
może podział na rymy i zimy wydarzeń,
na miejsca osierocoń i samotnych lęków
samobójców, co zaciskają w rękę
śmierć, liścik dla żywych – by czuli
to samo, co mieszkańcy podgruntowych uli.

Lecz my nie o tym – bo w Cornelia Street Café
mikrofon rzezi – kabel mu się rwie –
światło w oczy nas kłuje jak jeź –
siedmiu poetów – przy każdym ukochana –
siedmiu cichych aniołów w ramach – i w łachmanach –
a kto ręce umyje, piwo straci też.

Trzeba zaznać porządku, żeby sprawę zdać,
ulice pozapłatać, a z przedstawień znać
tylko zapach kurtyny i spoconych czół,
zapomnieć wers – pamiętać śnieg na szybie,
i ktoś zziąjany znów do stołu przybiegł,
czy raczej „przybył” – a gdzie stół?

To czółno, którym płyniesz jedynie ty sam –
i któż to cię wprowadził w tak dostoyny stan,
w carskie szaty cię odział – rękawy pozwiązywał?
Nawet anioły zaśmiały się w kułak,
krzywą minę zrobiła kochanka nieczuła –
no bo co z takim począc? – niech sphywa.

Płyn, gdzie stoją łagodne kopuły cerkiewne,
trochę w śniegu i w złocie – ale pewnie
patriarchalnym kłoszardom podobne niestety –
powiodą cię bezpiecznie przez ulic wądoły –
drzwi przed tobą odemkną, by anioły
rozpostarły ramiona, schowały kastety.

Twój głos znów ugrzązł w kablu – czy to chinese whispers?
Upychasz po kieszeniach pieniądze za występ –
dopijasz szybko piwo – garniesz się do kobiet –
obietanki macanki – chociaż myślisz sobie,
że ich cienie zastąpi śnieg północną porą –
gdzie dwóch pijanych głędzi, jeden z nich – to prorok.

Сигіт Мармароський

У Сигіті Мармароському пахли червиві яблука
і циганки чіплялися за рукави щоби поворожити
казали що знають про тебе усе
від них несло цуйкою пережованою зранку цибулею
і українськими цигарками
які вони проносять через прикордонний міст кілька
разів на день

Ранішні тумани закутували місто аж під шию
вони сходили з гір - як місцеві селяни - до Сигіту на ринок
і залишалися на вулицях
і притулялися головами до будинків
наче бездомні пси
цього міста

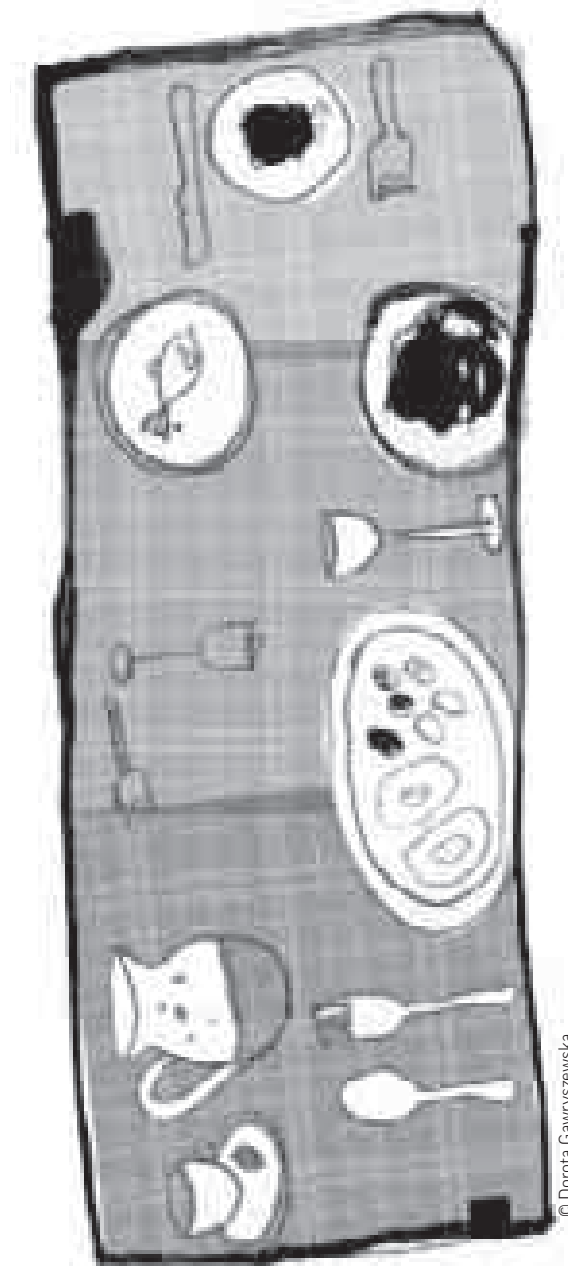
Я стояв на перехресті вулиць
дорожній знак вказував напрям на Бая-Маре
десь поблизу відреставрована синагога
православна церква і ратуша та кілька перевернутих вітром
сірникових коробок будинків свідчили про занепад
усіх европ та імперій
і лише залізниця побудована за Австрії
принаймні кудись вела шарпаючи вагонами
наче неслухняну дитину за руку
і потяг
в'їджаючи в гори навіки у них зникав
забравши звідси з собою євреїв

бо їм не можна було тут жити
це значить молитися у синагозі
доїти кіз та продавати червоний перець
їздити до Бая-Маре та Угорщини
і співати щосуботи своїх сумних пісень

тут взагалі не можна було жити
серед дерев'яних церков з кириличними написами
зі святою Варварою картинами Страшного суду
євангелістами що тримають напоготові вказівний палець
як ключ
а нічний сторож мабуть
замикаючи церкву на ніч і вхід на цвинтар
лаявся що ключі та замки поржавіли

А у Сигіті Мармароському пахли також розчавлені сливи
з коричневими очима кісточок як у мертвої корови по яких лазили
мухи і мурахи
і було зрозуміло що нічний потяг прибуває до двірця
бо машиніст задвог до зупинки сигналив
цим горам яблукам сливам і змученим циганам
які пили вино у придорожній корчмі
і брудними руками патрала всмажених пстругів
і кричали до власника
щоби той приніс білого хліба ще
але швидко

бо їм потрібно було встигнути доїхати до прикордонного переходу
коли їхні жінки з контрабандними сигаретами
повертатимуться домів



© Dorota Gawryszewska

Marmaroschsighet

In Marmaroschsighet dufteten wurmstichige Äpfel
Zigeunerfrauen hingen an Ärmeln und wollten wahrsagen
alles wüssten sie über dich sagten sie
man roch den Tzuica die am Morgen verzehrte Zwiebel
und ihre ukrainischen Zigaretten
die sie mehrmals am Tag über die
Grenzbrücke trugen

Morgennebel umhüllten die Stadt bis zum Hals
sie kamen aus den Bergen herab – wie die Dorfbewohner von dort - auf den Markt nach
Sighet
und blieben in den Straßen
schmiegt ihre Köpfe an die Häuser
wie die herrenlosen Hunde
der Stadt

Ich stand an einer Straßenkreuzung
ein Schild wies Richtung Baia Mare
in der Nähe irgendwo die restaurierte Synagoge
die orthodoxe Kirche und das Rathaus und ein paar vom Wind umgewehrte
Streichholzsachtelhäuser zeugten vom Niedergang
jeglicher Europas und Imperien
nur die Eisenbahn aus österreichischer Zeit
zerzte immerhin ihre Wagen fort
wie ein trotziges Kind an der Hand
und der Zug
fuhr in die Berge hinein und verschwand auf immer
hatte die Juden mit sich fortgenommen

denn sie durften dort nicht leben
das hieß in der Synagoge beten
Ziegen melken und Paprika verkaufen
nach Baia Mare und nach Ungarn fahren
und samstäglich ihre traurigen Lieder singen

hier konnte man überhaupt nicht leben
inmitten der Holzkirchen mit den kyrillischen Aufschriften
mit der heiligen Barbara Bildern vom Jüngsten Gericht
den Evangelisten die ihren Zeigefinger bereit halten
wie einen Schlüssel
und wenn er Friedhof und Kirche zur Nacht abschließt
zetert der Nachtwächter vielleicht
über die verrosteten Schlüssel und Schlösser

Und in Marmaroschsighet dufteten auch die zerquetschten Pflaumen
mit den braunen Augkernen wie bei einer toten Kuh über die
Schmeißfliegen und Stechmücken krochen
es war klar dass der Nachtzug in die Station einfuhr
denn lange vor dem Bahnhof schon hatte der Lokführer sein Pfeifen geschickt
an die Berge Äpfel Pflaumen und die gequälten Zigeuner
die in der Kneipe am Straßenrand Wein tranken
und mit ihren schmutzigen Fingern gebratene Forellen zerlegten
und dem Besitzer zuriefen
er solle noch Weißbrot bringen
und zwar schnell

denn sie wollten es noch an den Grenzübergang schaffen
wenn ihre Frauen mit den geschmuggelten Zigaretten
nach Hause zurückkehrten

Syhot Marmaroski

W Syhocie Marmaroskim pachniały robaczywe jabłka
a Cyganki czepiały się rękawów żeby powróżyć
twierdziły że wiedzą o tobie wszystko
zalatywało od nich cijką przeżutą z rana cebulą
i ukraińskimi papierosami
które szmuglują granicznym mostem kilka
razy dziennie

Poranne mgły spowijały miasto aż po samą szczyę
schodziły z gór – jak miejscowi chłopci – do Syhotu na targ
i zalegały na ulicach
tuliły głowy do budynków
niczym bezdomne psy
tego miasta

Stałem na skrzyżowaniu ulic
przydrożny znak wskazywał drogę do Baia Mare
gdzieś w pobliżu odrestaurowana synagoga
prawosławna cerkiew ratusz i kilka przewróconych przez wiatr
domków z zapałek świadczyło o upadku
wszystkich europ i imperiów
jedynie kolej pozostałość po Austriakach
dokądś przynajmniej biegła szarpiąc wagonami
niczym niegrzeczne dziecko za rękę
i pociąg
wjeżdżając w góry na wieki w nich ginął
zabrawszy stąd ze sobą Żydów

oni nie dali rady tutaj mieszkać
modlić się w synagogach doić kóz
i sprzedawać papryki
jeździć do Baia Mare i na Węgry
ani śpiewać w sobotę swoich smutnych pieśni

tu w ogóle nie dawało się żyć
pośród drewnianych cerkwi pokrytych cyrylicą
ze św. Barbarą i malowanym Sądem Ostatcznym
ewangelistami trzymającymi w pogotowiu wskazujący palec
jak klucz
a nocny stróż być może

zamykając na noc cerkiew i bramę cmentarza
kłął że klucze i zamki przerdzewiały

A w Syhocie Marmaroskim pachniały też porozgniatane śliwki
z brązowymi oczami pestek jak u martwej krowy po których taziły
muchy i mrówki
i było wiadomo, że pociąg dojeżdża do dworca
bo maszynista tuż przed stacją dawał znak
tym góróm jabłkom śliwkom zmęczonym Cyganom
co pili wino w przydrożnej karczmie
skubiąc brudnymi rękami usmażone pstrągi
i wołali do właściciela
żeby przyniósł białego chleba jeszcze
ale szybko

bo trzeba im było zdążyć na przejście graniczne
kiedy ich żony z przeszmułowanymi papierosami
będą wracały do domu

Jardin

чоловіки виходять у домотканних пончо
з костелу – обсадженим помаранчами – їм забезпечують почет
дощ і зелена гусінь – прикривши ходи червоточин –
прикривши вихід і вхід

залишаться тут до ранку – як стіни суцільні й бруківка
коні й корови на схилах – запаху довга шнурівка
котру здоганя в підворотні обчухраний пес-каліка
йому вслід свистять бухі

«Chevy» старе з 70-тих – Пілар з молодим команданте
він носить військову сорочку – і профіль вигнанця Данте –
схоже вони прилишились щоб з нами трохи піддати
і скоротати ніч

злива котра прошуміла принісши каміння і морок
коханцю Пілар - під тридцять а їй вже давно за сорок
зимові дощі не вічні – а їй же признатись сором
– пошепки віч-на-віч –

рипне зоночі клямка – педаль «Шевроле» чи клапан –
хтось під вікном готельним в ніч свою прочалапав
а поруч спина тремтіння – і манго задушливий запах
з цезарками і курми

тут ще зима – а потім виставлять дощ на Facebook'у
пишучи вірші щоранку можеш набити руку
можеш спіймати погляд який співрозмірний звуку
й зливам серед зими

й цим придорожнім шахтам – мокрим мішкам з вугіллям
селянам що сходять в неділю групами як на весілля
цим робітничим селищам – втомленим – що присіли –
в глиняний товщ

тому це містечко в горах сто років в дощах – й столітні
висовують морди назовні бездомні пси з підворотні
у дверях господар курить – а дві індіанки вагітні
минають його і дощ

постукують пальці дощами глиною й гострим камінням
похитується на швидкості водій і його кабіна
і поліцейський при мості – і міст – і стебло карабіна
і дерев'яний Христос

війна це лице Че Гевари що носить молодь Колумбії
це черепиця і глина – Casa культури – клуби і
вартовий поліцейський з очима консервної скупмрії
залитий в томатний морс

це кавування в опівніч на площі перед костелом
це дощ що тебе посріблить і нитку світла простелить
Пілар що пускає з димом свої таємниці під стелю
– срібні браслети змійок –

це відчуття що нині життя й наркота дешеві
і що прощання з марксизмом – це вірші прості й душевні
– подряпини що не змию –

це відчуття чужого що завтра залишить місто
що смикне разом зі світлом тільки разок намиста
візьме кілька вулиць з псами – і навиками садиста
притлумить цвіт помаранч

який забиває ніздрі – й вітанням в крамниці буенос
що схоже на глину й рослини – й повітря як послід зелене
і футболіст в телевізорі – блиснуть фінти й перстені –
в падінні втрачає м'яч

й останні у цьому сезоні дощі й футбольні матчі
збираються після служби при телевізорі мачо
викрикують сперечаються – суддя помилився й призначив
сумнівне пенальті

і кожен масивну руку із сіткою жил – на мачете
і в дощ цей зелений на полі суддю як теля замочити
і витерти лезо мачете в траву зооби зразу навчити
футбольних понять

я місто це із футболом залишив – корови й собаки
залишаться з помаранчами, їх соком липким – їх смаком
дощем що залишиться з ними – що їм забиває баки
відносно ста літ

бо час що пливе по бруківці тримається й за одвірки
на площу виходить слово – вовіки віків й навіки –
перебігає вулицю сполоханий пес-каліка
цей біг потребує століть

бо що я тут зможу сказати: за ніч нас завалить водою
і спорожніє площа – що плентатиметься за тобою
й будинки зйдуться до купи і стануть одною стіною
може як вірш

і будуть стояти при тобі арепа іспанської мови
і будуть летіти на крилах сині молочні корови
ну а червоні пасуться – і роги їх як корони
тримають підсвічники гір

© Dorota Gawryszewska

Jardin

in handgewebten Ponchos kommen Männer
aus der Kirche – von Orangen umstanden – Geleit gewähren
Regen und Raupe – sie decken die Raupenfraßpfade –
decken Ausgang und Eingang

sie bleiben hier bis zum Morgen – wie stabile Wände und Steine
wie Kuh und Pferd auf den Hügeln – eine lange Leine aus Geruch
die im Durchschlupf dem zausigen Krüppelkötter eine Fährte legt
seinen Spürgang bejohlen die Zecher

ein Chevy aus den 70ern – Pilar mit ihrem jungen Kommandante
er im Militärhemd – und mit dem Profil des Vertriebenen Dante –
sie bleiben und wir geben uns die Kante
um die Nacht im Nu zu vertreiben

Stein und Nebel führt der rauschende Regen mit
Pilars Geliebter um die dreißig, sie weit über vierzig
endlich der Regen im Winter – gestehen muss sie die Schande
– flüsternd Auge in Auge –

allnächtlich quietscht eine Klinke – eine Klappe, ein Chevy-Pedal
irgendwer klackert nachts unterm Hotelfenster lang
irgendwo bebt ein Rücken – schwüler Mangoduft macht sich breit
mit Perlhühnern und Küken

noch immer Winter – den Regen auf Facebook gestellt
morgendliches Dichten formt deine Hand
du fängst einen Blick der redet wie ein Hall
wie die wallenden Regen des Winters

wie Schächte am Straßenrand – klitschnasse Säcke voll Kohle
wie Dorfleute sich sonntäglich sammeln als hielte wer Hochzeit
wie Arbeiterviertel – taumelnd – die
im schmatzenden Lehmreich versacken

denn den Bergort treiben hundert Jahre Regen fort – und hundertjährig
strecken die herrenlosen Hunde ihre Schnauzen aus dem Hofrund
der Hausherr rauchend in der Tür – und zwei Indianerfrauen schlagen guter
Hoffnung
einen Bogen um ihn und den Regen

Finger klopfen den Regen den Lehm und das spitze Gestein
vor Schnelligkeit schwanken Fahrer und Kabine
der Polizist auf der Brücke – die Brücke – und der Lauf des Karabiners
und ein hölzerner Christus

Krieg ist Che Guevaras Gesicht das die kolumbianische Jugend trägt
ist Ziegel und Lehm – die Casa de la cultura – Klubhäuser
der patrouillierende Polizist mit den Augen einer marinierten Makrele

getränkt in Tomatenmus

ist auf dem Kirchplatz die Kaffeestunde zur Nacht
ist Regen der dich versilbert und einen Lichtfaden flicht
ist Pilar mit deren Geist gleichsam ihr Geheimnis bricht
gewundene Armzier aus Silber

Stadt von ungefähr – Chevrolet und Orangenspalier
ein Gefühl als wären Leben und Drogen nun billig
und die Abkehr vom Marxismus Verse einfach und innig
Kratzer die ich nicht tilge

das Gefühl des Fremden dass er morgen die Stadt verlässt
dass mit dem Licht nur die Perlenschnur springt
Straßen einkassiert von Getier – routiniert der Sadist
der Orangen Blüte erstickt

Die in die Nase sticht – im Laden mit Buenos grüßend
der Lehm und Gewächs gleicht – die Luft ist naturgemäß grün
im Fernsehen ein Fußballer – funkelnde Finten und Ringe –
verliert im Fallen das Leder

die Regen- und Spielsaison neigt sich dem Ende
versammelt sitzt nach dem Kirchgang die Männerrunde
schreit und streitet – ein Schiedsrichterfehler
ein falsch gepiffener Elfmeter

bei allen geht die massige Hand mit dem Adernetz zur Macheite
der Schiedsrichter abgestochen im grünen Regen auf dem Platz
danach im Gras die Klinge gesäubert dass schlagartig sitzt
welche Regeln gelten

ich schied von der Fußballstadt – Kühe und Hunde
blieben bei den Orangen, ihrem zuckrigen Saft, dem Geschmack
dem Regen der blieb – ihnen die Behälter füllt
für ungefähr einhundert Jahre

denn die Zeit fließt von Stein zu Stein von den Türstöcken gestützt
das Wort kommt heraus auf den Platz – für immer und ewig und immerdar –
der aufgeschuchte Krüppelkötter quert die Straße
in einem hundertjährigen Lauf

was soll ich sagen: über Nacht werden wir vom Wasser überspült
und der Platz wird leer – was dir nachtröttet
die Häuser verfließen zu einer Wand
so wie ein Gedicht vielleicht

und neben dir stehen die Arepas der spanischen Sprache
und blaue Milchkühe fliegen auf ihren Schwingen dahin
die roten weiden – und wie Kronen tragen ihre Hörner
die Kerzenständer der Höhen

Jardin

mężczyźni w ręcznie tkanych ponczach wychodzą z kościoła – otoczeni orszakiem deszczu i zielonych gaśienic – dokoła rosną pomarańczowe drzewka – na ich ruchy nic zgoła nie bacząc, ani na wejście i wyjście

zostaną tu do rana – jak lite ściany – jak ciągnące drogą konie i krowy – jak gnany w stronę ganku błogą sznurówką woni parszywy pies z kulawą nogą, za którym ktoś tam gwizdże

stary Chevy z 70-ych lat – Pilar z młodym comandante mającym wojskową koszulę i profil jak wygnaniec Dante – wydaje się że są tu z nami by jak dzban tę noc wysączyć do dna

przynosząc mrok i gruz ulewa przeszumiała wreszcie – kochanek Pilar to chłopiec – ona już grubo po czterdziestce – lecz choć wstyd jej się przyznać – nie są wieczne te zimowe deszcze – wciąż szepcząc przy nim trwa

co noc skrzypi – to klamka – to pedał Chevroleta – to kłapa – pod oknami hotelu ktoś swą noc przeczłapał a obok drżenie pleców i mango duszny zapach zmieszany z wonią perliczek i kur

tu wciąż zima – deszcz możesz na fejsbuka wstawić pisząc wiersz każdego ranka rękę możesz wprawić albo złapać spojrzenie które ci się objawi jako deszczu zimowych wzór

i tych przydrożnych kopalń – mokrych worków upaprzanych sadzą chłopów którzy w niedzielę jak na ślub się schodzą i robotniczych osad co – zmęczone – siedzą na gliniastym podłożu

a w tym górskim miasteczku deszcz jakby od stuleci pada stuletni pies bezdomny na ganku ujada a stuletnie Indianki w ciąży mijają deszcz i sąsiada co pali na przedprożu

stukają palce deszczu płyną ostre kamienie i glina chwije się w pędzie kierowca i jego kabina osiada deszcz na policjantach i na ich karabinach i na drewnianym Chrystusie

wojna – twarz Che Guevary na kolumbijskiej odzieży – dachówki z gliny – Dom Kultury – klub dla młodzieży i wartownik ze wzrokiem skumbrii która w puszcze leży zanurzona w tomato-juice'ie

to pijący kawę o północy na przykościelnym placu katolicy – deszcz który cię posrebrza i światło wywraca na nice – Pilar co puszcza z dymem i wydmuchuje pod sufit swoje tajemnice –

srebrne bransolety żmijek –

pomarańczowy sad – Chevrolet – nieważne co się tu zaraz stanie – to wrażenie że życie i narkotyki są dziś tanie i że prostacko-ckliwe są wiersze pisane Marksowi na pożegnanie – zadrapania, których nie zmyję

to bycie już kimś obcym kto jutro to miasto zostawi światłem jak panna sznurem pereł się pobawi zabierze kilka ulic z psami – sadystyczny nawyk – i stłumi pomarańczy woń

od której wędną nozdrza na dzień dobry w jedynym sklepie – zielone jak poślad powietrze pełne korzeni i gliny – padł na ziemię rugbista – migają finty i młyny – i piłka wypadła mu z dłoni

ostatnie w tym sezonie deszcze i mecze – po mszy przy telewizorze zbierają się tutejsi maczo o masywnych żylastych rękach – dobrze że nie mają maczet bo każdy by sędziego

za wątpliwy rzut karny rozplątał jak cielaka i w tym zielonym deszczu po boisku tryumfalnie skakał maczetę wytarł w trawę i pokazał fuck'a całej rodzinie jego

zostawiłem to miasto z jego sportem – psy i krowy zostaną z pomarańczami ich sokiem pomarańczowym i deszczem który ciągle zawraca im głowy od mniej więcej stu lat

czas co płynie po bruku i chwyta się belki – na plac wychodzi słowo – teraz i na wieki – i kuśtyka w popłochu ulicą kaleki kundel stary jak świat

co by tu jeszcze dodać? – przez noc znikniemy pod wodą – opustoszeje plac lecz plątać się będzie za tobą i zebrane do kupy jedną wielką odą staną się wszystkie domy

i trwać przy tobie będzie arepa hiszpańskiego języka niebieskie mleczne krowy na skrzydłach będą pomykać a te czerwone paść się – na rogach jak na świecznikach trzymając gór korony

(1967, Polska) – poeta, prozaik, eseista. Wydał 7 tomów wierszy: *Samczyk* (1996), *Rozrusznik* (1998), *Konwalia* (2001), *Kalipso* (2004), *Pensum* (2007), *Filtry* (2008) i *Dywan* (2010), dwie książki prozatorskie: *Wszędobylstwo porządku* (1997) i *Sęka Pies Brew* (1998), oraz zbiór zapisów onirycznych *Sceny łóżkowe* (2005). W 2009 roku ukazał się tom jego wierszy zebranych pt. *Czyste czyny*. Współautor *Końcówek*, wywiadu-rzeki z Henrykiem Berezą (2010). Laureat nagród: PTWK (1998), Fundacji Kościelskich (1999), Gdynia (2008); nominowany do Cogito, Paszportu Polityki, dwukrotnie do Silesiusa i trzykrotnie do Nike. Jego twórczość tłumaczona była m.in. na język niemiecki, rosyjski i słoweński i serbski. Mieszka w Warszawie.

ADAM WIEDEMANN (1967, Polen) – Dichter, Prosaiker, Essayist. Herausgeber von sieben Gedichtbänden: *Das Männchen* (1996), *Der Anlasser* (1998), *Maiglöckchen* (2001), *Calypso* (2004), *Pensum* (2007), *Die Filter* (2008) und *Der Teppich* (2010), zweier Prosabücher: *Die Allgegenwart der Ordnung* (1997) und *Gewaltige Verschlechterung des Gehörs* (1998; deutsche Fassung 2001), als auch der Sammlung von Traumdichtungen: *Bettszenen* (2005). Im Jahr 2009 wurde sein Gedichtsammlungband unter dem Titel *Saubere Taten* veröffentlicht. Mitautor von *Endungen*, eines langen Interviews mit Henryk Berezka (2010). Preisträger folgender Auszeichnungen: des Polnischen Verlegerverbandes (1998), der Kościelski-Stiftung (1999), des Literaturpreises der Stadt Gdynia (2008). Er wurde für den Cogito-Preis, den Preis Paszport Polityki, zweifach für den Silesius-Preis und dreifach für den Nike-Literaturpreis nominiert. Seine Werke wurde ins Deutsche, Russische, Slowenische und Serbische übersetzt. Er wohnt in Warschau.

АДАМ ВІДЕМАН (1967, Польща) – поет, прозаїк, есеїст. Видав сім збірок віршів: *Самець* (1996), *Стартер* (1998), *Конвалія* (2001), *Калінко* (2004), *Pensum* (2007), *Фільтри* (2008) та *Клім* (2010), дві книги прози – *Повсюдність порядку* (1997) та *Сук Пес Брова* (1998), збірку оніричних нотаток *Постільні сцени* (2005). 2009 року вийшла його книга зібраних віршів *Чисті діяння*. Був співавтором інтерв'ю-ріки з Генриком Березою під назвою *Кінцівки* (2010). Лауреат премії Польського товариства книговидавців (1998), Фондації Косцельських (1999), нагороди міста Гдиня (2008). Був номінований на премії „Когіто” та Паспорт „Політики”, двічі – на премію Silesius, тричі – на NIKE. Творчість Відемана перекладалася німецькою, російською, словенською, сербською мовами. Живе у Варшаві.

Fortuna

Kasi (i Asi)

Z wrodzoną sobie nieciągłością Pragnę was poinformować
Fortuna była zawsze podrzędną boginią
ponieważ jest nieciągła A dalej kurde prosto jak leci

Prosto jak leci Czy da się żyć bez Fortuny?
Ale właściwie po co żyć skoro już się jest? Odrestaurowane
budynekzki – oto czym byśmy byli

żyjąc nadal Ustawiczność jest cechą prawdziwej bogini
czy prawdziwego boga Nieciągłość jest sprawą płci
którą z nimi dzielimy I dzielimy Aż do nieskończoności

Фортуна

Kasi (та Asi)

З моєю вродженою непостійністю Хочу вас поінформувати
Фортуна завше була другорядною богинею
саме тому що непостійна А далі курва просто з мосту

Так, просто з мосту Чи можна без Фортуни жити?
Але навіщо жити якщо ти вже й так є? Відреставровані
будиночки – от чим ми були б

якби й далі жили Ненастанність це риса справжньої богині
або правдивого бога Непостійність є справою статі
яку ми з ними ділимо Й ділимо Аж до безконечності

Варшава, 24.05.09

Fortuna

Für Kasia (und Asia)

Mit der mir eigenen Unstetheit Ich will es euch nicht vorenthalten
Fortuna war seit je eine niedere Göttin
sie ist nun einmal unstet Und weiter, Scheiße, wie es grad kommt

Wie es grad kommt Gibt es ein Leben ohne Fortuna?
Wozu aber leben wenn man schon da ist? Frisch sanierte
Kleingebäude – das wären wir

im Weiterleben Lange Weile kennzeichnet die wahrhafte Göttin
den wahrhaftigen Gott Unstetheit hängt am Geschlecht
das wir mit ihnen teilen Und teilen Bis ins Unendliche

Warschau, 24.5.2009

Pasterz

Wieczność da się oszukać. Siedzę tu
po wiek wieków, po prawicy,
ale na darowanym meblu, śpię
u znajomych, wracam, dookoła domu

trwają roboty, pod ziemią kładzione są rury,
którymi spłynie mój kał, moje rzygi,
bo co jest moje, zawsze już pozostanie.

Zapytaj psa, on pozna, zapytaj kobietę,
czy nie ma drobnych, zapytaj pasterza,
gdzie poszły jego stada, a on właśnie przysnął
nad Mirbeau, który też już jest mój, podnoszę

jego nogę, sprawdzam stan dupy. Beethoven
był już niemal zupełnie głuchy pisząc te sonaty,
stwierdza
recenzentka, ściśle określając wieczność.

Warszawa, 16.8.09

Der Hirte

Die Ewigkeit lässt sich betrügen. Hier sitz ich
jetzt und immerdar, zur Rechten,
das Möbelstück ist bloß geschenkt, ich schlafe
bei Bekannten, komme wieder, ums Haus

wird weiter gebaut, werden Rohre verlegt,
in ihnen fließen mein Kot, meine Kotze,
denn was mein ist, wird es für immer bleiben.

Frag mal den Hund, der erkennt es, frag die Frau,
ob sie nicht Kleingeld hat, frag den Hirten,
wo seine Herden hin sind, grad packt ihn der Schlaf
über Mirbeau, der auch schon meiner ist, ich hebe

sein Bein, prüfe die Arschlage. Beethoven
war bereits nahezu taub, als er diese Sonaten schrieb, befindet
die Rezensentin in exakter Bestimmung der Ewigkeit.

Warschau, 16.8.09

Пастир

Вічність можна обвести круг пальця. Сиджу тут
на віки віків, по праву руку,
але на подарованім кріслі, сплю
у знайомих, вертаюсь, довкола дому

тривають роботи, під землю вкладають труби,
якими спливе мій кал, моє блювотиння,
бо все, що моє, таким і залишиться.

Спитай у собаки, він упізнає, спитай у жінки,
чи не має вона дрібняків, спитай у пастиря,
куди подались його стада, а він якраз задрімав
над Мірбо – той теж уже мій, і я піднімаю

його ногу, перевіряю стан дупи. Бетховен
був майже цілком глухим, коли писав ці сонати, пише
рецензентка, точно називаючи вічність.

Варшава, 16.08.09

Wiersz ciemności

1.
Ostatnio komplikacje śmieszą. Wartości dodane
nie są już tymi, które chciałoby się odjąć,
a wszak w odejmowaniu tkwi najwięcej światła.

Tkwi zresztą luźno i pożytki z tego
są, że tak powiem, nader wytężone. Cierń
sam chciałby wyjść, lecz masz go w nodze

na wszelki, dosłownie, wypadek. Jęczy
w tobie ten stan, gdy był jeszcze dość ostry
i emanował z niego czuły nadmiar sensu.

Wartościami wyłożone są schody i cieszy cię ten
grunt, w miarę stabilny, zakręcony
pod kątem prostym wobec jakiegokolwiek racji

i wobec możliwości bycia ponad. Czym?
Ponad lotem bez parasolki, ponad wyobraźnią?
Pytanie brzmi: kto kiedy miał kogo przez sen.

2.
Światło wytwarza przestrzeń, dźwięk wytwarza czas.
Brahms wiedział więcej o świetle, miał je w małym
palcu od nogi opisanej przez Paderewskiego. Bruckner

opowiada się wobec ciemności, tworzy ścisk,
w który nie wsadzisz ciekawego palca.
Ów palec się zakręca i wrasta sam w siebie,

odwraca się od sensu i zakłóca przebieg
czasu w jego wnętrzości, w jego marnym dojściu
do zatrzymania. Nie sensu, tylko jego porcji.

3.
Gdzie mój kot? wszystko musi zostać
nazwane od nowa. Powiedzonko
zmienia się w rodzaj „czynu”, mówię „dom”

i myślę w sposób wyróżniony, zachciało mi się
domu, a domem jest kot.

Chodzę po domu, nie ma kota w domu.

Warszawa, 13.6.10

Вірш темряви

1.
Останнім часом складнощі смішать. І додані вартості –
вже не ті, які б хотілось відняти,
у відніманні ж – найбільше світла.

Втім, воно там дещо непевне, та й користь із того,
сказати б, надто напружена. Скалка
сама хотіла б випасти, але носиш її у нозі

про всяк випадок – буквально. У тобі скигнуть
той стан, коли вона ще була досить гострою
і з неї еманував ніжний надмір сенсу.

Вартостями викладені сходи, й тебе тішить цей
грунт, доволі стабільний, повернутий
під гострим кутом стосовно будь-яких аргументів,

стосовно можливості бути понад. Чим?
Понад летом без парасольки, понад уявою?
Питання ось в чім: хто й коли мав когось крізь сон?

2.
Світло витворює простір, звук витворює час.
Брамс знав більше про світло, воно було у мизинці
його ноги, яку описав Падеревський. Брукнер

висловлює свою думку про темряву, творить згусток,
в який годі встромити допитливий палець.
Цей палець закручується й востає сам у себе,

відвертається від сенсу й порушує біг
часу там, усередині, в його жалюгіднім сповільненні
і зупинці. Не сенсу, лише його порції.

3.
Де мій кіт? усе треба назвати
наново. Примовка стає
чимось на кшталт «дії», кажу «дім»

і думаю винятково, мені захотілося
дому, а домом є кіт.
Ходжу домом, нема kota в домі.

Варшава, 13.06.10

Dunkelvers

1.
Fast lustig jüngst die Komplikationen. Der Mehrwert
ist nicht mehr, was man am liebsten abzieht,
es steckt doch in der Subtraktion das meiste Licht.

Nicht fest im Übrigen, der Nutzen draus
geht, würd ich sagen, nicht über den Aufwand. Der Dorn
will selber raus, doch du hast ihn im Fuß

für alle Fälle buchstäblich. Der Zustand
jault in dir, als er noch schärfer war
und einen sanften Überfluss an Sinn verströmte.

Die Stufen sind mit Werten gepflastert, dich freut
der halbwegs feste Grund, gebogen
im rechten Winkel wider jegliche Vernunft

und wider alle Chancen auf ein Drüber. Über was?
Über dem unbeschränkten Flug, der Phantasie?
Die Frage ist: wer hatte wen im Traum und wann.

2.
Das Licht erschafft den Raum, der Ton die Zeit.
Brahms wusste mehr vom Licht, er hatte es im kleinen
Zeh des Fußes, über den Paderewski schrieb. Bruckner

erklärt sich dem Dunkel, macht Gedränge,
in das kein naseweiser Zeh mehr geht.
Der Zeh kehrt um, verwächst sich mit sich selbst,

wendet sich ab vom Sinn und stört den Lauf
der Zeit in seine Eingeweide, auf seinem Elendsweg
zum Stillstand. Nicht des Sinns, nur seiner Ration.

3.
Wo ist mein Kater? Alles will jetzt
neu benannt sein. Aus Sprüchen
werden quasi „Taten“, ich sage „Haus“

und denke ganz besonders, ich hätte gern
ein Haus, da ist das Haus ein Kater.
Ich gehe durch das Haus, kein Kater ist im Haus.

Warschau, 13.6.10

PLUTO na mnie, nie przeczę. Rzeźba snu
nie wyklucza falbanki wspomnienia. Gorsze

słowa mogą oznaczać lepsze rzeczy. Panienska na obrazie
nie jest już tą, którą przeleciał. Zamaskowany

morderca, chwila pocałunku
przeobraża się w miraż, krowy nie chodzą do tyłu.

Skusi nas perspektywa, choćby i szeregową,
czemu nie spojrzeć na siebie przez szkło

gablutki? Klejnot, oto czym byłeś.
Niech cię pies poprowadzi. Został tylko klej.

Warszawa, 16.6.10

PFUI über mich, keine Frage. Das Bildwerk des Schlafs
schließt Erinnerungsrüschen nicht aus. Schlechtere

Wörter bezeichnen mitunter die besseren Dinge. Das Fräulein im Bild –
nicht mehr die, die er gepinselt hat. Maskiert ist

der Mörder, der Zeitpunkt des Kusses
verschwimmt in ein Trugbild, kein Weichen der Kühe nach hinten.

Die Perspektive verleitet, so banal sie auch sein mag,
warum sich denn nicht mal betrachten durchs Glas
der Vitrine? Ein Kleinod bist du gewesen.
Der Hund soll dich führen. Was bleibt, ist nur klein.

Warschau, 16.6.10

ПЛЮВАЛИ на мене, не заперечую. Скульптура сну
не виключає мережива спогаду. Гірші

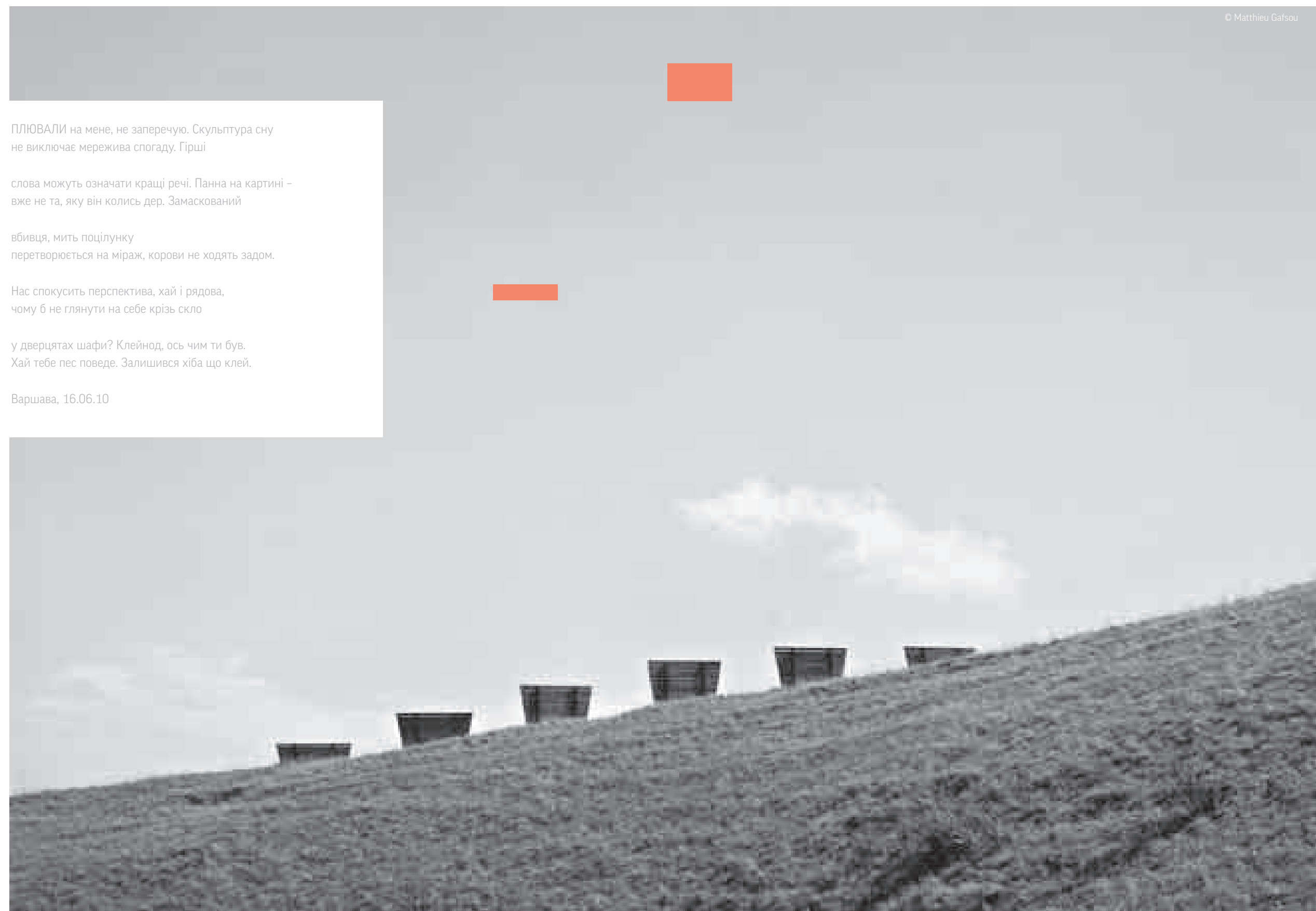
слова можуть означати кращі речі. Панна на картині –
вже не та, яку він колись дер. Замаскований

вбивця, мить поцілунку
перетворюється на міраж, корови не ходять задом.

Нас спокусить перспектива, хай і рядова,
чому б не глянути на себе крізь скло

у дверцятах шафи? Клейнод, ось чим ти був.
Хай тебе пес поведе. Залишився хіба що клей.

Варшава, 16.06.10



2 МЮНХЕН 9 MÜNCHEN 9 MONACHIUM

з майбутньої книжки *Лексикон інтимних Міст*
aus dem künftigen Buch *Intimes Städtelexikon*
z przyszłej książki *Leksykon Intymnych Miast*

► У цій книжці Мюнхен починається відразу за Москвою, і це той випадок, коли абетка наспівує в унісон часові. Якщо йому, звичайно, дозволити розгортатися лінійно. Бо так усе й було – Москва, Мюнхен.

Як зараз пам'ятаю той вечір 23 січня, коли мій опікун Проводир Фіш і я зійшли з потяга на перон мюнхенського вокзалу. Щодо потяга, то ним був перший у моєму житті інтерсіті-експрес, така собі Zeitmaschine, яка не тільки переносить у далеке футуристичне майбутнє, а й сама його уособлює. Ми промчали в ньому за чотири години з Франкфурту до Мюнхена, і за вікном була спершу якась майже золота осінь із сонячно-сонними лісами. Але після Штутгарту ми з першою сутінню в'їхали до тунелю, на виїзді з якого нас уже зустрічала зима зі снігом.

У Мюнхені ми висідали не на Головному (Гауптбангоф) вокзалі, а на (Остбангоф) Східному. Проводир Фіш мешкав десь у тій околиці.

Отже, так воно і сталося: 23 січня, четвер, година близько сьомої вечора, Мюнхен Остбангоф, зима, якийсь неголений албанодний персонаж кидається мені навперейми з обіймами і словом «Italiano!», мені це шалено лестить, але Проводир Фіш змітає його з дороги – і ми сягнестими кроками покидаємо фантастичну (як на мене) будівлю вокзалу. Брама Заходу відчиняється! Ось воно, Перше Окцидентальне Місто мого життя!

У що мить злітає вгору паличка Диригента, і зведений оркестр у складі Мюнхенського Філармонійного, Баварського Державного та Симфонічного оркестру Баварського радіо, підсилений трьома хорами хлопчиків та чотирма пожежно-мисливськими духовими квартетами, вітає мою появу святковою увертюрою. М'який лапатий сніг, казкове освітлення вулиць і площ, попереду три місяці, а це вічність.

* * *

Відразу ж сталося кілька речей, коли щось у житті, хоч мені вже йшов тридцять другий рік, діялося вперше. Як наприклад: я вперше говорив німецькою мовою

не до шкільної вчительки, а до реальної німкені – пані на прізвище Юнгганс. Уперше торкнувся приемних на дотик дойчмарок, що їх мені видала в конверті згадана пані, прізвище якої насправді мало бути Стипендія. Вперше проїхав ес-баном, хоч усього лише три зупинки, від Остбангофу до Марієнплатцу, але все одно в супроводі Проводиря Фіша. Він піклувався мною, наче інвалідом, підтримуючи за лікоть, і я не сумніваюся, що збоку ми могли нагадувати подружжя закоханих до нестями геїв.

В ес-бані я вперше побачив цілком пристойних панів і пань з де-не-де фарбованим на зелено, червоно і темно-синьо волоссям та вимазаними білилами й рум'янами фізіями. Тоді ж я вперше почув слово «фашинг» і не здивувався: Hauptsatdt der Bewegung як-не-як.

Відтак я вперше опинився на Марієнплатці з його мандрівними мімами і вперше задивився на годинникові танці фігур з нової ратуші, яка у свою чергу вперше не здалася мені новою, а радше середньовічною.

Потім Проводир Фіш уперше запросив мене до борделю (за свій кошт), але я відмовився, мотивуючи тим, що моя німецька ще не надто вправна. Нарешті я вперше, ніби Данте Вергілієм у пекло, був заведений Проводирем Фішем у «Гофбройгауз» – цю головну мегастайню, цю метастайню, цей золотий храм світової Столиці Пива, про який згодом оповідастиму у Франику, що в ньому може поміститися до трьох з половиною тисяч пивожлуктів одночасно, що його площа і простір дозволяють галопувати по ньому на конях, що саме так і вчинив Гітлер у 1923 році, проскакавши всіма його залами верхи і з шаблею наголо. Крім того, я розповідав, що в ньому століттями варили пиво для баварських королів-ідіотів і що деякі офіціантки «Гофбройгаузу» носять поперед себе груди такого розміру, щоб на них зручно було ставити літрові кухлі. По два кухлі на грудях і по чотири в руках – разом дванадцять. Я це розповідав, бо я все це тоді побачив. А я тоді все бачив захоплено, поверхово й перебільшено. У мої

очі було вмонтовано спеціальні гіперболічні лінзи. Замість трьох сотень душ я бачив три тисячі, замість четвертого розміру восьмий. І коли в тому капищі, в головній залі, ще й загримів міддю оркестрик (капелюхи, шкіряні штанці, волохаті коліна, випнуті яйця, гетри, камзоли, труби, вальси, сальси і марші), то мені здалося, що музик на сцені не вісім, а вісім і вісімдесят, ахтундахціг.

* * *

Проводир Фіш (іще трохи й він зникне) школив мене мудро, жорстко і наполегливо. «Я знаю цей народ, – казав він, – бо живу з ними не перший рік. Вони досі фашисти. Іноді, коли вони доводять мене до сказу, я так і кричу їм в їхні зарозумілі пики: Сталінград! Одне тільки слово – і вони відступають.» Але з вовками жити – по-вовчому вити, повчав мене Проводир Фіш. Аби зробити з мене людину, він готовий був хоч сорок років водити мене Мюнхеном. У незліченних кишнях його грубої зимової куртки завжди було по малій пляшчині «Шантре». Він час до часу прикладався до однієї з них у безлюдних, як йому здавалося, місцях. Виховані баварці робили вигляд, що нічого не бачать і відвертали носи. Щоразу, кинувши їм до смітника незагашеного недокурка, Проводир Фіш промовляв: «За наши города и села!». Проте я жодного разу не чув, аби він сказав «За Родину, за Сталіна!».

Так от, Проводир Фіш вимагав від мене, щоб я:

- а) щодня одягав свіжу сорочку («коли вони бачать вас удруге поспіль у тій самій сорочці, то починають стурбовано запитувати: а що це тут так смердить?»);
- б) не смів дарувати своїх книжок, а лише продавав їх («ця сволота з біса багата, хай потрусять мошонками!»);
- в) вимагав гонорар за кожне інтерв'ю («вони мають платити за таку честь!»);
- г) харчуючись виключно сендвічами, заощаджував гроші з кожної стипендії та складав їх на купівлю в Україні квартири («купите собі трикімнатну за тисячу марок!»).

Не всі з його напучувань я виконував.

Крім того, він вимагав, щоб я підметушився за візами – австрійською, французькою, швейцарською та італійською. Проводир Фіш хотів, щоб ми з ним трохи поїздили.

Останнє дало мені разюче усвідомлення, де я перебуваю і як насправді все близько. Пуп Європи! Десь поруч зі мною Зальцбург та Іннсбрук, Страсбург та Шербур, Париж та Ліон, Женева, Берн, Люцерн, Верона, Равенна та Венеція...

Це було запаморочливо. Від запаху пригод мене всього аж трусило.

Крім того, я завжди забував про двері. Заходячи до кафе чи крамниці, я несвідомо тягнув двері за собою, щоразу забувши про їхнє автоматичне самозачиняння. На мене дивилися з легким осудом: навіщо ламати. Проводир Фіш червонів. Добре, що я не шпигун – інакше з порогу б засипався.

* * *

Востаннє Проводир Фіш виник одного з останніх таки вечорів зими. Не згадаю, що затримало нас із ним так допізна в якійсь забігайлівці на Остбангофі. Чи був з

нами ще хтось? Якись його російськомовні друзі? Ноль поняття. Пам'ятаю зате, що шнапс шов за шнапсом, причому подвійний за подвійним. Зрештою, в цьому немає подвигу: один подвійний шнапс – то всього лише сорок грамів. Опівночі стара прокурена барменка виставила нас за двері, нахрипівши нам у спину, що «тут Баварія, тут порядок!». Коли ми лишилися удвох посеред ночі, морозу і зоряного неба над нами, Проводир Фіш оголосив, що зараз покаже мені Дещо. До наступного ес-бану на мій Фельдафінг тепер залишалося майже півтора години, і я мусив цьому скоритися. Цілком коротенький відступ. Знавці типової топографії стверджують, ніби практично кожне велике місто (нім. Großstadt) має історично зумовлений поділ на міста Східне й Західне. І таким чином, наприклад, Берлін був поділений на два Берліни ще задовго перед Стіною – просто Стіна була невидима. Східний Париж різнився від Західного. Східний Мюнхен також різнився від Західного. На сході буцімто традиційно гніздився пролетаріат, на заході панство. На сході – трудящі, а на заході працедавці і власники. Причина цієї закономірності начебто у тому, що вітри у Західній Європі переважно віють із заходу на схід – отуди і сунуть разом з вітрами всі фабричні та заводські дими. Не знаю, чи в нас є, наприклад, Східне й Західне Запоріжжя. У нас, мабуть, це все якось по-іншому. На цьому відступ закінчено.

Далі було таке. Проводир Фіш завів мене до якоїсь дуже східної околиці (Орлеанштрассе? Я дивлюся на мапу – можливо). «Такого ви ще не бачили», – пообіцяв він. Я погоджувався на все, навіть на ще не бачене. Те, що ми невдовзі таки побачили, було вервечкою освітлених зсередини автомобілів, що, ніби таксі, вишикувались один за одним. «Вибірайте ту, що найбільше сподобається», – сказав Проводир Фіш. «Машину?» – спитав я. «Ні, -- хитнув головою Проводир Фіш. – Курву».

У кожному авті за кермом сиділа повія. Це був досі не знаний мені сервіс: не ти підвозиш, а тебе. Вони сиділи, ніби таксисти, чи то пак таксистки, в очікуванні пасажирів, закутані в хутра з піднятими комірами, деякі з них курили. Майже всі щось читали – здебільшого книжки, не газети. Дамські романи? Найгірше, що жодної з них я не міг роздивитися – так щільно вони позакутувались. І так глибоко позанурювались у книжки, що жодна й не глянула в наш бік. Я навіть приблизно не міг визначити їхнього віку, не кажучи про всілякі деталі й тонкощі. Вони нагадували манекенів на виставці. Тільки не знати на якій: машин, хутових виробів, книжок? «Ну, як? – запитав Проводир Фіш, утішений справленим ефектом. – Ідемо?».

Я вдихнув повні груди холоду. Тієї ночі він загадково і дуже надовго зник. Але я ніколи не забуду ці повні кишені «Шантре» і купюр, якими він завжди вистеляв свій шлях.

* * *

Мій тодішній Мюнхен – це шок багатством. Слово «шок» тут, безумовно, засильне, я не хапав судомно ротом повітря і не зомлівав у супермаркетах – навпаки, з першого дня намагався маскуватися

під бувалою в бувальцях світового мандрівника-протидисвіта. Але внутрішньо я таки – ну, немає в мене відповіднішого слова! – охуївав. Ми (я зараз про «покоління») виростили в тотальних нестачах, і наша юність – книжки, фільми, картини та, головне, музика – яку ми собі вибрали, прищепила нам навичку добровільної відмови від матеріального. Вершиною моїх матеріальних прагнень в есесері була пристойна акустична система, що завдяки їй можна було би поринати у кращу з реальностей і показувати свій фак гірший. Десь у середині 80-х я написав рядки, в яких про весь цей вибір говориться достатньо ясно:

...спокуси обійдемо, ніби торжища,
де на вагу оздоб – тіла мосяжні,
де радощі, немов цупкі полотнища
купецтво переміряло на сажні...

І от у Мюнхені на мене вперше в житті накопили «спокуси» й «купецькі радощі». Предметний світ – розкіш чи хоча би зваблива ошатність вітрин, одяг, його кольори й тактильність, одяг у вітринах, на манекенах, одяг на людях, самі люди з їхньою рафіновано-породистою генетикою, завжди помитим волоссям та справжніми здоровими зубами, світильники, лампи і ліхтарі, будинки, їхні фасади, брами, балкони, двері, дверні ручки й механізми, клацання замків, бездоганна функціональність усіх систем, ковзка легкість метро і трамваїв, меблі, білизна й посуд, напої, прянощі, безмежна амплітуда смаків і запахів – по справжньому захопив мене своїм перенадлишком. А ще ж були, наприклад, автомобілі, яких я просто не надто бачив, бо досьогдні не надто на них розуміюся.

Великий грузин Резо Габріадзе, що від нього в ті дні я неодноразово навчався уважності, звертав мій погляд на форму якої-небудь пляшки і розвивав цілу теорію про культурну спадкоємність. «У цій пляшці, – казав він, – суцільні натюрморти старих голандців. У нас не вийде такої пляшки, бо ми здичавіли, а єдиний піддатний нам інструмент називається автомат Калашнікова.»

Мої прогулянки уздовж пішохідної Кауфінгерштрассе, поміж Марієнплатц і Штахусом, перетворювалися на уроки нової речевості. Купівля якої-небудь сорочки з чорного шовку ставала поемою чи принаймні давала спостережницько-чуттєвої поживи на зухвалий есей. Але найбільшою купецькою спокусою Кауфінгерштрассе був для мене WOM – World Of Music, велетенський забитий вініловими платівками й касетами напівпідвал. У ньому я просиджував годинами. Заборонена музика, що так ще недавно становила фактичний сенс мого існування, раптом, в одну чудову мить, виявилася дозволеною й досяжною. Від літери до літери я переходив тільки мені зрозумілими мостами: В – Beatles, D – Dire Straits, E – Emerson, Lake & Palmer, J – Jethro Tull, K – King Crimson, P – Pink Floyd, R – Rolling Stones, U – Uriah Heep, Y – Yes. Yessss!

Насправді то був тимчасовий кінець вінілу, початок ери компактів. Я вибрав проміжне. Касетоплеер марки «Nitech», згаданий навіть у заповіді Перфецького, до речі, разом із чорною шовковою сорочкою «Angelo Litrico», відкрив мені ще одну

можливість пересування. Простір навколо мене заповнювався музикою. Шлях ес-баном від станції у Фельдафіngu, де я жив, до центру дорівнював 45 хвилинам, себто приблизній тривалості одного диску. Першу композицію платівки я вмикав, заходячи до вагону. Найвищим пілотажем було виїхати ескалатором на поверхню Марієнплатцу разом з останніми акордами останньої.

І тільки якщо я вибирав у дорогу Моцартів «Реквієм» (Academy and Chorus of St Martin In The Fields / Sir Neville Marriner), то мусив тиснути на старт заздалегідь – щойно виходив з подвір'я вілли. На станцію я збігав десь між Introitus та Kyrie. Це дозволяло мені виїжджати на центральну площу разом із «Lux aeterna». Мілош Форман мав би це оцінити.

* * *

Одного разу я пересідав на Гауптбангофі з S6 на U2, щоб їхати далі до Йозефсплатцу. У слухавках саме бринів Андреас Волленвайдер, уже згадуваний у цій книжці арфіст. Його «Трилогію» я записав собі вибірково, вся вона ніяк не вмістилася б на 90-хвилинну касету. Третя частина «Трилогії» називається «Білі Вітри», і там є такий зовсім-зовсім індокитайський шматок – хто пам'ятає, той знає, про що я. Саме цей шматок залунав у моїх слухавках, коли я дійшов до платформи U2 в напрямку на Фельдмохінг. І саме в цю мить мене з усіх боків почали обступати в'єтнамці. Їх було кілька десятків – чоловіки, жінки, і хоч як мене свербить написати «діти», я цього тут не зроблю, бо всі вони були завбільшки з дітей. Вони не могли чути музику з моїх слухавок, але поводитися так, ніби не тільки чують, а ще й унаочнюють її. Я стояв один, ніби стрімчак у морі, посеред багатьох-багатьох в'єтнамців. Море було Південно-Китайське, а в'єтнамці були його хвилястою поверхнею, і вона розступилася, щойно той шматок закінчився, а до платформи прибув потяг. Коли я розповів про це Азі, вона сказала: «Відеокаліпсі дійсності».

Але в'єтнамці виникли тут щойно ще й для того, щоб я міг віддати належне іншому культурному шокові – мультиетнічному. Мюнхен з його Баварською Консервою, з його достойними вусанями-капельюшниками в гетрах і штанях, його старими дамами в перуках, духовими капелами, його різьбленими святими й декольтованими мадоннами, його фашингом і кічем, його багатством і ситим їдлом, здається, й сам незчувся, як став одним з наймодерніших вавилонів. І справа вже не в турках чи греках.

Я застав Мюнхен у мить утікацтва до нього ледь не всього світу. Мій приятель Перфецький, потрапивши до якогось помешкання на Швабінгу з надією на мимобіжну бордельну пригоду, зненацька побачив у тому помешканні їх усіх: курдів, пакистанців, палестинців, маврів, кхмерів, гаїтян, тайтян, тайців, алтайців, конголезців, бангладешців, кот'дівуарців, буркіна-фасян – і далі за його, Перфецького, списком. Я думаю, що навіть підданий цілком очевидному впливові галюциногенних речовин, Перфецький нічого не перебільшив. І я також у свої мюнхенські дні відчув ці дивні дисонанси, цю розпачливу спробу співжиття двох мюнхенів: старого – добротного,

відлагодженого, закритого, й нового – хаотичного, кольорового, бідного.

Спальні мішки у підземних переходах нагадували про балканську війну тут і тепер. Боснія була темою, там усе вакурат сягнуло розпалу. Караджич та Зетбегович не сходили з телеекранів. На свіжо пофарбованих чистісіньких стінах доглянутих міщанських будинків Мюнхена з'явилися ще свіжішою фарбою поналяпувані гасла SLOBODNA HRVATSKA; FUCK NAZIS і AUSLÄNDER RAUS.

* * *

У другій половині березня моя вічність із трьох місяців почала здаватися мені не просто минущою, а катастрофічно скороминущою. Дрозди не давали спати. Хотілося бодай за що-небудь зачепитися, повбивати в ілюзійну матерію, що зіслизала геть, якісь умовні кілочки тривкості, забрати в собі якусь частину цього простору. (Це знову Резо Габріадзе, хрипкуватий грузинський голос: «Обов'язково візьміть із собою цей простір. У вас вийде»). Я кинувся по музеях. Я напихав себе Пінакотеками, Старою й Новою, Віллою Штук, малярством групи «Блакитний вершник» і порцеляною з Німфенбургу. Я зійшов на вежу Святого Петра, щоб додати Мюнхен до майбутнього списку міст, побачених згори. В Музеї міста я нарешті надібав різьблених Морисків. Я вибирав найчудніші та найдурніші експозиції: театральних ляльок, циркових борців



► In diesem Buch beginnt München gleich hinter Moskau, und da harmoniert das Alphabet mit der Zeit. Natürlich nur, wenn man dieser erlaubt, sich linear auszubreiten. Denn genau so war es – Moskau, München.

Wie heute erinnere ich jenen Abend des 23. Januar, als mein Beschützer Truppführer Fisch und ich aus dem Zug stiegen und den Münchner Bahnhofsbahnsteig betraten. Der Zug war mein erster ICE, eine Art Zeitmaschine, die nicht nur in eine ferne futuristische Zukunft trug, sondern diese auch selbst verkörperte. In nur vier Stunden waren wir darin von Frankfurt nach München geeilt, draußen zuerst fast goldener Herbst mit sonnig-schläfrigen Wäldern. Aber als wir hinter Stuttgart in der ersten Abenddämmerung in einen Tunnel fuhren, begrüßte uns an dessen Ausgang schon der Winter mit seinem Schnee.

In München stiegen wir nicht am Hauptbahnhof, sondern am Ostbahnhof aus. Truppführer Fisch wohnte irgendwo in der Nähe.

Und so geschah es: 23. Januar, Donnerstag, gegen sieben Uhr abends, München Ostbahnhof, Winter, ein unrasierter, albanoider Typ wirft sich mir mit dem Wort „Italiano!“ an den Hals, was mir unglaublich schmeichelt, aber Truppführer Fisch fegt ihn zur Seite – und mit großen Schritten verlassen wir das mich damals fantastisch anmutende Gebäude.

Das Tor zum Westen öffnet sich. Da ist sie, die Erste Stadt des Okzidents meines Lebens!

Da hebt sich der Stab des Dirigenten, und das aus Münchner Philharmonikern, Bayerischem Staatsorchester und dem Symphonieorchester des Bayerischen

и клоунів, нічних посудин, нічних кошмарів, пантофель і взуття, гральних і музичних автоматів. Я ставив рекорди у відвідуванні церков і кнайп, я почав плутати їх між собою, що, зрештою, й не дивно. Голова йшла обертом від весни і фену. Коли в Мюнхені та околицях віє фен, повітря набуває різючої прозорості, а носом часто йде кров. Я користав із кожного підвищення, щоб укотре глянути на Альпи. Ні, не сніг на верхах був першопричиною цього потягу, хоч і він теж. Але головним чином тягнуло те, що там, позаду, за ними. Ви будете сміятися – там нічого нового, там Італія. Мюнхен – це початок Італії, Монако ді Бав'єра. Я зрозумів, з якою вістю зустрічав мене той довбаний албаноїд першого вечора.

* * *

23 квітня рано-вранці, у мить найвищого цвітіння всіх дерев і кущів, я сів у зворотний інтерсіті-експрес до Франкфурту. Брама Заходу знову зачинялася. Чомусь я був певен, що віднині і назавжди. Я вирішив розтягнути на ще одну вічність оті чотири години в потязі. Дивитись у вікно на цвітіння зеленого і курити. Поки я ще там, де можна курити в потязі не встаючи з місця. Я, напевно, помер би, якби не плеер. Знаєте, що я слухав? Звичайно ж, The Cure. І як називався альбом? «Disintegration».

Про те, що «фашинг» і «фашизм» – поняття не цілком споріднені, я дізнаюся згодом.

Rundfunks sowie drei Knabenchören und vier Jäger-Feuerwehr-Blasquartetten zusammengestellte Orchester begrüßt mein Erscheinen mit einer feierlichen Ouvertüre. Weicher, klebriger Schnee, märchenhafte Beleuchtung der Straßen und Plätze, vor mir drei Monate, eine Ewigkeit.

Gleich mehrere Dinge passierten mir zum ersten Mal im Leben, obwohl ich schon 32 wurde. Zum Beispiel sprach ich zum ersten Mal nicht meine Lehrerin, sondern eine echte Deutsche auf Deutsch an – Frau Junghans. Berührte zum ersten Mal Deutschland, die sich angenehm anfühlten und die mir von der erwähnten Dame, deren Name eigentlich Frau Stipendium hätte lauten müssen, in einem Umschlag überreicht wurden. Fuhr zum ersten Mal S-Bahn, zwar nur drei Stationen, vom Ostbahnhof bis zum Marienplatz, trotzdem aber in Begleitung von Truppführer Fisch. Er betreute mich wie einen Invaliden, stützte mich am Ellenbogen, und ich glaube, wir sahen aus wie ein wahnsinnig verliebtes Schwulnpärchen.

In der S-Bahn sah ich zum ersten Mal ganz normale Damen und Herren mit teils grün, teils rot, teils dunkelblau gefärbten Haaren und weiß und rot geschminkten Visagen. Hörte zum ersten Mal das Wort „Fasching“ und wunderte mich nicht: immerhin ja die Hauptstadt der Bewegung.

Ich betrat zum ersten Mal den Marienplatz mit seinen Straßenkomödianten und erfreute mich zum ersten Mal am Uhrentanz der Figuren des neuen Rathauses, das mir jedoch nicht neu, sondern eher mittelalterlich



X
Marienplatz

Hofgraben

Orleanstrasse

Marienstrasse

Petersplatz

vorkam.

Dann lud mich Truppführer Fisch zum ersten Mal ins Bordell ein (auf eigene Kosten), aber ich lehnte unter Verweis auf mein unzureichendes Deutsch höflich ab.

Wie Dante von Vergil in die Hölle wurde ich schließlich von Truppführer Fisch zum ersten Mal ins „Hofbräuhaus“ geführt – diesen wichtigsten Megastall, dieses Metastasengewirr, diesen goldenen Tempel der Hauptstadt des Biers, von dem ich dann in Franyk erzählen werde, dass dort dreieinhalbtausend Schluckspechte auf einmal Platz finden, dass Platz und Raum es erlauben, darin zu Pferde zu galoppieren, dass Hitler genau das 1923 getan hat, hoch zu Ross und mit gezogenem Degen durch seine Säle reiten. Außerdem erzählte ich, dass dort Jahrhunderte lang das Bier für die bayrischen Idiotenkönige gebraut wurde und dass einige der Hofbräuhaus-Kellnerinnen Brüste solchen Umfangs vor sich hertragen, dass man Maßkrüge darauf abstellen kann. Je zwei Krüge auf einer Brust und vier in jeder Hand – insgesamt zwölf.

Das erzählte ich, denn genau so hatte ich es gesehen. Denn damals sah ich alles begeistert, vergrößert und überdimensioniert. Als wären spezielle hyperbolische Linsen vor meine Augen montiert. Statt dreihundert Personen sah ich dreitausend, statt Größe vier Größe acht. Und als in diesem Heiligtum, im großen Saal, auch noch das Blasorchester losschlepperte (Hüte, Lederhosen, haarige Knie, vorstehende Eier, Stulpen, Gilets, Tuba, Walzer, Salsa und Marschmusik), da schien mir, auf der Bühne saßen nicht acht, sondern, Achtung: achtundachtzig Musikanten.

Truppführer Fisch (bald wird er verschwinden) schulte mich klug, hart und nachdrücklich. „Ich kenne dieses Volk“, sagte er, „denn ich lebe nicht das erste Jahr unter ihnen. Sie sind und bleiben Faschisten. Manchmal, wenn sie mich zur Weißglut getrieben haben, schreie ich es ihnen in die arroganten Visagen: Stalingrad! Nur dieses eine Wort – und schon treten sie den Rückzug an.“

Aber man muss mit den Wölfen heulen, lehrte Truppführer Fisch. Um mich zu einem Menschen zu machen, wäre er bereit gewesen, mich auch vierzig Jahre durch München zu führen. In jeder der unzähligen Taschen seiner groben Winterjacke fand sich ein Fläschchen „Chantré“. Manchmal, an, wie es ihm schien, menschenleeren Orten, holte er eines hervor. Die wohlherzogenen Bayern taten, als sähen sie nichts, und wandten sich ab. Immer, wenn er ihnen eine brennende Zigarettenkippe in den Mülleimer warf, sprach Truppführer Fisch: „Für unsere Städte und Dörfer!“ Aber „Für die Heimat, für Stalin!“ hörte ich ihn niemals sagen.

Truppführer Fisch verlangte also, ich solle

a) jeden Tag ein frisches Hemd anziehen („wenn sie euch zwei Tage hintereinander im selben Hemd sehen, fangen sie an besorgt nachzufragen: was stinkt hier so?“);

b) meine Bücher keinesfalls verschenken, sondern höchstens verkaufen („diese Schweine sind stinkreich, sollen sie ihren Zaster zücken!“);

c) für jedes Interview ein Honorar verlangen („diese Ehre müssen sie bezahlen!“);

d) mich nur von belegten Broten ernähren, von jedem Stipendium Geld zurücklegen und es für den Kauf

einer Wohnung in der Ukraine verwenden („für tausend Mark eine Dreizimmerwohnung!“).

Ich habe nicht alle seine Lehren befolgt.

Außerdem forderte er, ich solle mich um Visa kümmern – ein österreichisches, ein französisches, ein schweizerisches und ein italienisches. Truppführer Fisch wollte mit mir ein bisschen herumreisen.

Dabei ging mir plötzlich auf, wo ich mich befand und wie nah ja alles war. Der Nabel Europas! Ganz in der Nähe lagen Salzburg und Innsbruck, Straßburg und Cherbourg, Paris und Lyon, Genf, Bern, Luzern, Verona, Ravenna und Venedig...

Es war verführerisch. Der Geruch des Abenteurers ließ mich erzittern.

Außerdem vergaß ich immer die Sache mit den Türen. Wenn ich ein Café oder ein Geschäft betrat, zog ich ganz unbewusst immer die Tür hinter mir zu, obwohl sie doch automatisch zuing. Man blickte mich missbilligend an: warum so aggressiv. Truppführer Fisch errötete. Gut, dass ich kein Spion bin – sonst wäre ich schon auf der Schwelle enttarnt worden.

Zum letzten Mal tauchte Truppführer Fisch an einem der letzten Abende des Winters auf. Ich weiß nicht mehr, was uns so lange in dieser Spelunke am Ostbahnhof hielt. War vielleicht noch jemand dabei? Irgendwelche seiner russischsprachigen Freunde? Keine Ahnung. Aber ich weiß noch, dass ein Schnaps auf den anderen folgte, noch dazu ein Doppelter auf den anderen. Das ist jedoch keine große Leistung: ein doppelter Schnaps ist nicht mehr als vierzig Gramm. Um Mitternacht setzte uns die alte, verrauchte Barfrau vor die Tür und krächzte uns in den Rücken: „Hier ist Bayern, hier herrscht Ordnung!“

Als wir uns zu zweit inmitten von Nacht, Frost und Sternenhimmel wieder fanden, verkündete Truppführer Fisch, er werde mir Etwas zeigen. Irgendwie musste ich mir die eineinhalb Stunden bis zur nächsten S-Bahn zurück in mein Feldafing ja vertreiben.

Jetzt eine kurze Abschweifung. Kenner der typischen Topographie versichern, dass es in praktisch jeder großen Stadt eine historisch begründete Teilung in eine Ost- und eine Weststadt gibt. So war zum Beispiel Berlin schon lange vor der Mauer in zwei Berlins geteilt – die Mauer war einfach nicht zu sehen. Ostparis unterscheidet sich von Westparis. Ostmünchen unterscheidet sich ebenfalls von seinem westlichen Pendant. Offenbar hat sich im Osten traditionell das Proletariat eingerichtet, und im Westen die Oberschicht. Im Osten die Werkstätigen, und im Westen die Arbeitgeber und Eigentümer. Der Grund dieser Gesetzmäßigkeit liegt angeblich darin, dass die Winde in Westeuropa überwiegend von West nach Ost wehen – wohin dann mit den Winden auch der Qualm der Fabriken weht. Keine Ahnung, ob wir, zum Beispiel, ein West- und ein Ostsporn haben. Bei uns ist vielleicht alles irgendwie anders. Ende der Abschweifung.

Und so ging es weiter. Truppführer Fisch führte mich in einen sehr östlichen Vorort (Orleansstraße? Dem Stadtplan nach – durchaus möglich). „So etwas haben Sie noch nicht gesehen“, versprach er mir. Ich gab ihm in allem recht, selbst im nicht Gesehenen. Was wir dann erblickten, war eine Kette von innen beleuchteter Autos, die sich, wie Taxen, hintereinander aufgereiht hatten. „Suchen Sie sich die aus, die Ihnen am besten gefällt“,

sagte Truppführer Fisch. „Die Taxe?“ fragte ich. „Nein“, er schüttelte den Kopf. „Die Nutte.“

In jedem Auto saß eine Hure am Steuer. Es handelte sich um einen mir bisher unbekanntem Service: Nicht du fährst, sondern man fährt dich. Sie saßen wie Chauffeure, oder eher Chauffeurinnen, in Erwartung von Passagieren, gehüllt in Pelze, die Krägen hochgeschlagen, einige rauchten. Fast alle lasen, meist Bücher, keine Zeitungen. Liebesromane? Am schlimmsten war, dass ich sie nicht richtig sehen konnte – so fest hatten sie sich eingemummelt. Und waren so in ihre Bücher versunken, dass keine in unsere Richtung schaute. Ich war nicht einmal in der Lage, ihr ungefähres Alter zu erkennen, von Details und Feinheiten ganz abgesehen. Sie glichen Schaufensterpuppen. Unklar nur, wofür sie warben: Autos, Pelzwaren, Bücher?

„Na, und?“ fragte Truppführer Fisch, der sich über die erzielte Wirkung freute. „Packen wir’s an?“

Ich füllte mir die Lungen mit kalter Nachtluft.

In jener Nacht verschwand er geheimnisvoll und für sehr lange. Aber niemals werde ich seine Taschen voller „Chantré“ und die Geldscheine, mit denen er seinen Weg pflasterte, vergessen.

München damals – das war für mich der Schock des Reichtums. Das Wort „Schock“ ist hier wahrscheinlich zu stark, ich schnappte nicht krampfartig nach Luft und fiel im Supermarkt nicht in Ohnmacht – im Gegenteil, vom ersten Tag an versuchte ich, mich als weltläufiger Wanderer und Vagabund zu maskieren. Innerlich jedoch – sorry, ich finde kein passenderes Wort! – oh fuck.

Wir (jetzt meine ich die „Generation“) sind in Zeiten des totalen Defizits aufgewachsen, und unsere Jugend – die Bücher, Filme, Bilder und vor allem die Musik – die wir wählten, lehrte uns den freiwilligen Verzicht. Der Gipfel meines materiellen Strebens in der UdSSR war eine ordentliche Stereoanlage, mit Hilfe derer man sich jederzeit in die schönste der Realitäten versenken und der schlimmsten den Stinkefinger zeigen konnte. Mitte der 80er schrieb ich Zeilen, die diese Wahl ziemlich klar beschreiben:

...wir meiden die Versuchung wie Märkte,
wo auf der Waage Gewichte aus Messing,
wo die Freude, wie Stoff, gestärkter
vom Kaufmann in Ellen gemessen...

In München also überfielen mich zum ersten Mal im Leben die „Versuchung“ und die „Freude der Kaufleute“. Die dingliche Welt – der Luxus oder wenigstens die verlockende Vornehmheit der Schaufenster, Farben und Eleganz der Kleider, Kleider in den Schaufenstern, an den Schaufensterpuppen, an den Menschen, die Menschen selbst mit ihren raffiniert-edlen Genen, ihren immer frisch gewaschenen Haaren und echten, gesunden Zähnen, Lampen, Lichter und Leuchten, die Gebäude, ihre Fassaden, Tore, Balkone, Türen, Türklinken und -mechanismen, das Klacken der Schösser, die unangreifbare Funktionalität der Systeme, die glatte Leichtigkeit der U- und Straßenbahnen, die Möbel, die Wäsche und das Geschirr, die Getränke, Leckereien, die grenzenlose Amplitude der Geschmäcke und Gerüche – die ganze dingliche Welt also erfasste mich mit ihrem Überfluss.

Noch dazu gab es da, zum Beispiel, Autos, die ich nicht wirklich sah, denn bis heute verstehe ich nicht viel davon.

Der große Georgier Rezo Gabriadse, der mich in jenen Tagen mehr als einmal lehrte, genau hinzusehen, lenkte meinen Blick auf die Form irgend einer Flasche und entwickelte eine ganze Kulturerbe-Theorie. „In dieser Flasche“, sagte er, „wirken die Stillleben der alten Niederländer. Wir können solche Flaschen nicht herstellen, denn wir sind verrotzt, und das einzige Werkzeug, das uns gehorcht, ist die Kalaschnikow.“ Meine Spaziergänge auf der autofreien Kaufingerstraße, zwischen Marienplatz und Stachus, wurden zu Lehrstunden der neuen Sachlichkeit. Der Kauf eines schwarzen Seidenhemdes wurde zum Poem, oder lieferte zumindest Beobachtungen und Empfindungen für ein oberflächliches Essay.

Die größte Versuchung der Kaufingerstraße stellte für mich aber das WOM dar – World of Music, ein riesiger Souterrain voller Vinylplatten und Kassetten. Ich verbrachte Stunden dort. Die verbotene Musik, die noch vor gar nicht langer Zeit praktisch den Sinn meines Daseins ausgemacht hatte, war plötzlich, wie durch ein Wunder, erlaubt und zum Greifen nah. Auf nur mir verständlichen Brücken wandelte ich von Buchstabe zu Buchstabe: B – Beatles, D – Dire Straits, E – Emerson, Lake & Palmer, J – Jethro Tull, K – King Crimson, P – Pink Floyd, R – Rolling Stones, U – Uriah Heep, Y – Yes. Yessss!

Eigentlich war schon das zeitweilige Ende des Vinyls verkündet, es begann die Ära der CDs. Ich entschied mich für den Mittelweg. Der Walkman der Marke „Nitech“, der sogar in Perfezkis Testament erwähnt ist, wie übrigens auch das schwarze Seidenhemd „Angelo Litrico“, eröffnete mir noch eine weitere Möglichkeit des Reisens. Der Raum um mich herum füllte sich mit Musik. Die S-Bahn brauchte von Feldafing, wo ich wohnte, bis ins Zentrum 45 Minuten, also ungefähr die Dauer einer Platte. Das erste Lied schaltete ich ein, wenn ich in den Wagen stieg. Und es war einfache Klasse, zu den letzten Akkorden des letzten Stücks mit der Rolltreppe auf dem Marienplatz aufzutauchen.

Und nur, wenn ich Mozarts „Requiem“ mit auf den Weg nahm (Academy and Chorus of St Martin In The Fields / Sir Neville Marriner), musste ich eher auf Start drücken – direkt wenn ich den Hof der Villa verließ. Die Haltestelle erreichte ich irgendwo zwischen dem Introitus und dem Kyrie. Was es mir erlaubte, den zentralen Platz mit „Lux aeterna“ zu erreichen. Miloš Forman hätte das goutiert.

Einmal stieg ich am Hauptbahnhof von der S6 in die U2 um, zum Josephsplatz. Im Kopfhörer erklang gerade Andreas Vollenweider, der in diesem Buch schon erwähnte Harfenist. Seine „Trilogie“ hatte ich nur in Ausschnitten aufgenommen, ganz wollte sie nicht auf eine 90-Minuten-Kassette passen. Der dritte Teil der „Trilogie“ heißt „Weiße Winde“, und es gibt dort ein absolut indochinesisches Stück – wer es kennt, weiß, was ich meine. Genau dieses Stück klang in meinem Kopfhörer, als ich den Bahnsteig der U2 Richtung Feldmoching betrat. Und genau in dem Moment war ich von Vietnamesen umringt. Es waren einige Dutzend – Männer, Frauen, und so sehr es mich drängt, „Kinder“ zu schreiben, ich tue es nicht, denn sie alle waren nicht größer als Kinder. Sie konnten die Musik nicht hören, benahmen sich aber so, als hörten

sie sie nicht nur, sondern als stellten sie sie auch dar. Ich stand allein wie ein Fels in der Brandung, inmitten vieler, vieler Vietnamesen. Es war das Südchinesische Meer, und die Vietnamesen bildeten seine wellige Oberfläche, die auseinander trat, kaum war das Stück zuende, und in dem Moment fuhr der Zug ein.

Als ich Asa davon erzählte, sagte sie: „Videoclips der Wirklichkeit.“

Die Vietnamesen habe ich jetzt aber auch deshalb erwähnt, um einem anderen Kulturschock Tribut zu zollen – dem der Multiethnizität. München mit seiner Bayern-Konserve, seinen würdigen Gamsbart-Hut-Trägern in Lederhosen und Gilets, seinen alten, Perücke tragenden Damen, Blaskapellen, geschnitzten Heiligen und dekolletierten Madonnen, mit Fasching und Kitsch, mit seinem Reichtum und dem reichhaltigen Essen merkte gar nicht, wie es gegen seinen Willen zum hypermodernen Babylon wurde. Und dabei ging es lange nicht mehr nur um Türken und Griechen.

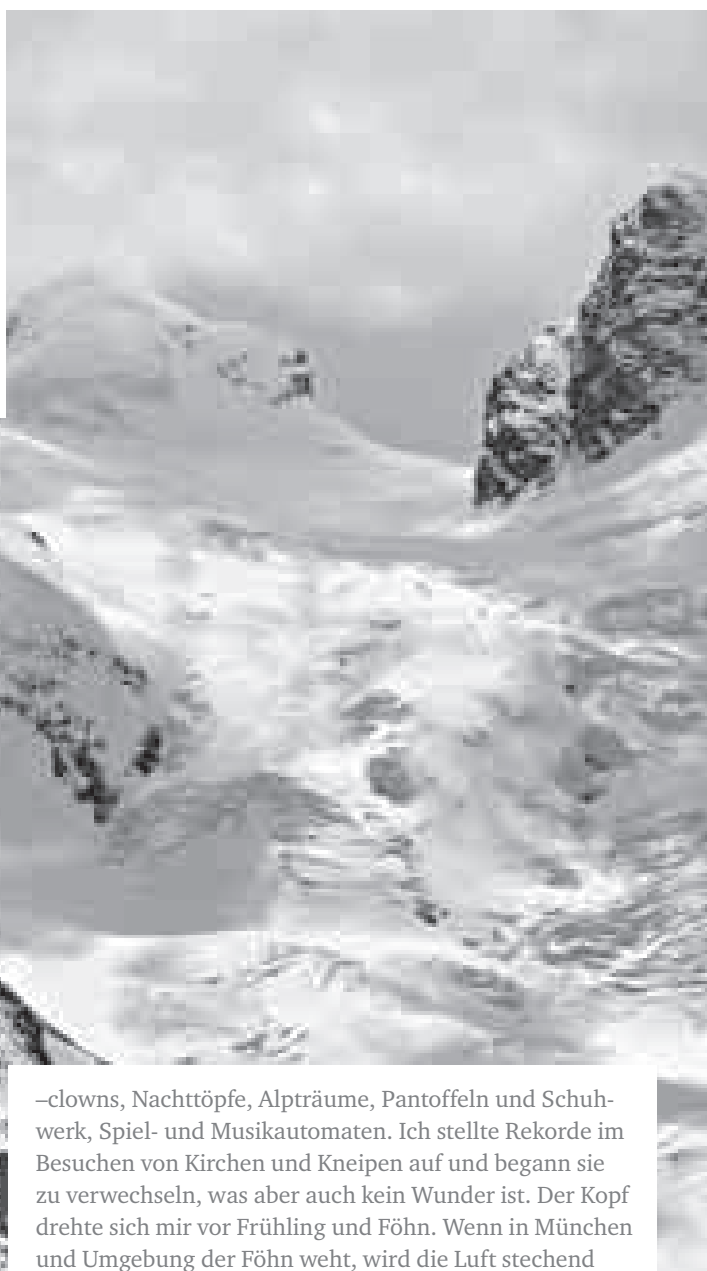
Ich lernte München in dem Moment kennen, als fast die ganze Welt hier Asyl suchte. In einer Schwabinger Wohnung, auf der Suche nach einem flüchtigen Bordellabenteurer, sah mein Freund Perfezki sie dort plötzlich alle: Kurden, Pakistaner, Palästinenser, Mauren, Khmer, Haitianer, Tahitianer, Thais, Althais, Kongolesen, Bangladeschis, Cote-d'Ivoire, Burkino-Fasanen – und weiter nach seiner, Perfezkis, Liste. Ich glaube, dass Perfezki hier kein bisschen übertrieben hat, obwohl er offensichtlich unter dem Einfluss halluzinogener Stoffe stand. Auch ich spürte in meinen Münchner Tagen diese wunderlichen Dissonanzen, diesen verzweifelten Versuch der Koexistenz zweier Münchens: des alten – wohlhabend, arrivierte, verschlossen, und des neuen – chaotisch, farbig, arm.

Die Schlafsäcke in den Unterführungen erinnerten hier und jetzt an die Balkankriege. Bosnien war das Thema, dort stand alles in Flammen. Karadžić und

Izetbegović flimmerten permanent über die Bildschirme. Auf den frisch gestrichenen sauberen Mauern der gepflegten Bürgerhäuser Münchens erschienen in noch frischerer Farbe die hingeschmierten Lösungen SLOBODNA HRVATSKA, FUCK NAZIS und AUSLÄNDER RAUS. ***

In der zweiten Märzhälfte erschien mir meine dreimonatige Ewigkeit nicht nur endlich, sondern als katastrophal bald endend. Die Drosseln ließen mich nicht schlafen. Ich wollte mich an irgend etwas festhalten, in diese illusionäre Materie greifen, die mir entglitt, ich wollte den sprichwörtlichen Strohalm packen, einen Teil dieses Raums mitnehmen. (Und wieder Rezo Gabriadse, die heisere georgische Stimme: „Nehmen Sie diesen Raum unbedingt mit. Das schaffen Sie!“).

Ich stürzte mich in die Museen. Sog mich voll mit den Pinakotheken, der Alten und der Neuen, der Villa Stuck, der Malerei der Gruppe „Der Blaue Reiter“ und dem Porzellan aus Nymphenburg. Ich bestieg den Petersturm, um München in die künftige Liste der Städte aufnehmen zu können, die ich von oben gesehen hatte. Im Stadtmuseum stieß ich endlich auf geschnitzte Moriskentänzer. Ich suchte mir die komischsten und dümmsten Ausstellungen: Marionetten, Zirkuskämpfer und



–clowns, Nachttöpfe, Alpträume, Pantoffeln und Schuhwerk, Spiel- und Musikautomaten. Ich stellte Rekorde im Besuchen von Kirchen und Kneipen auf und begann sie zu verwechseln, was aber auch kein Wunder ist. Der Kopf drehte sich mir vor Frühling und Föhn. Wenn in München und Umgebung der Föhn weht, wird die Luft stechend klar, und oft beginnt die Nase zu bluten. Ich nutzte jede Erhöhung, um noch einmal die Alpen zu sehen. Nein,

nicht der Schnee auf den Gipfeln war der Grund dafür, obwohl der auch. Vor allem aber faszinierte mich das, was dort hinter ihnen lag. Sie werden lachen – es ist nichts Neues, dort liegt Italien.

München - das ist der Beginn Italiens, Monaco di Baviera. Nun verstand ich, was mir dieser verfuckte Albanoide am ersten Abend hatte sagen wollen.

Frühmorgens am 23. April, im Moment des höchstens Blühens aller Bäume und Sträucher, stieg ich in den ICE zurück nach Frankfurt. Das Tor zum Westen schloss sich wieder. Und zwar, dessen war ich sicher,



W tej książce Monachium zaczyna się zaraz za Moskwą, i jest to ten przypadek, gdzie alfabet idealnie współbrzmi z biegiem czasu. Jeśli oczywiście pozwoili mu się biec liniowo. Bo tak to właśnie było – Moskwa, Monachium. Jak dziś pamiętam tamten wieczór 23 stycznia, gdy z moim opiekunem, Głównodowodzącym Fiszem wysiedliśmy z pociągu na peronie monachijskiego dworca. Jeśli chodzi o pociąg, to był to pierwszy w moim życiu ekspres intercity, swego rodzaju futurystyczną przyszłość, ale i sama ja uosabia. W cztery godziny przemknęliśmy z Frankfurtu do Monachium; za oknem najpierw była niemal złota jesień ze słonecznie-sennymi lasami. Ale za Stuttgartem, gdy zaczęło zmierzchać, wjechaliśmy do tunelu, a na jego drugim końcu czekały już na nas zima i śnieg.

W Monachium wysiedliśmy nie na Dworcu Głównym (Hauptbahnhof), tylko na Wschodnim (Ostbahnhof). Głównodowodzący Fisz mieszkał w tej okolicy. Tak to właśnie było: 23 stycznia, czwartek, około siódmej wieczór, Monachium, Ostbahnhof, zima, jakiś nieogolony albanoidalny typ rzuca mi się na szyję z okrzykiem „Italianno!”, ale Głównodowodzący Fisz zmiata go z drogi – i energicznym marszem opuszczamy fantastyczny (według mnie) budynek dworca. Brama Zachodu otwiera się! Oto ono, Pierwsze Zachodnie Miasto mojego życia!

W tej sekundzie wlatuje w górę batuta Dyrygenta i połączone siły orkiestry Filharmonii Monachijskiej, bawarskiej orkiestry państwowej i orkiestry symfonicznej bawarskiego radia, wspierane przez trzy chóry chłopięce i cztery strażacko-myśliwskie kwartety dęte witają moje przybycie odświętną uwerturą. Miękkie płaty śniegu, bajkowe oświetlenie ulic, przede mną trzy miesiące, czyli wieczność.

* * *

Od razu nastąpiło kilka sytuacji, w których coś, choć miałem już lat trzydzieści jeden, zdarzało się po raz pierwszy w życiu. Na przykład: po raz pierwszy mówiłem po niemiecku nie do nauczycielki, tylko do prawdziwej Niemki – pani o nazwisku Junghans. Po raz pierwszy miałem w rękę przyjemne w dotyku niemieckie marki, wydane mi w kopercie przez wyżej wymienioną panią, której nazwisko powinno w rzeczywistości brzmieć Stypendium. Po raz pierwszy jechałem S-Bahnem, zaledwie trzy przystanki, od Ostbahnhof do Marienplatz, ale i tak w towarzystwie Głównodowodzącego Fisz. Opiekował

für immer. Die vier Stunden im Zug wollte ich zu einer weiteren Ewigkeit dehnen. Durchs Fenster ins Blühen des Grüns blicken und rauchen. Denn hier konnte man im Zug rauchen, ohne aufzustehen. Ohne meinen Walkman wäre ich wohl gestorben.

Und wisst ihr, was ich gehört habe? Natürlich The Cure. Und wie hieß das Album? „Disintegration“.

Erst später erfuhr ich, dass „Fasching“ und „Faschismus“ nicht ganz dasselbe bedeuten.

[Übersetzung: Sabine Stöhr]

się mną jak inwalidą, podtrzymując za łokieć, i jestem pewien, że z boku mogliśmy wyglądać jak para zakochanych po uszy gejów.

W S-Bahnii po raz pierwszy zobaczyłem zupełnie przyzwyczajonych ludzi z tu i ówdzie pofarbowanymi na zielono, czerwono i granatowo włosami, i wymalowanymi bielidłem i różem twarzami. Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem słowo „Fasching” i nie zdziwiłem się: było nie było, Hauptstadt der Bewegung.

Potem po raz pierwszy znalazłem się na Marienplatz z jego wędrownymi mimami i po raz pierwszy zapatrzyłem się na tańce figur z zegara nowego ratusza, który z kolei po raz pierwszy wydał mi się nie nowy, tylko raczej średniowieczny.

Potem Głównodowodzący Fisz po raz pierwszy zaprosił mnie do burdelu (na swój koszt), ale podziękowałem, tłumacząc, że mój niemiecki jest jeszcze nie dość płynny. Wreszcie po raz pierwszy zostałem przez Głównodowodzącego Fisz zaprowadzony, niczym Dante przez Wergiliusza do piekieł, do Hofbräuhaus – tej głównej megastajni, tej metastajni, tej złotej świątyni światowej Stolicy Piwa, o której będę później opowiadać w Iwano-Frankiwsku, że może się tam zmieścić nawet trzy i pół tysiąca żłopaczy piwa równocześnie, że jej wielkość i rozmiary pozwalają rozpędzić konie do galopu, że tak właśnie zrobił Hitler w 1923 roku, gdy nago przejechał przez wszystkie sale wierzchem i z szablą w dłoni. Oprócz tego opowiadałem, że przez stulecia warzono tutaj piwo dla bawarskich królów-idiotów, i że niektóre kelnerki w Hofbräuhaus noszą przed sobą piersi takiego rozmiaru, że dałoby się na nich wygodnie ustawiać litrowe kufle. Po dwa kufle na piersiach i po cztery w rękach – razem dwanaście.

Opowiadałem tak, bo wszystko to wtedy zobaczyłem. A widziałem wtedy w zachwyceniu, powierzchownie i z przesadą. W moje oczy wstawione zostały specjalne soczewki powiększające. Zamiast trzech setek dusz widziałem trzy tysiące, zamiast rozmiaru cztery – rozmiar osiem. A kiedy w tej świątyni, w głównej sali, w dodatku zagrzmiała miedzią orkiestra (kapelusze, skórzane spodnie, włochate kolana, wypięte jaja, getry, kamizelki, trąby, walce, salsy i marsze), to zdało mi się, że osób na scenie jest nie osiem, ale osiem i osiemdziesiąt, aachtundachtzig.

* * *

Głównodowodzący Fisz (już niebawem zniknie) szkolił mnie mądrze, twardo i uparcie. „Znam ten naród –

powtarzał – żyję z nimi nie pierwszy rok. Do dziś pozostali faszystami. Czasem, kiedy doprowadzają mnie do szału, krzyczę im w te zarozumiałe mordy: Stalingrad! Tylko jedno słowo – i wycofują się”.

Ale skoro władzę między wrony, musisz krakać jak i one, pouczał mnie Głównodowodzący Fisz. Żeby zrobić ze mnie człowieka, gotów był choćby i czterdzieści lat prowadzić mnie po Monachium. W niezliczonych kieszeniach jego ciepłej zimowej kurtki zawsze spoczywały piersiówki Chantré. Od czasu do czasu robił z nich użytek w bezładnych, jak mu się wydawało, miejscach. Dobrze wychowani Bawarczyści udawali, że niczego nie widzą i odwracali nosy. Za każdym razem, wrzucając im do kosza niezgaszony niedopałek, Głównodowodzący Fisz deklamował: „Za nasze miasta i wioski!”. Ale nigdy nie słyszałem, żeby powiedział „Za Rodinu, za Stalina!”.

Tak więc, Głównodowodzący Fisz żądał, abym:

a) codziennie zakładał świeżą koszulę („kiedy widzą pana po raz drugi w tej samej koszuli, to zaczynają z niepokojem wypyttywać: a co to tak śmierdzi?”);

b) w żadnym razie nie rozdawał swoich książek, tylko je sprzedawał („ta swołocz jest wściekle bogata, niech potrząsną sakiewkami!”);

c) żądał honorarium za każdy wywiad („powinni płacić za taki zaszczyt!”);

d) żywił się wyłącznie kanapkami, żeby zaoszczędzić coś z każdego stypendium i zbierać na kupno mieszkania na Ukrainie („kupi pan sobie trzy pokoje za tysiąc marek!”).

Nie do wszystkich jego pouczeń się stosowałem.

Oprócz tego żądał, żebym zakreślił się wokół wiz – austriackiej, francuskiej, szwajcarskiej i włoskiej. Głównodowodzący Fisz chciał, żebyśmy trochę pojeździli. To ostatnie dobitnie uświadomiło mi, gdzie jestem i jak stąd wszędzie blisko. Środek Europy! Gdzieś tuż obok jest Salzburg i Innsbruck, Strasburg i Cherbourg, Paryż i Lyon, Genewa, Brno, Lucerna, Werona, Rawenna i Wenecja...

Oszałamiające wrażenie. Zapach przygody wprawiał mnie całego w drżenie.

Poza tym wiecznie zapominałem o drzwiach. Wchodząc do kawiarni czy sklepu odruchowo pociągałem drzwi za sobą, zawsze zapominając o automatycznym samozamykaczu. Patrzone na mnie z lekkim potępieniem: po co psuć. Głównodowodzący Fisz czerwił się ze wstydu. Dobrze, że nie byłem szpiegiem – z mety bym się wsypał.

* * *

Po raz ostatni Głównodowodzący Fisz pojawił się jednego z ostatnich wieczorów zimy. Nie przypomnę sobie, co nas obu zatrzymało do tak późna w jakiejś kafejce na Ostbahnhof. Czy był z nami ktoś jeszcze? Jacyś jego rosyjskojęzyczni znajomi? Zero pojęcia. Pamiętam natomiast, że sznaps szedł za sznapsiem, przy czym podwójny za podwójnym. Zresztą, nic w tym nadzwyczajnego: jeden podwójny sznaps to raptem czterdzieści gramów. O północy stara barmanka wyprosiła nas za drzwi, chrypiąc nam w plecy przepalonym głosem, że „tu jest Bawaria, tu jest porządek!”.

Kiedy znaleźliśmy się we dwóch pośród nocy, mrozu i nieba gwiazdzistego nad nami, Głównodowodzący Fisz oznajmił, że teraz pokaże mi Coś. Następnego S-Bahn do mojego Feldafing był za prawie półtorej godziny i musiałem się podporządkować.

Małeńka dygresja. Znaczący typowej topografii twierdzą, że w zasadzie w każdym dużym mieście (niem. Großstadt) istnieje historyczny podział na miasto Wschodnie i Zachodnie. I dlatego taki na przykład Berlin był podzielony na dwa Berliny już na długo przed Murem – po prostu Mur pozostawał niewidzialny. Wschodni Paryż różni się od Zachodniego. Wschodnie Monachium też różni się od Zachodniego. Na wschodzie jakoby tradycyjnie gnieździ się proletariaty, na zachodzie burżuazja. Przynajmniej takiej reguły ma być fakt, że wiatry w Europie Zachodniej zazwyczaj wieją z zachodu na wschód – a wraz z wiatrami przesuwają się wszystkie dymy fabryczne. Nie wiem, czy u nas istnieje, dajmy na to, Wschodnie i Zachodnie Zaporozie. U nas chyba wszystko układa się jakoś inaczej. Koniec dygresji.

Dalej było tak. Głównodowodzący Fisz zaprowadził mnie w jakieś bardzo wschodnie rejony (Orleanstrasse? Spoglądam na mapę – być może). „Czegoś takiego jeszcze pan nie widział” – zapewnił. Zgadzałem się na wszystko, nawet na to, czego jeszcze nie widziałem. To, co niebawem zobaczyliśmy, było sznurem oświetlonych od środka samochodów, które stały jeden za drugim jak taksówki. „Proszę, niech pan wybiera wedle gustu” – powiedział Głównodowodzący Fisz. „Samochód?” – spytałem. „Nie – pokręcił głową Głównodowodzący Fisz. - Kurwę”.

W każdym aucie za kierownicą siedziała prostytutka. To była nieznaną mi dotychczas usługą: nie ty podwozisz, tylko ciebie podwożą. Siedziały jak taksówkarze, czy raczej taksówkarki, czekając na pasażerów, szczelnie zawinięte w futra z podniesionymi kołnierzami, niektóre paliły papierosy. Prawie wszystkie coś czytały – przeważnie książki, nie gazety. Babskie powieści? Co najgorsze, żadnej z nich nie mogłem się przyjrzeć – tak szczelnie były opatulone. I tak głęboko zatoneły w lekturze, że żadna nawet nie spojrzała w naszą stronę. Nie mogłem nawet w przybliżeniu określić ich wieku, nie mówiąc już o jakichś szczegółach i detalach. Przypominały manekiny na wystawie. Trudno tylko powiedzieć, jakiej: samochodów, futer, książek?

„No, jak? – spytał Głównodowodzący Fisz, zadowolony z efektu. – Jedziemy?”

Nabrałem pełne płuca mrozu.

Tej nocy Głównodowodzący Fisz zniknął zagadkowo i na długo. Ale nigdy nie zapomnę tych kieszeni pełnych Chantré i banknotów, którymi zawsze znaczył swoją drogę.

* * *

Moje ówczesne Monachium to szok zamożności. Słowo „szok” jest tu z pewnością zbyt mocne, nie chwytalem z wysiłkiem powietrza i nie mdlałem w supermarketach – przeciwnie, od pierwszego dnia starałem się udawać otrząskanego i obytego w świecie wędrowcę-włóczęgę. Ale gdzieś tam w środku – no nie znajduję lepszego słowa – dostawałem zajoba.

Wyrastaliśmy („my” – bo pokolenie mam na myśli) w permanentnym niedoborze, i nasza młodość – książki, filmy, obrazy, a przede wszystkim muzyka – którą sobie wybraliśmy, zaszczerpiła nam nawyk dobrowolnej rezygnacji z tego, co materialne. Za komuny szczytem moich materialnych pragnień była przyzwyczajona wieża, dzięki której można by było zanurzyć się w lepszej rzeczywistości i pokazać wała tej gorszej. Gdzieś w połowie lat

osiemdziesiątych napisałem strofkę, która dostatecznie jasno przedstawia cały ten wybór:

...ominiemy pokusy niczym zawody
gdzie równe medalom są ciała mosiężne
tam wszelkie rozkosze kupiec długobrody
jak grube płótno rozmierza na sążnie...

I oto w Monachium po raz pierwszy opadły mnie „pokusy” i „kupieckie rozkosze”. Świat przedmiotów – obfitość albo przynajmniej powabna elegancja wystaw sklepowych, ubrania, ich kolory i faktury, ubrania na wystawach, na manekinach, ubrania na ludziach, sami ludzie z ich wyrafinowanie rasowymi genami, zawsze czystymi włosami i prawdziwymi zdrowymi zębami, jarzeniówki, lampy i latarnie, domy, fasady, bramy, balkony, drzwi, klamki i zamki, szcęk zasuwek, idealna funkcjonalność wszystkich systemów, lekki ślizg metra i tramwajów, meble, bielizna i naczynia, napoje, przyprawy, nieskończona amplituda smaków i zapachów – naprawdę zachwylił mnie przesadą i nadmiarem. A były przecież jeszcze na przykład samochody, które po prostu niespecjalnie zauważałem, bo do dziś kiepsko się w nich orientuję. Wielki Gruzin Rezo Gabriadze, od którego w tamtych dniach nie raz uczyłem się uważnej obserwacji, zwracał mi uwagę na kształt dowolnej butelki i rozwijał całą teorię o dziedzictwie kulturowym. „W tej butelce – powiadał – są całe martwe natury starych Holendrów. My nie zdołamy zrobić takiej butelki, bo zdziczeliśmy, a jedynym instrumentem, który poddaje się naszej woli, to kałasznikow”. Moje spacerowanie wzdłuż przeznaczonej dla ruchu pieszego Kaufingerstrasse, między Marienplatz a Stachus, stawały się lekcjami nowej przedmiotowości. Kupowanie takiej na przykład czarnej jedwabnej koszuli przeistaczało się w poemat albo przynajmniej dostarczało obserwacji i odczuć dla zuchwałego eseju.

Ale największą kupiecką pokusą Kaufingerstrasse był dla mnie WOM – World Of Music, ogromna, po brzegi wypełniona winylami i kasetami suterena. Przesiadywałem tam godzinami. Zakazana muzyka, która jeszcze tak niedawno stanowiła faktyczny sens mojego istnienia, nagle, w jednej magicznej chwili, okazała się dozwolona i osiągalna. Przechodziłem od litery do litery według tylko dla mnie zrozumiałego klucza: B – Beatles, D – Dire Straits, E – Emerson, Lake & Palmer, J – Jethro Tull, K – King Crimson, P – Pink Floyd, R – Rolling Stones, U – Uriah Heep, Y – Yes. Yessss!

W rzeczywistości to był chwilowy koniec winylu, początek ery kompaktów. Wybrałem coś pomiędzy. Odtwarzacz kasetowy „Nitech”, wspomniany nawet w testamentie Perfeckiego, zresztą razem z czarną jedwabną koszulą Angelo Litrico, otworzył przede mną jeszcze jedną możliwość przemieszczania się. Przestrzeń wokół mnie wypełniała się muzyką. Droga S-bahnem od stacji w Feldafing, gdzie mieszkalem, do centrum, trwała 45 minut, czyli mniej więcej tyle, ile jedna płyta. Pierwszy utwór włączałem wchodząc do wagonu. Mistrzostwem świata było wyjechanie na powierzchnię Marienplatz wraz z ostatnimi akordami ostatniego.

I tylko jeśli wybierałem na drogę Requiem Mozarta (Academy and Chorus of St Martin In The Fields / Sir Neville Marriner), musiałem nacisnąć „start” wcześniej – wychodząc z podwórza willi. Na stację wbiegałem gdzieś między Introitus a Kyrie. Co pozwalało mi wjeżdżać

na główny plac przy wtórce Lux aeterna. Miłoś Forman by to docenił.

* * *

Pewnego razu przesiadałem się na Hauptbahnhof z S6 na U2, żeby jechać dalej do Josefsplatz. W słuchawkach rozbrzmiewał akurat Andreas Vollenweider, już wspomniany w tej książce harfista. Nagrałem sobie wybrane części jego Trylogii, całość nijak nie mieściła się na kasiecie-dziewięćdziesiątce. Trzecia część Trylogii nosi tytuł *Białe wiatry* i jest tam taki stuprocentowo indochiński kawałek – kto pamięta, wie, o co mi chodzi. Ten właśnie kawałek rozległ się w moich słuchawkach, gdy doszedłem do peronu U2 w kierunku Feldmoching. I w tej samej chwili ze wszystkich stron zaczęli mnie otaczać Wietnamczycy. Było ich kilka dziesiątków – mężczyźni, kobiety, i nieważne, jak mocno świerzbi mnie język, żeby powiedzieć „dzieci”, nie zrobię tego, bo wszyscy oni byli dziecięcego wzrostu. Nie mogli słyszeć muzyki z moich słuchawek, ale zachowywali się tak, jakby nie tylko ją słyszeli, ale też w dodatku realizowali. Stałem sam jeden, niczym ostatnie w morzu, wśród mnogości Wietnamczyków. Morze było Południowochińskie, a Wietnamczycy stanowili jego pofalowaną powierzchnię, która rozstąpiła się, gdy tylko skończył się ten kawałek, a na peron wjechał pociąg. Kiedy opowiedziałem o tym Azie, podsumowała: „Wideozłoty rzeczywistości”.

Ale Wietnamczycy pojawili się tu przed chwilą również po to, bym mógł oddać należne innemu szokowi kulturowemu – wieloetnicznemu. Monachium z jego Bawarską Konserwą, z jego dostojnymi wąsaczami-kapelusznikami w getrach i skórzanych portkach, z jego starymi damami w perukach, kapelami dętymi, rzeźbami świętych i wydekoltowanymi Madonnami, jego fashingiem i kiczem, jego bogactwem i obfitością jada, nie zdążył się chyba obejrzeć, a już było jednym z najbardziej współczesnych Babilonów. I rzecz nawet nie w Turkach czy Grekach. Zdążyłem zobaczyć Monachium w chwili przybywania doń uciekinierów z całego niemal świata. Mój przyjaciel Perfecki, gdy trafił do jakiegos mieszkania na Schwabingu, z nadzieją na przelotną burdelową przygodę, niespodziewanie zobaczył tam ich wszystkich: Kurdów, Maurów, Khmerów, Pakistańczyków, Palestyńczyków, Haitańczyków, Tajów, Ałtajów, Tahitańczyków, Kongijczyków, Banglijczyków, Ivoirczyków – i tak dalej, zgodnie z jego, Perfeckiego, listą. Sądzę, że nawet pozostający pod całkowicie oczywistym wpływem halucynogenów Perfecki wcale nie przesadził. Ja także w tych monachijskich dniach wyczułem te dziwne dysonansy, tę rozpaczliwą próbę współzycia dwóch Monachiiów: starego – porządnego, sytego, zamkniętego i nowego – chaotycznego, kolorowego, biednego.

Śpiwory w przejściach podziemnych przypominały o wojnie na Bałkanach tu i teraz. Bośnia była tematem, tam wszystko właśnie płonęło. Karadzić i Izetbegović nie znikali z ekranów telewizorów. Na świeżo odmalowanych, czystoiteńkich ścianach zadbanych mieszczańskich kamienic pojawiały się nabazgrane, jeszcze świeższe hasła SLOBODNA HRVATSKA, FUCK NAZIS i AUSLÄNDER RAUS.

* * *

W drugiej połowie marca moja wieczność z trzymiesięcznej skurczyła się do czegoś, co wydawało mi się nie tylko podwładne przemijaniu, ale wręcz katastrofalnie przemijające. Drozdy nie dawały spać. Chciało się złowić choćby cokolwiek, powbijać w wyobrażoną materię, która ześlizgiwała się w dal, jakieś umowne haczyki trwałości, zabrać w sobie jakąś cząstkę tej przestrzeni (to znowu Rezo Gabriadze, ochryply gruziński głos: „Niech pan koniecznie weźmie ze sobą tę przestrzeń. Panu się uda”). Rzuciłem się w bieg po muzeach. Napychałem się Pinakotekami, Starą i Nową, Villą Stuck, malarstwem grupy „Błękitny jeździec” i porcelaną z Nymphenburga. Wszedłem na wieżę św. Piotra, by dodać Monachium do przyszłej listy miast, które widziałem z góry. W Muzeum Miejskim spotkałem wreszcie rzeźbionych Morysków. Wybierałem najdziwniejsze i najgłupsze ekspozycje: marionetek, cyrkowych atletów i klaunów, nocników, koszmarów nocnych, kapci i butów, automatów do gry i szaf grających. Biłem rekordy w odwiedzaniu kościołów i knajp, zacząłem mylić je ze sobą, co w sumie nie jest niczym dziwnym. W głowie wirowało od wiosny i fenu. Gdy w Monachium i okolicach wieje fen, powietrze zyskuje przezroczystość kryształu, a z nosa często cieknie krew. Wykorzystywałem każde wzniesienie, żeby znów i znów spojrzeć na Alpy. Nie, nie śnieg na szczytach był tu najważniejszą przyczyną, chociaż i o niego chodziło.

ЮРІЙ АНДРУХОВИЧ (1960, Україна) – поет, прозаїк, есеїст, перекладач. Учасник поетичної групи «Бу-Ба-Бу», редактор літературного часопису «Потяг 76», співзасновник Асоціації українських письменників. Автор п’яти поетичних збірок, серед яких – *Середмістя* (1989), *Екзотичні птахи і рослини* (1991), *Пісні для мертвого півня* (2004), п’яти романів – *Рекреації* (1992), *Московіада* (1993), *Перверсія* (1996), *Дванадцять обручів* (2003), *Таємниця. Замість роману* (2007), збірок есе *Дезорієнтація на місцевості* (1999), *Моя Європа* (спільно з А. Стасюком, 2000), *Диявол ховається в сирі* (2006). Перекладає з німецької, англійської, польської. Учасник літературно-музичних проектів з польським саксофоністом Міколаєм Тшаскою (з яким видав диск *Andruchoïd*) та гуртом Карбідо (альбоми *Цинамон* і *Самогон*). Лауреат численних міжнародних нагород, серед яких – премія ім. Гердера (2001), Е.-М. Ремарка міста Оснабрюк (2005), премія «За європейське порозуміння» (2006). Живе в Івано-Франківську.

JURI ANDRUCHOWYTSCH (1960, Ukraine) – Dichter, Prosaiker, Essayist, Übersetzer. Mitglied der literarischen Performance-Gruppe „Bu-Ba-Bu”, Redakteur des literarischen Magazins „Zug 76“, Mitbegründer des Ukrainischen Schriftstellerverbands. Autor von fünf Gedichtbänden, u.a. – *Downtown* (1989), *Exotische Pflanzen und Vögel* (1991), *Lied für den toten Hahn* (2004), von fünf Erzählungen – *Seitensprünge* (1992), *Moscoviada* (1993, deutsche Fassung 2006), *Perversion* (1996, deutsche Fassung 2011), *Zwölf Ringe* (2003, deutsche Fassung 2005), *Geheimnis* (2007), mehreren Essaysammlungen, darunter *Desorientierung vor Ort* (1999), *Mein Europa* (gemeinsam mit Andrzej Stasiuk, 2000; deutsche Fassung 2004),

Przede wszystkim wabiło mnie to, co było tam, z tyłu, za nimi. Będziecie się śmiać – tam nie ma nic nowego, tam są Włochy. Monachium to początek Włoch, Monaco di Baviera. Zrozumiałem, z jaką wieścią czekał na mnie pierwszego wieczoru tamten popaprany albanoid.

* * *

23 kwietnia wcześniej rano, w szczycie kwitnienia wszystkich drzew i krzewów, wsiadłem do powrotnego ekspresu-intercity do Frankfurtu. Brama Zachodu znów się zamykała. Nie wiedzieć czemu byłem pewien, że już na zawsze. Postanowiłem rozciągnąć na kolejną wieczność te cztery godziny w pociągu. Patrząc w okno na rozkwitającą zieleni i palić. Póki jeszcze jestem tam, gdzie można palić w pociągu bez wstawania z miejsca. Chyba bym umarł, gdyby nie odtwarzacz.

Wiecie, czego słuchałem? No jasne, The Cure. I którego albumu? Disintegration.

O tym, że „fasching” i „faszyzm” to pojęcia nie mające ze sobą wiele wspólnego, dowiedziałem się później.

[Tłumaczenie: Katarzyna Kotyńska]

Der Teufel steckt im Herzen (2006). Er übersetzt aus der englischen, deutschen und polnischen Sprache. Mitbegründer musikalisch-literarischer Projekte zusammen mit dem polnischen Saxofonisten Mikołaj Trzaska), mit welchem er die Platte *Andruchoïd* aufnahm) und der Musikgruppe Karbido (es entstanden die Alben *Cynamon* und *Samogon*). Er wurde mit vielen internationalen Preisen ausgezeichnet u.a. mit dem Herder-Preis (2001), dem Erich-Maria-Remarque-Friedenspreis der Stadt Osnabrück (2005) und dem Leipziger Buchpreis zur Europäischen Verständigung (2006). Er lebt in Iwano-Frankiwsk.

JURIJ ANDRUCHOWYCZ (1960, Ukraina) – poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Członek grupy poetyckiej „Bu-Ba-Bu”, redaktor magazynu literackiego „Pociąg 76”, współzałożyciel Stowarzyszenia Pisarzy Ukraińskich. Autor pięciu tomów poetyckich, m. in. – *Śródmiście* (1989), *Egzotyczne ptaki i rośliny* (1991), *Pieśni dla martwego koguta* (2004), pięciu powieści – *Rekreacje* (1992, 1994), *Moscoviada* (1993, 2000), *Perwersja* (1996, 2004), *Dwanaście kręgów* (2003), *Tajemnica. Zamiast powieści* (2007), zbiorów esejów *Dezorientacja w miejscowości* (1999), *Moja Europa* (wspólnie z Andrzejem Stasiukiem, 2000), *Diabeł tkwi w serze* (2006, 2007). Tłumaczy z języka angielskiego, niemieckiego i polskiego. Członek muzyczno-literackich projektów z polskim saksoponistą Mikołajem Trzaską (z którym wydał płytę *Andruchoïd*) oraz grupą Karbido (albumy *Cynamon* i *Samogon*). Laureat wielu międzynarodowych nagród, m. in. nagrody im. Herdera (2001), nagrody im. Ericha Marii Remarque’a miasta Osnabrück (2005), nagrody „Na rzecz europejskiego porozumienia” (2006). Mieszka w Iwano-Frankowsku.

Arno Camenisch Arno Camenisch Арно Каменіш

Sez Ner Sez Ner 3ac Hep

aus dem Roman *Sez Ner*. Urs Engeler Editor, 2009
z powieści *Sez Ner*. Urs Engeler Editor, 2009
з романы *Sez Ner*. Urs Engeler Editor, 2009

Aus den Kuhschwänzen könnte man Perücken machen. Aus den Kuhzähnen Knöpfe und aus der Kuhhaut Lederjacken. Aus den Eutern Salben gegen das Altern und aus den Hörnern Flaschenöffner. Aus den Eutern zudem Edelhandschuhe und aus den Zungen Handtaschen. Aus den Klauen Schuhlöffel und aus dem Rest Futtermehl für die Schweine.

Ord las cuas dallas vaccas savess ins far peruccas. Ord ils dentsvacca nuvs ed ord la pial giaccas da curom. Ord ils ivers etgs e truschas encunter la vegliadetgna ed ord ils corns arvabutteglias. Ord ils ivers savess'ins vinavon far vons nobels ed ord las lieungas tastgas da maun. Ord las greflas tschaduns da calzers ed ord il rest puorla pils pors.

Der Senn sitzt am Steuer seines grauen Justys am späten Abend neben der Hütte mit dem Zwetschgenwasser in der Hand, neben ihm auf dem Beifahrersitz der Zusenn und auf dem Rücksitz der Kuhhirte und der Schweinehirte und die zwei Hunde. Der Senn sagt, im Auto ist es am sichersten, er zuckt jeweils zusammen, wenn der Blitz niedergeht, dem Kuhhirten die Zäune frisst, am Waldrand die Rottannen in Brand setzt. Der Regen putzt die Alp durch und den dreckigen Justy ab.

Il signun sesa la sera tard davos la roda da menar da siu Justy sper la hetta culla butteglia vinars enta maun. Sper el sesa il zezen e sil sez davos il paster ed il purtger ed ils dus tgauns. Il signun di, egl auto eisi il pli segir, el sezaccuda, cu il cametg scadeina giuaden, maglia naven las seivs al paster, dat fiug als pégn agl ur digl uaul. Il stemprau lava tras l’alp e lava giu il Justy tschuf.

Während der Schweinehirt den Platz mit dem Stallbesen wischt, zählt er die Platten des Platzes. Hat er den ganzen Platz gewischt, weiss er gleich viel wie am Vortag: Der Platz hat 711 Platten. Davon sind 51 gespalten, 12 geviertelt und 22 haben einen Ecken ab.

Duront ch’il purtger scua il plaz culla scua da stalla, dumbra il purtger las plattas dil plaz. Ha el scuau a fin il plaz, sa el tuttina bia sco gia il di avon: Il plaz

ha 711 plattas. Da quellas ein 51 plattas fessas, 12 ein partidas en quater tocs e 22 han giu in cantun.

Die Nacht ist sternenklar. Der Senn liegt vor dem Schweinegehege im Gras. Neben dem Senn liegt die Flasche. Der Fazandin gräbt mit seiner Schaufel einen Graben um den Senn. Er steckt seine Schaufel in die Erde, drückt mit dem Bergschuh nach, hebt die Erde aus, steckt die Schaufel wieder in die Erde, hebt aus, bis er rundherum um den Senn gegraben hat. Grab weiter, Fazandin, grab weiter, tiefer und tiefer um den schnarchenden Senn herum.

La notg ei clara clara. Las steilas glischan git. Il signun schai davon il claus dils pors el pastg e dierma. Spel signun schai la butteglia. Il Fazandin cava cun sia pala in foss entuorn il signun. El fetga la pala ella tiara, smacca cul calzer da cuolm silla pala, aulza ora la tiara, fetga la pala giuaden ella tiara, aulza ora, tochen ch’el ha cavau entuorn entuorn il signun. El cava vinavon, cava vinavon, cava vinavon Fazandin, pli e pli profund entuorn il signun.

Der Seitenspiegel des Justys ist abgebrochen. Er hängt an zwei Drähten herunter. Ein Bauer der Alp Prada hat mit seinem roten Aebi den Seitenspiegel abgerissen. Der Zusenn hat es gesehen. Der Senn weiss nicht, wer ihm den Seitenspiegel abgerissen hat. Der Giachen sagt, Seitenspiegel braucht man nicht und Rückspiegel sowieso nicht. Er fahre nie rückwärts. Immer nur vorwärts. Verfahre er sich, was einmal in drei Schaltjahren vorkomme, fahre er weiter, es führe immer ein Weg zurück, auch wenn man vorwärts fahre.

Il sitaspieghel dil Justy ei ruts giu. El penda aunc vid dus fildiroms dalla vart giu. In pur dall’Alp Prada ha scarpau giu il spieghel cun siu Aebi tgietschen. Il zezen ha viu ei. Il signun sa buca tgi che ha scarpau giu il spieghel a siu Justy. Il Giachen di, sitaspieghel drov’ins buca e rücspieghel soviso buca. El mondi mai anavos. Adina mo anavon. Sch’el mondi inaga falliu, quei che schabegi inaga en treis onns basiasts, mondi el vinavon, ei meini adina ina via anavos, era sch’ins mondi mo anavon.

Der Käsekeller ist die Seele einer Kuhalp, sagt der Senn. Die Käselaiibe lagern im Käsekeller wie Goldbarren. Der Käsekeller ist die Potenz eines Sennes, sagt der Zusenn. Ein Senn ohne Käsekeller ist wie ein Hirt ohne Hund. Der Kuhhirt weiss, wie lieb dem Senn sein Käsekeller ist. Der Senn schläft mit einem offenen Auge.

Il tschaler da caschiel ei l'olma dad in'alp, di il signun. Las magnuccas fan pluna en tschaler da caschiel sco barras d'aur. Il tschaler da caschiel ei la potenza d'in signun, di il zezen. In signun senza tschaler da caschiel ei sco in paster senza tgaun. Il paster sa, con bugen ch'il signun ha siu tschaler da caschiel. Il signun dierma cun in egl aviert.

Der Georg hat sich in den Fuss geschossen, sagt der Giachen mit dem Schnupftabak auf dem Handrücken. Der Georg hat ein Kaninchen erledigen wollen, mit dem Niederjagdgewehr, anstatt dem Drecksvieh, cracs, einfach das Genick zu brechen. Er zieht den Schnupftabak hoch, buah, streicht sich mit dem Ärmel über die Nase. Der hat das Kaninchen an den Ohren gepackt, es zwischen die Knie geklemmt, das Gewehr hinter den Ohren angesetzt und pamf. Er holt seinen Rotzlumpen aus der Hosentasche. Da hat das Kaninchen auch noch gestaunt.

Il Georg ha sittau a sesez viaden el pei, di il Giachen cul schnupftubac sil dies dil maun. Il Georg ha vului far star in cunegl, culla buis da catscha bassa, enstagl da, cracs, semplamein sfraccar il cnic al hutsch. El tila si il tubac, buah, streha culla mongia sul nas vi. Quel ha tschappau il cunegl per las ureglias, ha serrau el denter la schanuglia, teniu il lauf dalla buis davos las ureglias e pamf. El tila il fazalet da nas ord sac dallas caultschas. Cheu ha il cunegl era aunc smarvegliau.

Zwischen den Hügeln am Grenzzaun unterhalb des Sez Ner in den Alpenrosen liegt das geworfene Kalb. Der Lappi reisst mit den Zähnen am Ohr des Kalbes. Er stützt sich mit den Tatzen auf dem Kopf des Kalbes ab und drückt die Krallen in die Kopfhaut des nackten Viehs. Er reisst am Ohr, lässt los. Er läuft um das leblose Ding herum, packt das Ohr mit den Spitzen, beisst sich fest, knurrt, setzt mit den Hinterzähnen nach. Er knurrt und reisst das Stück nach hinten, reisst es endlich ab und frisst das Ohr des Kalbes.

Denter ils crests si sut il Sez Ner sper la seiv ellas crestas tgiet schai il vadi fiers. Il clepper scarpa culs dents vid l'ureglia dil vadi. El pusa sias toppas sil tgau dil vadi e smacca las greffas ella pial fina dil vadi blut. El scarpa vid l'ureglia, lai dar. El va entuorn il toc miert entuorn, tschappa puspei l'ureglia culs pézs, morda viaden, sgregna, scarpa culs dents davos. El sgregna e scarpa anavos l'ureglia, scarpa finalmein giu l'ureglia e maglia giuaden l'ureglia dil vadi.

Der Clemens, die alte Trompete, habe sich verliebt. Er hänge nur noch in der Beiz herum und starre der Wirtin auf die Unterschenkel. Davon bekommst du Bauchschmerzen, habe ich den Clemens gewarnt, sagt der Gieri. Bauchschmerzen habe er ein einziges Mal

gehabt vor Jahren, dann habe er sieben Schnecken lebendig gefressen und mit drei Ave Maria gespült. Seitdem nie mehr Bauchschmerzen gehabt.

Il Clemens, quella trumbetta veglia, seigi s'inamuraus. El sguschi mo pli pils bauns ell'ustria entuorn e tschaghegni alla cameriera sils ventrels. Da quei survegnas mal il venter, hai jeu detg si pil Clemens, di il Gieri. Mal il venter hagi el giu ina suletta gada e quei avon onns, hagi il Clemens detg, lu hagi el magliu giuaden siat schnecs da Medel vivs e derschentau giu cun treis Ave Maria. Dapi lu mai pli giu mal il venter.

Die Kühe fressen dreimal so viel, wenn der Schnee kommt, sagt der Bauer. Dann haben sie keine Ruh. Sie reissen die letzten Gräser aus, als gäbe es bis zum nächsten Frühling nichts mehr zu fressen. Wenn die Kühe den Schnee riechen, schlafen sie nicht. Wenn sie den Schnee riechen, sind sie nicht mehr wählerisch, dann fressen sie, was noch nicht abgefressen ist, bevor der Schnee die Alp eindeckt.

Las vaccas maglian treis ga aschi bia cu ei vegn che neiva, di il pur. Lu han ei buca ruaus. Ellas scarpan ora ils davos pastgs sco sch'ei dess nuot pli da magliar tochen la proxima primavera. Sche las vaccas fredan la neiv, dierman ei buca. Sch'ellas fredan la neiv, ein ellas buca pli heiclias, lu maglian ei quei ch'ei aunc buca magliu giu, avon che la neiv cuarcla en l'alp.

Der Fazandin steht auf einem Ast einer Rottanne weit über dem Boden mit der Schaufel in der Hand. Erquicket und erfreut die lebenden Geister, stärkt und erwärmet das blöde, schwache und kalte Hirn, und legt den Durst, und legt den Durst, singt er und klammert sich am Baumstamm fest. Fazandin, Fazandin, klettere vom Baum, steig hinab, nicht dass du noch hinunterfällst, du bist dem Tod nur einen Tod schuldig.

Il Fazandin stat sin in rom d'in pégn lunsch siadora culla pala enta maun. Erquicket und erfreut die lebenden Geister, stärkt und erwärmet das blöde, schwache und kalte Hirn, und legt den Durst, und legt den Durst, cantogna el e setegn vid il best dalla plonta. Fazandin, Fazandin, reiva giu dalla plonta, reiva giuadora, buca che ti detties aunc giu, du bist dem Tod nur einen Tod schuldig.

Unterhalb des Sez Ner stehen die Kühe neben dem Skilift weit verstreut in den Hängen. Auf der anderen Seite des Zaunes klettern die Rinder mit ihren platten Glocken immer höher die Hänge hinauf bis auf den Sez Ner. Die Hirtin der Rinderalp liegt neben dem Zaun in den Alpenrosen mit dem Hund und isst einen Apfel. Neben der Hirtin sitzt der Zusenn und zieht die Schuhe an.

Sut il Sez Ner ein las vaccas sternidas ellas plauncas sper il runal. Da l'otra vart dalla seiv da cunfin, reivan ils stiars cun lur stgellas plattas adina pli ault siadora tochen siadora sil Sez Ner. La starlera schai sper la seiv els bots cul tgaun e maglia in meil. Sper la starlera sesa il zezen e tila en ils calzers.

Wenn es regnet, scheissen die Kühe besser, sagt der Giosch. Der Clemens lacht.

Sch'ei plova, tgagian las vaccas meglie, di il Giosch. Il Clemens ri.

Das Salz dringt durch die feinen Risse der brüchigen Plastikhandschuhe auf die Hände. Der Kuhhirt taucht die Hände in die Schotte, damit das Brennen für Augenblicke aufhört. Der Senn kommt in den Käsekeller und steht mit den Händen in den Hüften vor dem Tisch. Er stinkt aus dem Mund nach starkem Brand. Er schaut eine Weile zu, geht dann aus dem Käsekeller und schlägt die Türe zu. Der Pfarrer habe ihm am Jubiläumfest versucht zu erklären, sagt der Zusenn zum Kuhhirten, warum man nicht Alkohol trinken dürfe, ohne davor angestossen zu haben. Er dreht mit einer Hand den Käselaiibe im Kreis, der im schummerigen Licht des Käsekellers aussieht wie eine zu gross geratene Hostie. Das Anstossen, besser gesagt das Klirren der Gläser, vertreibe das Böse aus dem Alkohol.

Il sal po tras las narbas dils vons gruvis da plastic viaden sils mauns. Il paster sfundra ils mauns cun vons da lavar giu ella scotga, per ch'ei cali da barschar per in amenet. Il signun vegn en tschaler da caschiel e stat

▶ Z krowich ogonów można by robić peruki. Z krowich zębów guziki, a z krowiej skóry kurtki. Z wymion maści na starzenie się, a z rogów otwieracze do butelek. Z wymion jeszcze eleganckie rękawiczki, a z ozorów damskie torebki. Z racie łyżki do butów, a z reszty karmę dla świń.

Ord las cuas dallas vaccas savess ins far peruccas. Ord ils dentsvacca nuvs ed ord la pial giaccas da curom. Ord ils ivers etgs e truschas encunter la vegliadetgna ed ord ils corns arvabutteglias. Ord ils ivers savess'ins vinavon far vons nobels ed ord las lieungas tastgas da maun. Ord las greffas tschaduns da calzers ed ord il rest puorla pils pors.

Późnym wieczorem obok chaty za kierownicą swojego szarego subaru justy siedzi serowar z butelką śliwkówki w rękę, na siedzeniu obok młodszy serowar, a z tyłu krowiarz, świniarz i oba psy. W aucie najbezpieczniej, mówi serowar i wzdryga się za każdym razem, gdy uderza piorun, pożerając krowiarzowi płoty, podpalając świerki na skraj lasu. Deszcz przemycza hałę i myje brudne subaru.

Il signun sesa la sera tard davos la roda da menar da siu Justy sper la hetta culla butteglia vinars enta maun. Sper el sesa il zezen e sil sez davos il paster ed il purtger ed ils dus tgauns. Il signun di, egl auto eisi il pli segir, el sezaccuda, cu il cametg scadeina giuaden, maglia naven las seivs al paster, dat fiug als pégn agl ur digl uaul. Il stemprau lava tras l'alp e lava giu il Justy tschuf.

davon la meisa culs mauns a calun. El toffa orda bucca da vinars. El mira tier ina piazza e va lu orda tschaler da caschiel e sbatta igl esch. Il prer hagi declarau ad el dil giubileum, di il zezen si pil paster, daco ch'ins astgi buca beiber alcohol senza far viva. El volva la magnucca en rudi e fruscha cul barschun sur la magnucca vi. La magnucca vesa ora ella glisch falombra dil tschaler da caschiel sc'ina hostia gartegiada memia gronda. Il far viva, meglie detg, il tun dils glas da far viva, scatscha il nausch ord igl alcohol.

Du hast noch nicht ausgelernt, sagt der Senn zum Schweinehirten. Zum Senn schaffst du es in diesem Leben nicht mehr, darauf wette ich ein Kalb, vielleicht im übernächsten. Als Senn fällt man nicht vom Himmel, als Senn wird man geboren. Als Schweinehirte auch.

Ti has aunc buca empriu ora, di il signun si pil purtger. Tochen tiel signun damognas ti buca pli en quella veta, quei mettel pag in vadi, forsa ella surproxima. Sco signun crodas buca giu da tschiel, sco signun neschas. Sco purtger era.

Świniarz zamiata plac przed zagrodą dla świń, licząc betonowe płyty. Gdy już zamiecie cały plac, wie tyle co dnia poprzedniego: na placu jest 711 płyt. Z tego 51 pękniętych na dwie części, 12 na cztery, a 22 nie mają jednego rogu.

Duront ch'il purtger scua il plaz culla scua da stalla, dumbra il purtger las plattas dil plaz. Ha el scuau a fin il plaz, sa el tuttina bia sco gia il di avon: Il plaz ha 711 plattas. Da quellas ein 51 plattas fessas, 12 ein partidas en quater tocs e 22 han giu in cantun.

Noc rozjaśniona gwiazdami. Serowar leży w trawie przed zagrodą dla świń. Obok serowara leży butelka. Fazandin kopie rów wokół serowara. Wbijają łopaty w ziemię, dociska twardą podeszwą, wybiera ziemię, znów wbija łopaty, wybiera ziemię, póki rów wokół serowara nie będzie gotowy. Kop, Fazandin, kop, dalejże, kop głębiej i głębiej wokół chrapiącego serowara.

La notg ei clara clara. Las steilas glischan git. Il signun schai davon il claus dils pors el pastg e dierma. Spel signun schai la butteglia. Il Fazandin cava cun sia pala in foss entuorn il signun. El fetga la pala ella tiara, smacca cul calzer da cuolm silla pala, aulza ora la tiara, fetga la pala giuaden ella tiara, aulza ora, tochen ch'el ha cavau entuorn entuorn il signun. El cava vinavon, cava vinavon, cava vinavon Fazandin, pli e pli profund entuorn il signun.

Lusterko boczne w subaru jest uszkodzone. Zwisa

teraz na dwóch drutach. To jeden taki z Alp Prady urwał lusterko czerwonym ciagnikiem marki Aebi. Młodszy serowar to widział. Serowar nie wie, kto urwał mu lusterko. Boczne lusterko psu na bucę, powiada Giachen, a wsteczne to już w ogóle. On nigdy nie jeździ do tyłu. Zawsze tylko do przodu. Jak pomyli drogę, co zdarza się od wielkiego dzwonu, jedzie dalej, zawsze jakaś droga prowadzi z powrotem, nawet jak się jedzie do przodu.

Il sitaspieghel dil Justy ei ruts giu. El penda aunc vid dus fildiroms dalla vart giu. In pur dall'Alp Prada ha scarpau giu il spieghel cun siu Aebi tgietschen. Il zezen ha viu ei. Il signun sa buca tgi che ha scarpau giu il spieghel a siu Justy. Il Giachen di, sitaspieghel drov'ins buca e rücspieghel soviso buca. El mondi mai anavos. Adina mo anavon. Sch'el mondi inaga falliu, quei che schabegi inaga en treis onns basiasts, mondi el vinavon, ei meini adina ina via anavos, era sch'ins mondi mo anavon.

Piwnica na sery jest duszą alpejskiej zagrody, powiada serowar. Gomóły sera leżą tam jak sztaby złota. Piwnica na sery jest źródłem siły serowara, powiada młodszy serowar. Serowar bez piwnicy jest jak pasterz bez psa. Krowiarz wie, jak miła jest serowarowi jego piwnica. Serowar śpi z jednym okiem otwartym.

Il tschaler da caschiel ei l'olma dad in'alp, di il signun. Las magnuccas fan pluna en tschaler da caschiel sco barras d'aur. Il tschaler da caschiel ei la potenza d'in signun, di il zezen. In signun senza tschaler da caschiel ei sco in paster senza tgaun. Il paster sa, con bugen ch'il signun ha siu tschaler da caschiel. Il signun dierma cun in egl aviart.

Georg strzelił sobie w stopę, powiada Giachen, sypiąc niuch tabaki na grzbiet dłoni. Chciał załatwić królika ze śrutówki, zamiast zwyczajnie szast-prast ukreścić łeb gadzinie. Giachen wciąga tabakę, uach, ociera nos rękawem. Georg złapał królika za uszy, przytrzymał kolanami, przyłożył mu łufę do łba i paf. Giachen wyciąga smarkówkę z kieszeni. Mówię wam, królik też się zdziwił.

Il Georg ha sittau a sesez viaden el pei, di il Giachen cul schnupftubac sil dies dil maun. Il Georg ha vuliu far star in cunegl, culla buis da catscha bassa, enstagl da, cracs, semplamein sfraccar il cnic al hutsch. El tila si il tubac, buah, streha culla mongia sul nas vi. Quel ha tschappau il cunegl per las ureglias, ha serrau el denter la schanuglia, teniu il lauf dalla buis davos las ureglias e pamf. El tila il fazalet da nas ord sac dallas caultschas. Cheu ha il cunegl era aunc smarvegliau.

Pomiędzy wzgórzami przy płocie granicznym poniżej Sez Ner leży wśród różaneczników maleńkie ciele, Lappi szarpie je zębami za ucho. Przednie łapy opiera na łbie nagiego jeszcze bydlatka, wbija mu pazury w skórę. Szarpie za ucho, puszcza. Okrąża martwe stworzenie, chwytą ucho siekaczami, wgryza się, warczy, poprawia tylnymi zębami. Warczy i szarpie,

w końcu odrywa i pożera ucho cielęcia.

Denter ils crests si sut il Sez Ner sper la seiv ellas crestas tgiat schai il vadi fiers. Il clepper scarpa culs dents vid l'ureglia dil vadi. El pusa sias toppas sil tgau dil vadi e smacca las greflas ella pial fina dil vadi blut. El scarpa vid l'ureglia, lai dar. El va entuorn il toc miert entuorn, tschappa puspei l'ureglia culs pézs, morda viaden, sgregna, scarpa culs dents davos. El sgregna e scarpa anavos l'ureglia, scarpa finalmein giu l'ureglia e maglia giuaden l'ureglia dil vadi.

Clemens, ta stara trąba, wziął i się zakochał. I teraz nic, tylko siedzi w gospodzie i gapi się na łydki oberżystki. Uważaj, jeszcze brzuch cię od tego rozboli, ostrzegam Clemensa, powiada Gieri. Brzuch bolał mnie jeden jedyny raz dawno temu, no to zjadłem siedem ślimaków żywcem i zapiłem ślimaki trzema kielichami. Od tej pory brzuch nigdy mnie nie bolał.

Il Clemens, quella trumbetta veglia, seigi s'inamuraus. El sguschi mo pli pils bauns ell'ustria entuorn e tschaghegni alla cameriera sils ventrels. Da quei survegnas mal il venter, hai jeu detg si pil Clemens, di il Gieri. Mal il venter hagi el giu ina suletta gada e quei avon onns, hagi il Clemens detg, lu hagi el magliu giuaden siat schnecs da Medel vivs e derschentau giu cun treis Ave Maria. Dapi lu mai pli giu mal il venter.

Krowy żrą trzy razy więcej, jak ma padać śnieg, powiada gospodarz. Nie mogą sobie znaleźć miejsca. Wyskubują ostatnie trawki, jakby do następnej wiosny miały nie mieć nic do żarcia. Jak krowy czują śnieg, to nie śpią. Jak poczuć śnieg, przestają wybrzydzać, żrą wszystko, czego jeszcze nie wyżarły, póki śnieg nie pokryje hali.

Las vaccas maglian treis ga aschi bia cu ei vegn che neiva, di il pur. Lu han ei buca ruaus. Ellas scarpan ora ils davos pastgs sco sch'ei dess nuot pli da magliar tochen la proxima primavera. Sche las vaccas fredan la neiv, dierman ei buca. Sch'ellas fredan la neiv, ein ellas buca pli heiclias, lu maglian ei quei ch'ei aunc buca magliu giu, avon che la neiv cuarcla en l'alp.

Fazandin stoi na konarze świerka wysoko nad ziemią z łopatą w ręku. Krzeczcie i radujcie żywe duchy, wzmacniajcie i ogrzewajcie durny, słaby, zimny mózg i gaście pragnienie, i gaście pragnienie, śpiewa, mocno trzymając się pnia. Fazandin, Fazandin, złaż z drzewa, złaż na dół, bo jeszcze zlecisz, a śmierci winien jesteś tylko śmierć.

Il Fazandin stat sin in rom d'in pégn lunsch siadora culla pala enta maun. Erquicket und erfreut die lebenden Geister, stärkt und erwärmet das blöde, schwache und kalte Hirn, und legt den Durst, und legt den Durst, cantogna el e setegn vid il best dalla plonta. Fazandin, Fazandin, reiva giu dalla plonta, reiva giuado-ra, buca che ti detties aunc giu, du bist dem Tod nur einen Tod schuldig.

Poniżej Sez Ner krowy pasą się przy wyciągu narciarskim rozproszone na zboczach. Po drugiej stronie płotu było z płaskimi dzwonekami wspina się coraz wyżej aż na Sez Ner. Krowiarka leży z psem w różanecznikach przy płocie i gryzie jabłko. Obok krowiarki siedzi młodszy serowar i wkłada buty.

Sut il Sez Ner ein las vaccas sternidas ellas plauncas sper il runal. Da l'autra vart dalla seiv da cunfin reivan ils stiarls cun lur stgellas plattas adina pli ault siadora tochen siadora sil Sez Ner. La starlera schai sper la seiv els bots cul tgaun e maglia in meil. Sper la starlera sesa il zezen e tila en ils calzers.

Kiedy pada deszcz, krowy lepiej srają, powiada Giosch. Clemens się śmieje.

Sch'ei plova, tgagian las vaccas meglier, di il Giosch. Il Clemens ri.

Sól wnika przez drobne szczeliny w splekanych plastikowych rękawiczkach. Krowiarz zanurza ręce w serwatce, żeby pieczenie choć na chwilę ustało. Serowar wchodzi do piwnicy z serami, staje przed stołem i bierze się pod boki. Cuchnie mu z ust mocnym samogonem. Przygląda się przez chwilę, potem wychodzi, zatrzasnąjąc drzwi. Kiedyś ksiądz próbował mu tłumaczyć, powiada młodszy serowar do krowiarza, czemu nie wolno pić alkoholu, nie wznosząc przedtem toastu. Obraca jedną ręką gomółę sera, która w mętym świetle piwnicy wygląda jak za duża hostia.

Bo toast, a ściślej mówiąc, brzęk kieliszków wypęda z alkoholu zło.

Il sal po tras las narbas dils vons gruvils da plastic viaden sils mauns. Il paster sfundra ils mauns cun vons da lavar giu ella scotga, per ch'ei cali da barschar per in amenet. Il signun vegn en tschaler da caschiel e stat davon la meisa culs mauns a calun. El toffa orda bucca da vinars. El mira tier ina piaza e va lu orda tschaler da caschiel e sbatta igl esch. Il prer hagi declarau ad el dil giubileum, di il zezen si pil paster, daco ch'ins astgi buca beiber alcohol senza far viva. El volva la magnucca en rudi e fruscha cul barschun sur la magnucca vi. La magnucca vesa ora ella glich falombra dil tschaler da caschiel sc'ina hostia gartegiada memia gronda. Il far viva, meglier detg, il tun dils glas da far viva, scatscha il nausch ord igl alcohol.

Jeszcze się nie wyuczył, powiada serowar do świniarza. Serowarem to ty już w tym życiu nie zostaniesz, załóż się o cielaka, chyba że w zaprzysły. Serowar nie spada z nieba, serowarem trzeba się urodzić. Świniarzem też.

Ti has aunc buca empriu ora, di il signun si pil purtger. Tochen tiel signun damognas ti buca pli en quella veta, quei mettel pag in vadi, forsa ella surproxima. Sco signun crodas buca giu da tschiel, sco signun neschas. Sco purtger era.

[Tłumaczenie: Krzysztof Jachimczak]



► З коров'ячих хвостів можна наробити перук. Коров'ячі зуби згодяться на гудзики, а коров'яча шкіра на шкірянки. Вим'я добре для мазі від старіння, а з рогів вийдуть коркотяги. Ще можна з вимені шити вишукані рукавички, а з язиків дамські сумочки. З копит ложки до взуття, а що залишиться – домішати в фураж для свиней.

Ord las cuas dallas vaccas savess ins far peruccas. Ord ils dentsvacca nuvs ed ord la pial giaccas da curom. Ord ils ivers etgs e truschas encunter la vegliadetgna ed ord ils corns arvabutteglias. Ord ils ivers savess'ins vinavon far vons nobels ed ord las lieungas tastgas da maun. Ord las greflas tschaduns da calzers ed ord il rest puorla pils pors.

Ватаг сидить за кермом свого сірого японського авта пізно ввечері неподалік колиби, в руці слив'янка, на сидінні поруч чабан-помічник, а на задньому сидінні чередник, свинар і двоє сторожових псів. Ватаг каже, що в машині найбезпечніше, він щоразу здригається, коли небо прорізує блискавка, з'їдаючи чередникові вориння, підпалюючи під лісом смереки. Дощ періщить полониною і пуцує забрюхану машину.

Il signun sesa la sera tard davos la roda da menar da siu Justy sper la hetta culla butteglia vinars enta maun. Sper el sesa il zezen e sil sez davos il paster ed il purtger ed ils dus tgauns. Il signun di, egl auto eisi il pli segir, el sezaccuda, cu il cametg scadeina giuaden, maglia naven las seivs al paster, dat fiug als pegns agl ur digl uaul. Il stemprou lava tras l'alp e lava giu il Justy tschuf.

Поки свинар шурує металевими прутами віника стійло, він лічить плити долівки стійла. Вишурувавши всі плити, він знає те ж, що знав і звечора: на долівці 711 плит. З них 51 тріснута, 12 розколені начетверо, а 22 мають надбитий край.

Duront ch'il purtger scua il plaz culla scua da stalla, dumbra il purtger las plattas dil plaz. Ha el scuau a fin il plaz, sa el tuttina bia sco gia il di avon: Il plaz ha 711 plattas. Da quellas ein 51 plattas fessas, 12 ein partidas en quater tocs e 22 han giu in cantun.

Зоряна ніч. Ватаг лежить на траві перед загородою. Поруч ватага лежить пляшка. Навколо ватага Фазандин рие лопатою рів. Він всуває лопату в ґрунт, натискає на неї ногою в високогірному черевикові, виймає трохи землі, всуває лопату в ґрунт, виймає

трохи землі, аж поки не обкопує ватага з усіх боків. Копай, Фазандине, копай, все глибше й глибше навколо хропіння сплячого ватага.

La notg ei clara clara. Las steilas glischan git. Il signun schai davon il claus dils pors el pastg e dierma. Spel signun schai la butteglia. Il Fazandin cava cun sia pala in foss entuorn il signun. El fetga la pala ella tiara, smacca cul calzer da cuolm silla pala, aulza ora la tiara, fetga la pala giuaden ella tiara, aulza ora, tochen ch'el ha cavau entuorn entuorn il signun. El cava vinavon, cava vinavon, cava vinavon Fazandin, pli e pli profund entuorn il signun.

Бічне дзеркало ватагового авта зламалося. Воно повисло на двох дротинах. Його зачепив своєю червоною косаркою селянин з полонини Прада. Свідком цього був чабан-помічник. Ватаг не тямить, хто відірвав бічне дзеркало. Джачен каже, що бічного дзеркала однаково не потрібно, не кажучи вже про дзеркало заднього виду. Він ніколи не задкує. Їде тільки вперед. А якщо їде не туди, раз на три високосні роки, то їде собі далі, завжди знайдеться дорога назад, навіть якщо їхати тільки вперед.

Il sitaspiegghel dil Justy ei ruts giu. El penda aunc vid dus fildiroms dalla vart giu. In pur dall'Alp Prada ha scarpau giu il spieghel cun siu Aebi tgietschen. Il zezen ha viu ei. Il signun sa buca tgi che ha scarpau giu il spieghel a siu Justy. Il Giachen di, sitaspiegghel drov'ins buca e rucspiegghel soviso buca. El mondi mai anavos. Adina mo anavon. Sch'el mondi inaga falliu, quei che schabegi inaga en treis onns basiasts, mondi el vinavon, ei meini adina ina via anavos, era sch'ins mondi mo anavon.

Сироварня – душа коров'ячого пасовиська, каже ватаг. Круги сиру лежать собі в сироварні немов золоті злитки. В сироварні міць ватага, каже чабан-помічник. Без сироварні ватаг, як пастух без пса. Чередник знає, як сильно ватаг любить свою сироварню. Ватаг спить в півока.

Il tschaler da caschiel ei l'olma dad in'alp, di il signun. Las magnuccas fan pluna en tschaler da caschiel sco barras d'aur. Il tschaler da caschiel ei la potenza d'in signun, di il zezen. In signun senza tschaler da caschiel ei sco in paster senza tgaun. Il paster sa, con bugen ch'il signun ha siu tschaler da caschiel. Il signun dierma cun in egl aviert.

Ґеорґ прострелив собі ногу, каже Джачен, насипаючи в заглибинку між великим пальцем і зап'ястям табаки. Георґ хотів пристрелити кроля, мисливським карабіном, а міг же просто, хрусь, скрутити цій тварюці в'язи. Він втягає ніздрями табаку, уууу-xxx, втирає носа рукавом. Він, каже, вхопив кроля за вуха, затиснув його коліними, приставив за вуха карабіна і бабах. Виймає з кишені подобу носовичка. Ото криль мав забаву.

Il Georg ha sittau a sesez viaden el pei, di il Giachen cul schnupftubac sil dies dil maun. Il Georg ha vuliu far star in cunegl, culla buis da catscha bassa, enstagl

da, cracs, semplamein sfraccar il cnic al hutsch. El tila si il tubac, buah, streha culla mongia sul nas vi. Quel ha tschappau il cunegl per las ureglias, ha serrau el denter la schanuglia, teniu il lauf dalla buis davos las ureglias e pamf. El tila il fazalet da nas ord sac dallas caultschas. Cheu ha il cunegl era aunc smarvegliau.

Поміж пагорбів при межі попід Зас Нером лежить в рододендронах здохле теля. Псисько смикає теляче вуха зубами. Впирається лапами в телячу голову, його кігті втискаються в шкіру голови беззахисного теляти. Він смикає вуха, перестає смикати. Оббігає бездиханний об'єкт, хапається за вуха передніми зубами, міцно вгризається, гарчить, стискає кутні зуби. Гарчить і тягне вуха до себе, аж поки воно врешті не відривається. Тоді ковтає вуха теляти.

Denter ils crests si sut il Sez Ner sper la seiv ellas crestas tgiel schai il vadi fiers. Il clepper scarpa culs dents vid l'ureglia dil vadi. El pusa sias toppas sil tgau dil vadi e smacca las greflas ella pial fina dil vadi blut. El scarpa vid l'ureglia, lai dar. El va entuorn il toc miert entuorn, tschappa puspei l'ureglia culs pezs, morda viaden, sgregna, scarpa culs dents davos. El sgregna e scarpa anavos l'ureglia, scarpa finalmein giu l'ureglia e maglia giuaden l'ureglia dil vadi.

Клеменс, старий козел, закохався по вуха. Тепер от просиджує цілими днями в корчмі, втупившись у стегна шинкарки. У нього тільки живіт від цього болітиме, я Клеменса попередив, каже Чірі. У нього живіт болів один-єдиний раз, давно-давно, то він лигнув живцем сімох слизнів і запив їх, тричі проказуючи Богородицю. Відтоді живіт у нього ніколи більше не болів.

Il Clemens, quella trumbetta veglia, seigi s'inamuraus. El sguschi mo pli pils bauns ell'ustria entuorn e tschaghegni alla cameriera sils ventrels. Da quei survegnas mal il venter, hai jeu detg si pil Clemens, di il Gieri. Mal il venter hagi el giu ina suletta gada e quei avon onns, hagi il Clemens detg, lu hagi el magliu giuaden siat schnecs da Medel vivs e derschentau giu cun treis Ave Maria. Dapi lu mai pli giu mal il venter.

Селянин каже, що корови втричі більше з'їдають перед першим снігом. Тоді вони не знаходять собі спокою. Виривають останні стеблини, ніби вже до самої весни більше не буде що їсти. Коли корови зачувають сніг, вони вже не перебирають, тоді вони зжовують усе, чого досі не з'їли, поспішаючи, поки полонину вкриє сніг.

Las vaccas maglian treis ga aschi bia cu ei vegn che neiva, di il pur. Lu han ei buca ruaus. Ellas scarpau ora ils davos pastgs sco sch'ei dess nuot pli da magliar tochen la proxima primavera. Sche las vaccas fredan la neiv, dierman ei buca. Sch'ellas fredan la neiv, ein ellas buca pli heiclias, lu maglian ei quei ch'ei aunc buca magliu giu, avon che la neiv cuarcla en l'alp.

Фазандин випростався на гілляці смереки високо над землею і тримає в руці лопату. Звеселяйте

і розпромінійте духів живих, зміцнюйте і зігривайте недоумкувати, слабкі й холодні мізки, і тамуйте спрагу, тамуйте спрагу, співає він і міцно чіпляється за стовбур. Фазандине, Фазандине, злязь із дерева, спускайся додолу, а то ще впадеш, смерті ти завинив тільки смерть.

Il Fazandin stat sin in rom d'in pegn lunsch siadora culla pala enta maun. Erquicket und erfreut die lebenden Geister, starkt und erwarmet das blode, schwache und kalte Hirn, und legt den Durst, und legt den Durst, cantrogna el e setegn vid il best dalla plonta. Fazandin, Fazandin, reiva giu dalla plonta, reiva giuadora, buca che ti detties aunc giu, du bist dem Tod nur einen Tod schuldig.

Біля підніжжя Зас Неру неподалік підйомника розтягнулися по всьому схилу корови. З іншого боку загорожі худоба, калатаючи дзвіночками, спинається все вище аж на сам Зас Нер. Місцева пастушка лежить серед альпійських рододендронів і жує яблуко, поруч пес. Тут же сидить чабан-помічник і натягає черевики.

Sut il Sez Ner ein las vaccas sternidas ellas plauncas sper il runal. Da l'autra vart dalla seiv da cunfin reivan ils stiarls cun lur stgellas plattas adina pli ault siadora tochen siadora sil Sez Ner. La starlera schai sper la seiv els bots cul tgaun e maglia in meil. Sper la starlera sesa il zezen e tila en ils calzers.

Коли дощить, корови ліпше дрищуть, каже Джош. Клеменс регоче.

Sch'ei plova, tgagein las vaccas meglie, di il Giosch. Il Clemens ri.

Крізь дрібні тріщинки старих гумових рукавиць на шкіру потрапляє сіль. Пастух занурює долоні в жентицю, щоб хоч так втишити

ARNO CAMENISCH (1978, Schweiz) – Dichter, Prosaiker, Dramatiker. Schreibt auf Deutsch und Romanisch (Sursilvan). Er studierte am Schweizerischen Literaturinstitut in Biel, wo er auch lebt. Mitglied des Spoken-Word-Ensembles „Bern ist überall“, er gilt als brillanter Performer seiner Texte. Seine Texte wurden in 15 Sprachen übersetzt. Er erhielt zahlreiche Auszeichnungen, unter anderem in 2010 den ZKB Schillerpreis und den Berner Literaturpreis für den Roman *Sez Ner* (2009), sowie den Berner Literaturpreis 2011 für die Roman *Hinter dem Bahnhof* (2010). www.arnocamenisch.ch

ARNO CAMENISCH (1978, Szwajcaria) – poeta, prozaik, dramaturg. Píše po niemiecku i retoromańsku (Sursilvan). Studiował na Szwajcarskim Instytucie Literatury w Biel i tam też mieszka. Członek Spoken-Word-Ensemble „Bern ist überall” (Bern jest wszędzie), uważany jest za błyskotliwego performerera swoich tekstów. Jego twórczość została przetłumaczona na 15 języków. Otrzymał

wogony. Do sироварні зайшов ватаг і зупинився, вперши руки в боки, перед столом. З його рота тхне міцним перегаром. Хвилю він придивляється, тоді виходить, тріснувши дверима. “Якось на святі священик спробував йому пояснити”, – каже чабан до пастуха, – “чому не можна пити, не цокнувшись наперед”. Рукою він крутить круг сиру, той схожий в притемненому освітленні сироварні на велику просфору. Цокання, чи точніше, передзвін келишків, виганяє з алкоголю злих духів.

Il sal po tras las narbas dils vons gruvils da plastic viaden sils mauns. Il paster sfundra ils mauns cun vons da lavar giu ella scotga, per ch'ei cali da barschar per in amenet. Il signun vegn en tschaler da caschiel e stat davon la meisa culs mauns a calun. El toffa orda bucca da vinars. El mira tier ina piazza e va lu orda tschaler da caschiel e sbatta igl esch. Il prer hagi declarau ad el dil giubileum, di il zezen si pil paster, daco ch'ins astgi buca beiber alcohol senza far viva. El volva la magnucca en rudi e fruscha cul barschun sur la magnucca vi. La magnucca vesa ora ella glisch falombra dil tschaler da caschiel sc'ina hostia gartegiada memia gronda. Il far viva, meglie detg, il tun dils glas da far viva, scatscha il nausch ord igl alcohol.

Тобі ще вчитися і вчитися, каже ватаг свинареві. Ти ніколи не станеш у цьому житті ватагом, можу хоч і на теля закластися. А якщо й станеш, то хіба в наступному житті. Ватаги з неба не падають, ватагами народжуються. Як і свинарами.

Ti has aunc buca empriu ora, di il signun si pil purtger. Tochen tiel signun damognas ti buca pli en quella veta, quei mettel pag in vadi, forza ella surproxima. Sco signun crodas buca giu da tschiel, sco signun neschas. Sco purtger era.

[Переклад: Христина Назаркевич]

liczne wyróżnienia, między innymi nagrodę im. Schillera przyznaną przez Bank Kantonalny w Zurychu i Berneńską Nagrodę Literacką w 2010 roku za powieść *Sez Ner* (2009), jak również Berneńską Nagrodę Literacką 2011 za powieść *Za dworcem* (2009). www.arnocamenisch.ch

ARNO KAMENIŠ (1978, Швейцарія) – поет, прозаїк, драматург. Пише німецькою та ретороманською (Sursilvan). Навчався у Швейцарському інституті літератури в Білі, де й мешкає. Член Ансамблю мовленого слова „Берн є всюди”. Його вважають блискучим виконавцем власних текстів. Творчість Камєніша перекладена 15-ма мовами. Здобув численні відзнаки, серед яких – Премія ім. Шіллера від Банку кантону Цюрих, Бернська літературна премія 2010 року за роман *Sez Ner* (2009), Бернська літературна премія 2011 року за роман *За вокзалом* (2009). www.arnocamenisch.ch

**między
wzgórzami,
przy płocie
granicznym**



NA KRÓTKO FÜR KURZE ZEIT НЕНАДОБГО

(fragmenty)
(auszüge)
(фрагменты)

46. Ruta

Miałaby problem z nowym językiem. Kazik jej klarował – Rutka, jaki problem? O zobacz, tu masz książkę. Nauczysz się gramatyki. Paru zwrotów. Potem od klientek złapiesz kolejne. Na początek możesz za dużo z nimi nie gadać, przyjdzie samo. – Łatwo mu było mówić. Uczył się w dobrej szkole i na uniwersytecie, rodzice zadbali także o prywatne lekcje. U niej w domu sądzono, że rosyjski wystarcza za wszystkie języki świata, zresztą w końcu też był obcy, tyle że wszechobecny. Rodzice mieli rację, a nawet nie oszacowali przyszłej ekspansji tego języka. Rosyjskiego uczyli się na całym świecie, w łaźni w Turcji i w salonie jubilerskim w Amsterdamie.

Co z tego? Ruta nie chciała kupić, chciała sprzedawać usługi, a do tego to ona miała dysponować odpowiednim zasobem słów.

Witek miał lepsze przygotowanie: czytał amerykańskie komiksy, tłumaczył teksty angielskich piosenek. Do pracy magisterskiej przewertował całkiem spory stosik literatury obcojęzycznej. Mogli śmiało jechać, oczywiście Trzej Muszkieterowie, w tym jedna niezła laska – neutralizowała wątpliwości winem i śmiechem.

– Poza tym naszych tam dość, naszych i Rosjanek. Będziesz mogła tylko je czesać, ja wezmę na siebie gadanie po innemu – bawił się jej włosami w niedzielne poranki. Leżała bez ruchu, żeby dać swobodny przepływ

wywołanym tą piśczętą prądom.

– Nie wiem, we fryzjerstwie rozmowa jest ważna....

– Kochanie, z czasem będziesz rozmawiać, a na początek wystarczą im twoje śliczne rączki – jeszcze chciał ją zabrać. Wciąż pasowała do planu życia. Nauczyciel niemieckiego wchodził do klasy drobnym kroczeniem. Mówiło się o nim to i owo. Był inny, ciepły, ciepłak, chłopcy nie chcieli z nim zostawać sam na sam w klasie. Dziewczyn nie lubił, miał zawsze jakieś złośliwe uwagi. Najwięcej pod adresem tych przeciętnych, wystraszonych własną niezdarnością i brakami w zasobach słówek. Z ładnymi, obleganymi przez kolegów zawierał pakt o nieagresji.

– Boi się dotykać, tam gdzie nie jego – kpili bezkarnie, wychodząc na papierosa do bramy pobliskiej kamienicy. W klasie wpadali w zgodny rechot, kiedy upatrzył ofiarę i zaczynał egzekucję, mógł liczyć na pomoc pozostałych. Dla Ruty nie było w tym niczego śmiesznego.

Wieczorami kuła słówka i gramatykę. Wypisywała na kartkach kolorowymi flamastrami, miała cały system – przedmioty domowe, produkty, nazwy instytucji. Czasowniki. Czasowniki modalne. Stopniowanie przymiotników. Niby w rosyjskim było tego więcej, a jednak te rosyjskie były ściśle powiązane z prawdziwymi wyglądami rzeczy. Zrosnięte z codziennością. Normalne. Niemiec po prostu gwałciły przestrzeń, skręcały krzywizny, przewracały wyposażenie kuchni i pokoju. Wszystkie ten „unter”, „zwischen”, nie wiedziała gdzie umieścić siebie. Niemiec uwielbiał to robić, przewracać ją pomiędzy kuchennymi płaszczynami, podcinać nogi w drodze do lampy wiszącej pod sufitem. Mówił – szybko, szybciej, freulein! – a ona wychodziła z ławki potykając się o leżące na ziemi torby; szła jak na ścięcie.

– Zobaczymy, czy reaguje na polecenia – oznajmiał Niemiec, wywołując salwę śmiechu w klasie. Najgłośniej śmiały się te pod ochroną, ładniejsze, wymalowane, ubrane w nieprzepisowo krótkie spódnice. I ci chłopcy, których zostawiał po lekcjach, żeby ćwiczyli dodatkowo wykonywanie poleceń, językowy poligon – mówił – potrzebny wam jest ostry językowy poligon.

– Znajdziecie się na ulicy w pięknym RFN i co? Będziecie dukać, z ruchu warg czytać? Przekładać na nasze w pustych głowach? Nie, trzeba reagować, jak psy Pawłowa będziecie musieli reagować, biegnące za suką.

Najgorsze powinny być lekcje matematyki, jednak wcale nie były. Ospały Matematyk poprawiał cierpliwie jej niedokładne rysunki, korygował błędy rachunkowe. Odpuszczał. Następny rysunek przynosiła lepszy, na klasówce nie robiła prostych błędów, rozumiała twierdzenia. Chwalił, pytał, jaką wybierze szkołę średnią. Stopnie miała niezłe. Podczas rady pedagogicznej przy jej nazwisku nie zatrzymywali się na dłużej. Dziwne były noty z niemieckiego.

– Czy kolega nie dałby jej szansy na podciągnięcie? – pytała rusycystka. – Niemożliwe, żeby była taka słaba, jak ktoś ma talent humanistyczny...

– Może u koleżanki Ruta ma jakiś talent, z niemieckiego nie opanowała podstaw. Moim zdaniem nie jest zdolna – nie zachęcał do negocjacji, ucinął, flirtując z koleżanką od biologii, bo flirtować, na przekór opinii o nienormalnych skłonnościach, lubił.

Wychodziła więc z ławki niepewnie, szła chwiejnie i powoli w stronę tablicy, odwlekając chwilę zadania pytania, chociaż Niemiec wykorzystywał te chwile do

podkreślenia żartów. Mówił te różne wstrętne rzeczy o jej niezgrabnej dupce, o jej krótkim najwidoczniej wzroku, o jej niedosłyszeniu, na które chyba potrzebny byłby – niemiecki – aparat, ale jak jej rodzice kupią, nie zrozumie instrukcji. Pytał, czy dobrze spała w nocy? Bo chyba książka podłożona pod poduszkę nie przeszkadzała? Na pewno nie zakłóciła stanu wiedzy, zerowej. Klasa głośniała, podkreśzana jego gadaniem jak radio starego typu, z dwoma pokrętłami. Zawsze mógł przestawić na inne fale, zauważyć któregoś z rozwalonych w ostatnich ławkach, bezczelnych, małych osiłków, którzy umieli bronić się prymitywną konwersacją, zwrotami złapanymi podczas wakacyjnej wyprawy do ojca, siedzącego tam gdzieś, gdzie przyszło praktykować niemiecki, język śmiertelnego wroga, jeśli w czasie wojny miało się właściwy paszport. W każdym razie człowiekowi radzieckiemu nauka języka faszystów niepotrzebna, chyba że będzie to język internacjonalistów z NRD. I o spółdzielniach produkcyjnych kazał powtarzać, bez nacisku, bo czasy były cywilizowane.

Zawsze mógł kazać wyjąć kartki i zadać trzypunktowy sprawdzian, odmianie, słówka i krótki dialog na jakiś życiowy temat. Trzeba było go podtrzymać w galopadzie na osłabionego wroga, udowodnić, że zasługują na pokaz.

Wyuczone przez całą niedzielę słówka zatrzaśniały się jej w środku, niektóre spływały do krtani i dopiero tam więzły, rosły w bezkształtną gulę, dusiły. Długie i krótkie, przyimki i złożenia. Nie będzie w stanie niczego powiedzieć, już wiedziała. Przez głowę przelatywały jej całe zdania, czytanki, strony z gazet, sceny z niedubingowanych filmów. W środku miała łok, nadmiar, mogłaby opowiedzieć niejedno, jednak nie wiedziała, w którą zwrócić się stronę, do kogo mówić? Niemiec zajmował całą klasę, jego cienki głosik potężniał, wchodził na najwyższe obroty. Fala aplauzu unosiła go nad podłogę, więc zaczynał pytać od tego.

– Mamy dla panieki obrazek jak dla maluchów w przedszkolu – mówił, zwracając się do najprzystojniejszego chłopaka w klasie.

– Nasza mądrąla opowie nam o urządzeniu kuchni. Nie będziemy pytać z czytanki o produkcji rolnej w NRD, ta czytanką wprowadza zbyt trudne słownictwo. Zapytamy o stół i lampę, zgoda? – klasa ryczała. – Zgoda, zgoda, zapytajmy. – Czasem kazał to robić któremuś z chłopaków. – Ty ją pytaj, ja nie mam sił - stał naprzeciw, obserwując jej twarz i prosząc: – Ty jej powtórz, ona nie rozumie moich pytań. Akcent zbyt wiedeński.

Więc znów ten obrazek. Świat wirował przed oczami Ruty, nie odróżniała sufitu od podłogi, myliła kierunki.

– Siadaj, niech na ciebie nie patrzę. Mój Boże, czy ja mam z nią pracować po lekcjach? Macie przywilej uczestniczenia w lekcjach języka Goethego, w lekcjach, jakich nie znajdziecie wszędzie, nie dostaniecie na deputat i co? – Powoływał klasę na świadka swojej dobrej woli. – Powiniem ją podciągać, bo zaniża nam wyniki. Ale czy ja mam czas na omawianie podstaw? Czy nie szkoda moich kwalifikacji? – spuszczał ją z oczu, przerzucał się na gadanie o sobie. Po rosyjsku, żeby dotarło, opowiadał o swoich wysokich kwalifikacjach. Miał się czym pochwalić, doprawdy. Znał chyba z dziesięć języków. Bywał tu i tam. Mógłby uczyć studentów, więc powinni docenić. Woli ich uczyć, chociaż taka Ruta odbiera mu wiarę w sens poświęcenia. Był tematem większości lekcji, pod

koniec kazał zanotować temat, wygłaszał parę zdań w faktycznie nienagannym, wysokim niemieckim, ze zmiękczeniem mogącym uchodzić za wiedeńskie. Zadawał. Czasem, gdy miał humor, rozdawał im stare, niemieckie magazyny i kazał tłumaczyć, chodząc po klasie i robiąc dowcipne uwagi na temat ich stroju, kolorów przyborów szkolnych, nowych fryzur. Rutę w tych przeglądach omijał, w te dni miała spokój. Tłumaczyła szybko i byłaby gotowa, gdyby spytał o efekt, ale on wołał poprawiać nieścisłe translacje któregoś z klasowych przystojniaków, komentując potknięcia: – No, no, dobrze łapiesz kontekst. Najważniejsze to rozumieć. Zostań pod dzwonku, dam ci coś do czytania. – Zapraszał też czasem do domu. Podobno częstował kawą, pożyczał książki, klasykę literacką, tym hałaśliwym nieukom, rzekomo uzdolnionym lingwistycznie. Czasem dawał im nawet alkohol, uzasadniając ten wyłom w zasadach specjalnym traktowaniem gościa, właściwie dorosłego. Woleli chodzić do niego dwójkami. Niczego nie próbował, niechby! Zboczek. Na wszelki wypadek chłopaki chcieli mieć alibi, żeby ktoś im nie wyskoczył. Odmawiać nie wypadało, tak też uważali ojcowie i matki, wyróżnienie. U profesora w domu. Tylko lepiej z kimś w parze.

Po latach – gdy tamto wydawało się nieważne, a niemieckim od biedy porozumiewała się na wycieczkach i w domu wczasowym nad morzem, dokąd chętnie przyjeżdżali Niemcy, traktujący ten wycinek wybrzeża jak oderwaną siłą kolonię, czasowo zarządzaną przez ślamazarnych osiedleńców - spotkała go na przyjęciu u znajomych Kazika. Jakież party z artystami, z okazji premiery chyba, na którą Kazik uczesał aktorów. Stał w centrum dużego pokoju, z kieliszkiem w małej łapce i perorował na temat szkoły.

– Ja nie chciałem porzucić nauczycielstwa. Miałem propozycje, mogłem iść na Uniwersytet. Ktoś jednak musi dawać dzieciom podstawy. Najważniejsze jest nauczanie początkowe, najlepiej od razu, od urodzenia. Naturalna orientacja w przestrzeni. Ja te metody stosowałem od dawna, zanim u nas napisano o nich podręczniki. Dzieciak chodzi, rozpoznaje przedmioty i gramatyczne relacje między nimi, my bodźcujemy. Nawet nie wie, a tu zaczyna mówić drugim językiem. Dwa naraz, dla dzieci żaden problem.

Stanęła obok, słuchała.

– Nie każdy lubi takie bodźce – odważyła się powiedzieć. Spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Tak pani myśli? Ma pani w tej mierze jakieś doświadczenia? Z nauczania?

– Nie, przepraszam, ja tak tylko.... – widziała, że jej nie poznał. Zapragnęła uciec do ławki.

Gospodyni przyjęcia, klientka Kazika, powiedziała im pół roku później, że zmarł ten zasłużony nauczyciel języków, ten wielki poliglota i znawca dramaturgii niemieckiej. Uczył za dawnych czasów, choć niemiecki był traktowany podejrzliwie. Miał odwagę. Pomagał im w teatrze opanować niemiecką intonację, kiedy mieli wziąć udział w międzynarodowym festiwalu teatralnym. Byli świetni, nie do odróżnienia od znających język z domu, dzięki jego wskazówkom wypadli wprost rewelacyjnie.

– Kawy nie zamówili po niemiecku – śmiała się – ale ze sceny jak jakiś Berliner Ansamble – kark jej się trząsał pod nożyczkami Kazika.

Zmarł na raka krtani. Pod koniec nie mówił. Słowa mu więzły przed strunami głosowymi.

Bycie matką nastolatka dostarczało atrakcji. Musiała wiedzieć, czym Tomek się interesuje, nadążać za zmianami języka, idoli, technik komputerowych i mody.

– Jaki obciach mam, kto tak mówi? Nikt tak nie mówi. – Nie dawał forów, nie naprowadzał na właściwe słowa. Denerwowało go, gdy próbowała być równa.

– Matka powinna zachowywać się odpowiedzialnie – oznajmił, gdy zaproponowała przedłużenie zimowych ferii w Alpach.

– Zostaniemy parę dni, śnieg taki, że szkoda wyjechać – powiedziała przy śniadaniu w dzień przed odwrotem z austriackiej wioski, choć to tam właśnie skapitulowała: przestała udawać, że za nim nadąża.

– Zostaniemy? Mam, szkoła od poniedziałku.

– Szkoła nie ucieknie, usprawiedliwię – sama nigdy nie dostała od rodziców lewego zaświadczenia.

Tylko gorączka zwalniała z obowiązku wyjścia do szkoły.

– Nie żartuj. Ja przynajmniej nie zamierzam zostać. Bądź poważna.

– Nie żartuję, może ty jesteś za poważny. Droga zaśnieżona, wolno mieć opóźnienie.

– Proszę, zachowuj się jak matka! I nie mówi się „mieć opóźnienie”, tak mówią w pociągach.

– Pudło. W pociągach mówią „nabył opóźnienia” – przynoszą takie osobliwości do domu od czasu, gdy zrobiła ustępstwo w sprawie wychowania bez telewizora – pierwsze z całej serii, a i tak, widzi teraz, była bezsensownie konsekwentna i surowa - siadała z Tomczkiem do Teleexpressu. Lubili to końcowe okienko z osobliwościami i zbierali podobne wokół siebie, nagradzając zdobycze cukierkiem.

Wymienili z Tomkiem porozumiewawcze spojrzenia.

Jak matka. Wiedziała, co znaczy odpowiedzialność matki. Przemyślane zajęcia pozalekcyjne, racjonalne odżywianie, czytanie książeczek, poważne traktowanie. Żadnych szaleństw, budowanie poczucia bezpieczeństwa z kolorowych klocków. Uśmiechnięci rodzice, rozwiązane kłopoty, zaplanowana edukacja, sporo rozrywek, niemało wymagań. Tyle tego, aż zaczął się oddalać. Miał swoje sprawy. W byciu dzieckiem osiągnął doskonałość i sięgnął po więcej.

Nie znała już dokładnie przebiegu jego zajęć, każdej myśli, pragnienia. Zaczął wybiegać z domu krzycząc przez ramię: – Pa, mam! – w te dni, gdy za długo układał przed lustrem nową fryzurę i nie miał czasu na całusa. Nie lubił pytań o klasę, o przyjaciół, koleżanki. Zwłaszcza o koleżanki. Skłoniła Tomka, żeby odbył z nim męską rozmowę. Wrócił po niej rozbawiony.

– I co? – zapytała.

– O co pytasz? – pierwszą książeczkę uświadamiającą kupili mu, gdy zaczynał czytać.

– Chciał wiedzieć więcej?

– Jakie więcej, oni mają to na biologii.

– No przecież nie o zygocie, chodzi o stronę praktyczną.

– A co? Miałem go nauczyć korzystania z prezerwatyw? Proszę, opanuj instynkt macierzyński.

Na wszystko przyjdzie czas.

– Instynkt macierzyński? Przecież wiesz, chodzi mi o otwarte traktowanie spraw seksu, żeby w tym ksenofobicznym społeczeństwie wiedział, co myśleć.

– Nie żartuj, nie wyznaczmy mu kursu my-

ślenia. Daj mu czas i trochę przestrzeni na jego własne, nie twoje dylematy. Ksenofobia i prezerwatywy? – udał zaniepokojenie stanem jej umysłu.

Nie mogła się zgodzić z takim postawieniem sprawy. Spróbowała z nim sama rozmawiać.

– Gdyby ci się ktoś bardzo spodobał, wiesz, ktoś tak naprawdę mocno...

– Masz na myśli, że dziewczyna?

– Niekoniecznie, ale tak.

– Mam, nie jestem gejem – był znudzony, wyuczona uprzejmość nie pozwalała mu wyjść z pokoju. Uprzejmość i pobłażliwość.

– Wiem, to znaczy tak myślę, ale nigdy nie wiadomo. Chodzi o to, że miłość jest piękna, tylko musi być bezpieczna.

– Mam, spoko. Jeśli będę potrzebował rady, zapytam. Nie narzucaj mi się z pomocą. Matka nie powinna gadać o seksie.

Zatkało ją. Więc tak to widział. Wychowywany liberalnie, przyuczony do otwartości, zapewniany o partnerstwie, chciał mieć matkę w matce i ojca w ojcu.

Bolało ją, że niedługo odejdzie. Wyjedzie na studia, wyprowadzi się z domu. Już to w nim widziała. W rozmiarach ubrań, wielkości zjadanych porcji. Nie chciałaby mu tego utrudniać. Ceniła własne życie, w rodzinie szanowała autonomię. Rozumiała konieczność oddzielenia dziecka. Sprzyjała temu oddzieleniu. Uczyla go samodzielności, cierpliwie czekała, aż sam zje zupkę, sam zawiąże sznurówki, sam spakuje plecaczek, sam zjeżdża po schodach, sam zjedzie ze stoku. Zaczął ją przeganiać, wszystko robił szybciej, potwierdzając skuteczność zastosowanej metody wychowawczej. Był sprawny, mądry, otwarty. Nie tak skryty i ostrożny jak ojciec, okazywał uczucia, także słabość, na którą znajdował lekarstwo w większym wysiłku. Ćwiczył, biegał, uczył się kolejnego języka. Ledwie skończył trzynaście lat, a wyglądał jak mężczyzna. Nie przechodził etapu nieskoordynowanych ruchów, smutków, pryszczyc, nic podobnego. Wkraczał w kolejne lata, rozwiązując bezbłędnie szkolne testy kompetencji i wygrywając zawody sportowe. Tym bardziej bała się dnia, gdy nie będzie spał w swoim pokoju, gdy mu nie powie, co ma wziąć z lodówki. Dnia, gdy pierwszy raz upadnie, groźniej niż w piaskownicy. Gdy zaboli go mocno i sięgnie po cokolwiek usmierzającego. Nie po jej rękę, usta, oddech, kompres, jabłko, chusteczkę. Nie od niej weźmie panaceum. Nie przy niej zapłacze. Trzaśnie drzwiami od poprzedniego wcielenia, wybierze drogę. Poraniony, wybiegnie w otwartą przestrzeń lub schowa głowę pod czyjeś ramię. Rwało ją w środku od tego przeczcucia straty.

Starsze koleżanki czasem o tym opowiadały.

– Najważniejsze, żeby byli szczęśliwi – wyciągały fotografie dzieci na tle miast, zabytków, pokojów w akademikach, narzeczonych. Ślubne i turystyczne, codzienne i odświętne. Nie wolno było być matką nadopiekuńczą, trzeba było chwalić się sukcesami dzieci oddzielonych, samodzielnych. Wiedziała o tym, lecz ta wiedza niczego nie goiła, nie ułatwiała.

Gdy wyjeżdżała sama, dwa razy dziennie wykonywała telefon: rano, by zapytać o plany, wieczorem, żeby podsumować ich wypełnienie. Jego głos, tak podobny do głosu ojca, pozwalała głębiej odetchnąć.

Nie chciała odciąć pępownicy, choć była na ten zabieg przygotowana od dawna. Przez kilkanaście lat

nosiła Tomka w sobie, kołysała go w wodach płodowych. Konieczne odcięcie, wiedziała, zostawi na jej ciele niepotrzebne połączenia nerwowe, sploty czuciowe wypełnione fantomowym bólem.

Oddała go rodzicom na wakacje na przekór samej sobie, próbując, czy uda się żyć bez niego. Czy kiedyś, w przyszłości, da sobie radę. Ślepa próba. To było coś innego niż odejście, gdy nastąpi. Tomek świetnie się bawił i planował powrót.

46. Ruta

Sie sagte, sie hätte ein Problem mit der neuen Sprache. Kazik erklärte ihr: „Rutka, was für ein Problem denn? Sieh mal, hier hast du ein Buch. Du lernst die Grammatik. Und ein paar Wendungen. Die nächsten schnappst du dann von den Kundinnen auf. Am Anfang brauchst du nicht zu viel mit ihnen reden, das kommt dann von selbst.“ Für ihn war das leicht gesagt. Er hatte eine gute Schule besucht und dann die Universität, und seine Eltern hatten auch noch für Privatunterricht gesorgt. Dagegen war man bei ihr zu Hause der Meinung gewesen, Russisch würde für alle Sprachen der Welt genügen, schließlich war das auch eine Fremdsprache, nur eben eine allgegenwärtige. Die Eltern hatten recht, ja sie hatten die künftige Expansion dieser Sprache sogar noch unterschätzt. Russisch lernte man auf der ganzen Welt, in einem türkischen Bad wie in einem Juweliengeschäft in Amsterdam. Aber was half ihr das? Ruta wollte ja nichts kaufen, sondern Dienstleistungen verkaufen, und dazu musste sie wohl oder übel über einen entsprechenden Wortschatz verfügen.

Witek war besser vorbereitet: er las amerikanische Comics und übersetzte die Texte englischer Songs. Für seine Diplomarbeit hatte er einen ganz ansehnlichen Haufen fremdsprachiger Literatur durchgeackert. Sie konnten also beruhigt losfahren, offensichtlich wie die Drei Musketiere, darunter eine nicht üble Braut. Eventuelle Zweifel wurden mit Wein und mit Lachen neutralisiert. „Außerdem sind dort auch genügend Leute von uns, unsere und auch Russinnen. Du brauchst sie ja nur zu kämmen, das fremde Gerede übernehme ich.“ An den Sonntagmorgen spielte er mit ihrem Haar. Sie lag bewegungslos da, um den durch diese Zärtlichkeit ausgelösten Wellen freien Lauf zu lassen.

„Ich weiß nicht, das Gespräch im Frisörsalon ist doch wichtig ...“

„Mit der Zeit wirst du dich dann ja auch unterhalten können, Liebes, aber zu Beginn genügen deine reizenden Händchen.“ Er wollte sie immer noch mitnehmen. Sie passte immer noch zu seinem Lebensplan.

Der Deutschlehrer betrat mit kleinen Schritten die Klasse. Über ihn wurde dieses und jenes geredet. Er war anders, warm, ein warmer Bruder – die Jungs wollten nicht mit ihm allein in der Klasse bleiben. Mädchen konnte er nicht leiden, er machte immer böse Bemerkungen über sie. Am meisten über die mittelmäßigen, die über ihre eigene Unbeholfenheit und ihre ungenügenden Vokabelkenntnisse erschrocken waren. Mit den hübscheren Mädchen, um die sich seine Kollegen scharten, hatte er einen Nichtangriffspakt geschlossen.

„Er hat Angst anzufassen, was nicht seins ist“, lästerte man ungestraft, wenn man in die nahe gelegene Torein-

fahrt verschwand, um eine Zigarette zu rauchen. Aber in der Klasse verfiel man immer in einmütiges dreieckiges Gelächter, wenn er ein Opfer erspäht hatte und mit der Exekution begann – dann konnte er mit der Hilfe der übrigen rechnen.

Für Ruta war dies alles überhaupt nicht zum Lachen. Am Abend büffelte sie Vokabeln und Grammatik. Sie schrieb mit Filzstiften auf Zettel, dafür hatte sie ein ganzes System – Haushaltsgegenstände, Produkte, Namen von Institutionen. Verben. Modalverben. Steigerung der Adjektive. Im Russischen gab es zwar mehr davon, aber die russischen Wörter waren immerhin eng mit dem wahren Aussehen der Dinge verbunden. Mit dem Alltag verwachsen. Normal. Die deutschen dagegen vergewaltigten einfach den Raum, schufen Krümmungen, verdrehten die Ausstattung von Küche und Zimmer. All diese „unter“ und „zwischen“ – sie wusste gar nicht mehr, wo sie sich selbst platzieren sollte. Der Deutsche aber liebte es, sie zwischen den Ebenen der Küche hin- und herzuschubsen, ihr ein Bein zu stellen auf dem Weg zur Lampe, die unter der Decke hing. „Schnell, schneller, Fräulein“, rief er, und sie stolperte beim Heraustreten aus der Bank über die auf dem Fußboden liegende Tasche, so als ginge sie zu ihrer eigenen Hinrichtung.

„Mal sehen, wie sie auf Befehle reagiert“, spottete der Deutsche und löste damit eine Lachsälve der gesamten Klasse aus. Am lautesten lachten die unter Schutz stehenden, hübscheren, geschminkten Mädchen, sie unvorschriftsmäßig kurze Röcke trugen. Auch die Jungs, die nach dem Unterricht noch dabliefen, um zusätzlich die Ausführung von Befehlen zu üben, sozusagen auf einem Truppenübungsplatz der Sprache. Er sagte immer: „Ihr braucht für die Sprache ein strenges Regiment“.

„Dann steht ihr auf der Straße in der schönen BRD, und was weiter? Wollt ihr etwa stottern, den Leuten alles von den Lippen ablesen und das dann in euren leeren Köpfen in die eigene Sprache übersetzen? Nein, ihr müsst reagieren, wie die Pawlowschen Hunde, die der Hündin hinterherrennen, so müsst ihr reagieren. Am schlimmsten hätten eigentlich die Mathematikstunden sein müssen, aber das waren sie überhaupt nicht. Der schläfrige Mathelehrer verbesserte geduldig ihre ungenauen Zeichnungen und korrigierte ihre Rechenfehler. Er ließ den Dingen ihren Lauf. Ihre nächste Zeichnung war dann schon viel besser, in der Klassenarbeit machte sie diese einfachen Fehler nicht mehr, und sie begann auch die Lehrsätze zu verstehen. Er lobte sie und fragte, auf welche Mittelschule sie denn gehen wolle. Ihre Noten waren ja nicht schlecht. Bei der Lehrerkonferenz hielt man sich bei ihrem Namen nicht länger auf. Seltsam waren nur ihre Deutschzensuren.

„Wollen Sie ihr denn keine Chance geben, sich zu verbessern?“, fragte die Russischlehrerin. „Es ist doch nicht möglich, dass sie so schlecht sein soll, sie ist doch humanistisch begabt ...“

„Vielleicht hat Ruta ja bei Ihnen Talent, aber im Deutschen beherrscht sie nicht einmal die Grundlagen. Meiner Ansicht nach ist sie unbegabt.“ Damit brach er ab, ohne sich auf weitere Verhandlungen einzulassen. Lieber flirtete er mit der Biologielehrerin, denn er flirtete, allen Meinungen über seine nicht normalen Neigungen zum Trotz, gern.

Sie stand also unsicher von ihrer Bank auf, ging schwan-kend und langsam vor zur Tafel, den Moment der

Fragestellung hinauszögernd – obwohl der Deutsche solche Augenblicke gern zu Späßen verwendete. Er sagte dann verschiedene eklige Dinge über ihren unförmigen Hintern, über ihre offensichtliche Kurzsichtigkeit, über ihre Schwerhörigkeit, weshalb sie wohl ein – deutsches – Hörgerät brauche, aber selbst wenn ihre Eltern ihr eins kaufen würden, könne sie die Gebrauchsanweisung dann ja doch nicht verstehen. Er fragte, ob sie in der Nacht gut geschlafen habe. Das unter dem Kopfkissen versteckte Buch habe sie doch nicht etwa gestört? Ihren „auf Null“ stehenden Wissensstand habe es ganz gewiss nicht beeinflusst. Die Klasse wurde laut, durch sein Gequatsche aufgedreht wie ein Radio alten Typs mit zwei Drehknöpfen. Er konnte immer auf eine andere Wellenlänge wechseln, sah er in den hinteren Reihen hingeflüzt einen dieser unverschämten kleinen Muskelprotze, die sich durch primitive Wortwechsel zu wehren wussten, mit Wendungen, die sie während ihrer Ferienreise zum Vater aufgeschnappt hatten, der irgendwo dort lebte, wo man seine Deutschkenntnisse anwenden musste, die Sprache des Todfeindes, wenn man während des Krieges den richtigen Pass gehabt hatte. Jedenfalls brauchte ein Sowjetmensch die Sprache der Faschisten nicht, es sei denn die Sprache der Internationalisten aus der DDR. Und das über die Produktionsgenossenschaften ließ er sich wiederholen, aber ohne Nachdruck, denn die Zeiten waren zivilisiert.

Immer drohte die Gefahr, dass er ein Blatt Papier hervorholen und einen aus drei Punkten bestehenden Test schreiben ließ: Deklination, Vokabeln und einen kurzen Dialog zu einem aus dem Leben gegriffenen Thema. Deshalb musste er bestärkt werden, seinen Galopp gegen den geschwächten Feind fortzusetzen, und bewiesen werden, dass man diese Vorführung verdiente.

Die Vokabeln, die sie den ganzen Sonntag über gepaukt hatte, waren in ihrem Inneren wie zugeschnappt, nur einige gelangten in den Kehlkopf und wuchsen erst dort zu einem unförmigen Kloß an, der sie zu ersticken drohte. Lange und kurze, Präpositionen und Komposita. Sie würde nicht imstande sein, irgendetwas zu sagen, das wusste sie jetzt schon. Ganze Sätze schwirrten ihr durch den Kopf, Lesestücke, Zeitungsausschnitte, Szenen aus nicht synchronisierten Filmen. In ihrem Inneren herrschte ein richtiger Andrang, ein Übermaß, und sie hätte so manches erzählen können, aber sie wusste ja nicht, in welche Richtung sie sich wenden und zu wem sie reden sollte. Der Deutsche nahm die gesamte Klasse ein, sein dünnes Stimmchen wurde immer mächtiger, es erreichte die höchsten Drehzahlen. Eine Welle des Beifalls hob ihn über den Boden, daher begann er so.

„Für das Fräulein haben wir ein Bild, wie für die Kleinen im Kindergarten“, sagte er, dem hübschesten Jungen in der Klasse zugewandt.

„Unsere Besserwisserin soll uns von der Ausstattung der Küche erzählen. Wir werden sie nicht nach dem Lesestück über die landwirtschaftliche Produktion in der DDR fragen, weil dieser Text viel zu schwierige Wörter enthält. Wir fragen sie lieber nach Tisch und Lampe, einverstanden?“ Die Klasse brüllte: „Einverstanden, ja, los fragen wir“. Manchmal ließ er dies einen der Jungs tun. „Frag du sie, ich bin zu müde.“ Er stand ihr gegenüber, beobachtete ihr Gesicht und bat: „Wiederhol du ihr das, sie versteht meine Fragen nicht. Mein Akzent ist ihr wohl zu wienerisch“.

Also schon wieder dieses Bild. Die Welt begann sich vor Rutas Augen zu drehen, sie unterschied nicht mehr zwischen Zimmerdecke und Fußboden, sie verwechselte die Richtungen.

„Setz dich, damit ich dich nicht mehr ansehen muss. Mein Gott, soll ich etwa nach dem Unterricht noch mit ihr zusammensitzen? Ihr seid privilegiert, dass ihr die Sprache Goethes lernen könnt. Solchen Unterricht



findet ihr nicht überall, dafür gibts kein Deputat – und nun das hier?“, berief er die Klasse zum Zeugen seines guten Willens. „Ich müsste sie fördern, damit sie uns nicht den Durchschnitt drückt. Aber habe ich denn die Zeit, andauernd wieder die einfachsten Grundlagen zu behandeln? Sind meine Qualifikationen nicht zu schade dafür?“, er ließ sie aus den Augen und begann von sich selbst zu reden. Auf Russisch, damit es auch

ankam, berichtete er von seinen hohen Qualifikationen. Er konnte sich wirklich rühmen, denn er kannte wohl an die zehn Sprachen. Er war hier und dort gewesen. Er hätte Studenten unterrichten können, also das müsste die Klasse doch wohl zu schätzen wissen. Lieber unterrichtete er sie, obwohl so eine Ruta ihn daran zweifeln ließ, ob es denn auch wirklich Sinn habe, sich so zu opfern. Das Thema der meisten Unterrichtsstunden war er selbst, und

Frisuren. Ruta übergang er in dieser Beschau, und an solchen Tagen hatte sie ihre Ruhe. Sie übersetzte schnell und wäre bereit gewesen, wenn er nach dem Ergebnis gefragt hätte, aber lieber korrigierte er die ungenauen Translationen eines der Klassenadonisse, dessen Fehler er kommentierte: „Na gut, du hast wenigstens den Kontext begriffen. Bleib nach dem Klingeln noch hier, ich werde dir was zu lesen geben.“ Manchmal lud er auch zu sich nach Hause ein. Angeblich gab es dort Kaffee, und er borgte diesen lärmenden Banausen dann Bücher, Klassiker der Literatur, weil sie angeblich linguistisch begabt waren. Manchmal bot er ihnen sogar Alkohol an, wobei er diese Ausnahme von den Prinzipien damit begründete, dass sein Gast doch eigentlich schon erwachsen und daher besonders zu behandeln sei. Man ging lieber zu zweit zu ihm. Niemals wäre er weiter gegangen, das hätte er auch nur versuchen sollen! Der Perversling. Für alle Fälle wollten die Jungs ein Alibi haben, damit ihnen niemand etwas vorwerfen konnte. Ablehnen kam ja nicht in Frage, denn auch die Väter und Mütter hielten solche Einladungen für eine Auszeichnung. Zum Lehrer nach Hause! Aber besser zusammen mit jemandem.

Jahre später – als das alles nicht mehr wichtig war und sie sich einigermaßen auf Deutsch verständigen konnte, auf Ausflügen und im Ferienheim am Meer, das auch gern von Deutschen besucht wurde, die dieses Stück Küste als eine ihnen mit Gewalt entrissene Kolonie betrachteten, die vorübergehend von bummeligen Ansiedlern verwaltet wurde – begegnete sie ihm auf einer Party bei Bekannten von Kazik. Eine Fete mit Künstlern, vermutlich anlässlich einer Premiere, für die Kazik die Schauspieler frisiert hatte. Er stand in der Mitte des großen Zimmers, mit einem Glas in seiner kleinen Pfote, und redete über die Schule.

„Ich wollte den Lehrerberuf nicht aufgeben. Ich hatte Angebote, ich hätte an die Universität gehen können. Aber irgendjemand muss den Kindern doch die Grundlagen beibringen. Am wichtigsten ist der Anfangsunterricht, am besten gleich, sofort nach der Geburt. Natürliche Orientierung im Raum. Ich habe diese Methode seit langem angewandt, noch ehe ganze Lehrbücher darüber geschrieben wurden. Das Kind geht herum, es erkennt die Gegenstände und die grammatischen Beziehungen zwischen ihnen, und wir geben die Anreize. Es weiß gar nicht wie, da beginnt es schon in der anderen Sprache zu sprechen. Zwei auf einmal, das ist für ein Kind gar kein Problem.“

Sie stand neben ihm und hörte zu.

„Nicht jeder liebt solche Anreize“, wagte sie zu sagen. Er schaute sie interessiert an.

„Meinen Sie? Haben Sie denn Erfahrung auf diesem Gebiet? Mit Sprachunterricht?“

„Nein, entschuldigen Sie, ich habe das nur so gesagt ...“ Sie sah, dass er sie nicht erkannt hatte. Gern wäre sie in ihre Bank zurückgegangen.

Die Gastgeberin, eine Kundin von Kazik, erzählte ihnen ein halbes Jahr später, dass dieser verdiente Sprachlehrer, dieser große Polyglotte und Kenner der deutschen Dramaturgie gestorben sei. Er habe schon in den alten Zeiten unterrichtet, obwohl die deutsche Sprache damals noch misstrauisch beäugt wurde. Aber er hatte Mut. Er half ihnen im Theater, die deutsche Aussprache zu beherrschen, als sie an einem internationalen Theaterfestival teilnehmen sollten. Sie spielten wunderbar, waren gar nicht zu unterscheiden von denen, die diese Sprache

von zu Hause her kannten, und dank seiner Hilfestellung hatten sie sensationellen Erfolg.

„Kaffee bestellen konnten sie nicht auf Deutsch“, lachte sie, „aber auf der Bühne wie ein Berliner Ensemble“, und ihr Nacken bebte unter Kaziks Schere.

Er war an Kehlkopfkrebs gestorben. Zum Schluss konnte er nicht mehr sprechen. Seine Worte blieben unter den Stimmbändern gefangen.

47. Sylwia

Mutter eines Teenagers zu sein, sorgte stets für Abwechslung. Sie musste doch wissen, wofür Tomek sich interessiert, mit den Veränderungen der Sprache, der Idole, der Computertechniken und der Mode Schritt halten.

„Was denn für eine Blamage, Mama, wer sagt denn so was? Das sagt doch niemand mehr.“ Er gab ihr keinen Vorsprung, er brachte sie nicht auf das richtige Wort. Es ärgerte ihn, wenn sie mit ihm mithalten wollte.

„Die Mutter sollte sich verantwortungsbewusst verhalten“, erklärte er, als sie vorschlug, die Winterferien in den Alpen zu verlängern.

„Wir bleiben noch ein paar Tage, es liegt so viel Schnee, dass es schade wäre wegzufahren“, sagte sie beim Frühstück am Tag vor ihrer geplanten Rückkehr aus dem österreichischen Dorf. Aber gerade dort hatte sie kapituliert: sie hörte auf, so zu tun, als ob sie mit ihm Schritt halten könnte.

„Wir bleiben? Mama, am Montag ist wieder Schule.“

„Die Schule läuft dir nicht weg, ich schreibe dir eine Entschuldigung.“ Sie selbst hatte von ihren Eltern nie eine falsche Bescheinigung erhalten. Nur wenn sie Fieber hatte, brauchte sie nicht in die Schule zu gehen.

„Mach keine Witze. Ich jedenfalls habe nicht die Absicht zu bleiben. Sei doch mal ernsthaft.“

„Ich mache keine Witze, vielleicht bist du zu ernsthaft. Die Straße ist verschneit, da kann man doch wohl eine Verspätung haben.“

„Bitte, benimm dich wie eine Mutter! Und sag nicht ‚Verspätung haben‘, das sagt man bei Zügen.“

„Daneben. Im Zug sagt man ‚sich verspäten‘“, solche Kuriositäten kamen seit der Zeit ins Haus, als sie ein Zugeständnis gemacht hatte in der Frage der Erziehung ohne Fernsehen – das erste von einer ganzen Reihe, dabei war sie sowieso, wie sie jetzt sah, sinnlos konsequent und streng gewesen – sie setzte sich mit Tomek vor den Fernseher und sahen sich den „Teleexpress“ an. Denn sie liebten die Absonderlichkeiten, von denen am Schluss der Sendung berichtet wurde, und sammelten derartige Dinge in ihrer Umgebung, und jeder Treffer wurde mit einem Bonbon belohnt.

Sie wechselte einen vielsagenden Blick mit Tomek. Wie eine Mutter eben. Sie wusste, was es bedeutete, eine verantwortungsvolle Mutter zu sein. Gut durchdachter zusätzlicher Privatunterricht, vernünftige Ernährung, das Lesen von Büchern, und das Kind musste immer ernst genommen werden. Keinerlei Verrücktheiten, sondern der Aufbau eines Gefühls der Sicherheit aus bunten Bauklötzen. Lächelnde Eltern, gelöste Probleme, geplante Bildung, genug Vergnügen, wenig Anforderungen. So viel davon, bis er begann sich zu entfernen. Er hatte nun seine eigenen Angelegenheiten. Im Kindsein hatte er Perfektion erlangt und wollte nun mehr.

Sie kannte nicht mehr genau den Ablauf seiner Beschäfti-

gungen, seiner Gedanken und Wünsche. An den Tagen, als er seine neue Frisur zu lange vor dem Spiegel ordnete und keine Zeit mehr hatte für ein Küsschen begann er aus dem Haus zu rennen und ein „Tschüss, Mama!“ über die Schulter zurückzurufen. Fragen nach seiner Klasse, nach Freunden und Freundinnen mochte er nicht gern. Besonders was die Mädchen betraf. Sie bewegte Tomek dazu, ein Männergespräch mit ihm zu führen. Er kam belustigt zurück.

„Und?“, fragte sie.

„Wonach fragst du?“ Das erste Aufklärungsbuch hatten sie ihm gekauft, als er gerade erst zu lesen begann.

„Wollte er denn nicht mehr wissen?“

„Wie denn mehr, sie behandeln das doch alles im Biologieunterricht.“

„Ach, ich meine doch nicht die Zygote, es geht mir um die praktische Seite.“

„Was denn? Sollte ich ihm etwa zeigen, wie man ein Kondom benutzt? Bitte, beherrsche doch mal deinen Mutterinstinkt. Alles kommt zu seiner Zeit.“

„Mutterinstinkt? Du weißt doch, dass es mir darum geht, offen über Sex zu sprechen, damit er in dieser xenophoben Gesellschaft weiß, was er denken soll.“

„Mach keine Witze, wir wollen doch nicht die Richtung seines Denkens bestimmen. Lass ihm Zeit und etwas Raum für seine eigenen Dilemmata, nicht deine. Xenophobie und Kondome?“, er tat, als würde er sich Sorgen machen über ihren Geisteszustand.

So konnte sie die Sache nicht stehenlassen. Sie versuchte selbst mit ihm zu reden.

„Wenn dir jemand gefallen sollte, weißt du, jemand wirklich ganz doll ...“

„Meinst du ein Mädchen?“

„Nicht unbedingt, aber okay.“

„Mama, ich bin nicht schwul“, sagte er gelangweilt, und nur die angelernte Höflichkeit erlaubte ihm nicht, das Zimmer zu verlassen. Höflichkeit und Nachsicht.

„Das weiß ich, das heißt, das denke ich, aber man weiß ja nie. Es geht darum, dass Liebe schön ist, nur sicher muss sie sein.“

„Mama, du kannst ganz beruhigt sein. Wenn ich Rat brauche, werde ich fragen. Dräng mir bitte deine Hilfe nicht auf. Eine Mutter sollte nicht über Sex reden.“ Das verschlug ihr die Sprache. Also so sah er das. Sie hatten ihn liberal erzogen, ihm Offenheit beigebracht und ihn ihrer Partnerschaft versichert – und er wollte in der Mutter eine Mutter und im Vater einen Vater haben. Es schmerzte sie, dass er bald fortgehen würde. Er würde studieren, von zu Hause ausziehen. Das sah sie ihm schon jetzt an. In seinen Kleidergrößen, in der Menge der gegessenen Portionen. Sie wollte ihm das ja auch nicht erschweren. Sie schätzte das eigene Leben, und in der Familie respektierte sie die Autonomie eines jeden. Sie verstand die Notwendigkeit, das Kind loszulassen. Ja, sie begünstigte diese Ablösung. Sie lehrte ihn Selbstständigkeit, wartete geduldig, bis er selbst seine Suppe aß, sich selbst die Schnürsenkel zuband, selbst seinen Rucksack packte, selbst die Treppe hinunterging, selbst den Skiabhang herunterglitt. Er begann sie zu überflügeln, alles machte er schneller und bestätigte damit die Effektivität der angewandten Erziehungsmethode. Er war gewandt, klug und offen. Nicht so verschlossen und vorsichtig wie sein Vater. Er konnte seine Gefühle zeigen,

auch seine Schwächen, gegen die er ein Mittel fand, in dem er sich noch mehr anstrengte. Er trainierte, joggte, lernte die nächste Sprache. Kaum war er dreizehn Jahre alt geworden, sah er schon aus wie ein Mann. Die Etappe der unkoordinierten Bewegungen, der Traurigkeiten und Pickel brauchte er nicht zu durchlaufen, überhaupt nicht. In den Jahren darauf löste er problemlos alle schulischen Kompetenztests und gewann Sportwettbewerbe. Um so mehr fürchtete sie den Tag, wenn er nicht mehr in seinem Zimmer schlafen würde, wenn sie ihm nicht mehr sagen würde, was er aus dem Kühlschrank nehmen sollte. Den Tag, an dem er zum ersten Mal fallen würde, schlimmer als einst im Sandkasten. Wenn er starke Schmerzen haben und nach einem schmerzlindernden Mittel greifen würde. Nicht nach ihrer Hand, ihrem Mund, ihrem Atem, nach Kompresse, Apfel oder Taschentuch. Nicht von ihr würde er das Allheilmittel annehmen. Sich nicht bei ihr ausweinen. Sondern die Tür seiner vorigen Inkarnation zuschlagen und selbst seinen Weg wählen. Verletzt würde er in den offenen Raum hinauslaufen oder seinen Kopf an irgendjemandes Schulter lehnen. Ihr Innerstes brannte von diesem Vorgefühl des Verlustes. Ältere Kolleginnen hatten ihr manchmal von so etwas erzählt.

„Am wichtigsten ist doch, dass sie glücklich sind“, und holten Fotos ihrer Kinder hervor, im Hintergrund Städte, Denkmäler, Studentenzimmer, Verlobte.



46. Рута

У неї були б проблеми з новою мовою. Казик товкмачив:

– Рутка, в чому проблема? Ось, поглянь, у тебе є книжка. Вивчиш граматику. Трохи слів. Від клієток навчишся ще кількох. Спочатку не мусиш з ними багато розмовляти, усе вийде само собою.

– Йому було легко говорити. Він учився в хорошій школі й університеті, батьки подбали також про приватні уроки. У неї вдома вважали, що російською можна замінити усі мови світу, зрештою, це теж була іноземна, лише повсюдна. Батьки були праві, але не змогли передбачити майбутньої експансії цієї мови. Російську вчили в усьому світі, в лазнях Туреччини та ювелірних салонах Амстердаму. І що з того? Рута не хотіла купувати, вона хотіла продавати послуги, а для цього мусила володіти відповідною кількістю слів. Вітек був підготований краще: він читав американські комікси, перекладав тексти англійських пісень. Для магістерської роботи перебрав цілий стос іншомовної літератури. Вони сміливо могли їхати, справжні троє мушкетерів, у тому числі одна симпатична тьолочка – сумнівні нейтралізувалися вином та сміхом.

– Зрештою, наших там достатньо, наших і росіянок. Ти лише чесатимеш їх, а я візьму на себе інші розмови, – бавився він її волоссям у недільні ранки. Вона лежала нерухомо, щоб дати свободу потокам, викликаним цими пестощами.

– Не знаю, у перукарстві розмови важливі...

– Люба, з часом ти навчишся розмовляти, а на початок їм вистачатиме твоїх гарних ручок, – він

Hochzeitsfotos und touristische Bilder, alltägliche und feierliche. Man durfte keine übertrieben fürsorgliche Mutter sein, sondern man musste sich der Erfolge der weit entfernt lebenden, selbständigen Kinder rühmen. Das wusste sie, aber dieses Wissen heilte nichts, erleichterte nichts.

Wenn sie selbst verreisen musste, rief sie ihn zweimal täglich an: am Morgen, um ihn nach seinen Plänen zu fragen, und am Abend, um ihre Erfüllung zusammenzufassen. Seine Stimme, die der seines Vaters so sehr ähnelte, erlaubte ihr dann tiefer durchzuatmen. Sie wollte die Nabelschnur nicht durchtrennen, obwohl sie seit langem auf diese Operation vorbereitet war. Ein gutes Dutzend Jahre lang hatte sie Tomek in ihrem Inneren getragen, ihn sozusagen auf ihrem Fruchtwasser geschaukelt. Die notwendige Trennung, das wusste sie, würde unnötige Nervenverbindungen in ihrem Körper hinterlassen, mit Phantomschmerz ausgefüllte Gefühlsverflechtungen.

Sie ließ ihn in den Ferien bei ihren Eltern, sich selbst zum Trotz, um auszuprobieren, ob sie auch ohne ihn leben konnte. Ob sie einst, in der Zukunft, damit klarkommen würde. Ein misslungener Versuch. Das war etwas anderes als die Trennung, die kommen würde. Tomek amüsierte sich dort köstlich und plante dann seine Rückkehr.

[Übersetzung: Herbert Ulrich]

усе ще хотів узяти її з собою. Вона й далі пасувала до його життєвих планів.

Учитель німецької заходив до класу дрібними кроками. Про нього ходили різні чутки. Він був іншим. Педик. Хлопці не хотіли залишатися з ним наодинці в класі. Дівчат не любив, завжди мав до них якісь злостиві зауваження. Особливо сіреньких, наляканих власною неспроможністю і браком слів. З гарними, яких завжди оточували друзі, укладав пакт про ненапад.

– Боїться чіпати не своє, – безкарно жартували з нього, виходячи випалити цигарку в браму поблизького будинку. У класі вони дружно реготали, коли той знаходив жертву й розпочинав ескекцію. Він міг розраховувати на допомогу інших.

Для Рuti не було в цьому нічого смішного. Вечорами вона товкмачила слова й граматику. Виписувала їх на картках кольоровими фломастерами; у неї була власна схема – предмети побуту, продукти, власні назви. Дієслова. Модальні дієслова. Ступені порівняння прикметників. Російська була начебто й важчою, та все ж російські слова були тісно пов'язані зі справжнім виглядом речей. Зрослі з побутом. Нормальні. Німецькі просто гвалтували простір, скручували криві, перевертали уяву про меблювання кухні й кімнати. Усі ці „унтер“, „двішен“, вона не знала, де розмістити серед них себе. Німець обожнював це робити, перевертати її в кухонному просторі, підтинати її ноги дорогою до лампи, що висіла під стелею. Казав: швидко, швидше, фройляйн! – а вона виходила з-за парти, перечіплюючись об сумки на підлозі; йшла як на страту.

– Побачимо, чи реагує вона на завдання, – повідомляв німець, викликаючи у класі шквал сміху. Найголосніше сміялися ті, що були під захистом, гарніші, намальовані, вбрані в неприпустимо короткі спідниці. І ті хлопці, яких він залишав після уроків, щоб додатково вправлятися у мовному полігоні, – казав він, – вам потрібен серйозний мовний полігон.

– Ось опинитесь ви на вулиці в гарному ФРН-і, і що? Будете мекати, читати по губах? Перекладати на нашу мову в порожніх головах? Ні, треба швидко реагувати, ви мусите реагувати, як собаки Павлова, що біжать за сукою.

Найгіршими мали б бути уроки математики, та вони найгіршими не були. Сонний математик терпляче виправляв її недоладні рисунки, коригував помилки в обчислюванні. Відпустив. Наступний рисунок, який вона приносила, був уже кращий, у класі вона не робила дрібних помилок, розуміла правила. Вчитель хвалив її, питав, яку середню школу вона бере. У неї були непогані бали. На педагогічних радах на її прізвищі не затримувались. Дивні сигнали походили з німецької.

– Може, ви дасте їй шанс покращити оцінку? – питала вчителька російської. Неможливо, щоб вона була такою слабкою, бо якщо вже хтось здібний у гуманітарних науках...

– Може, у вас Рута й має якісь здібності, але з німецькою вона не опанувала основного. На мою думку, вона не має здібностей, – обривав він, не заохочуючи до подальших розмов і фліртувати з учителькою біології, бо фліртувати, всупереч уявленням про нетрадиційну орієнтацію, він любив.

Отож, із-за парти вона виходила невпевнено, йшла до дошки повільно, похитуючись, відтягуючи мить, коли прозвучить запитання, хоча німець використовував цей час для підкручування жартів. Він говорив усі ці огидні речі про її незграбний задок, про її короткозорість, про її недочування, через яке вона мусила користуватися апаратом – німецьким, але якщо батьки їй його куплять, вона однаково не зрозуміє інструкцію. Питав, чи добре вона спала вночі? Не заважала книга під подушкою? Вона, звісно, не вплинула на її нульовий рівень знань. Клас гудів голосніше, підкручений його белькотом старого радіо з двома ручками. Він завжди міг переклочитися на інші хвилі, зауваживши когось хто роззвалися на останніх партах, нахабних, малих ослів, які вміли захищатися примітивними діалогами, виразами, вивченими під час канікул у батька, який сидів десь там, де можна було вчити німецьку, мову смертельного ворога, – якщо під час війни був відповідний паспорт. В усякому разі, радянській людині наука фашистів була непотрібна, хіба що це мова інтернаціоналістів з НДР. Велів повторювати про продуктивну співпрацю, бо часи були цивілізовані.

Він будь-коли міг наказати витягнути листочки, зробити контрольну на три бали, відмінювання, слова і короткий діалог на якусь життєву тему. Треба було підтримувати його в галопі супроти ослабленого ворога, довести, що вони заслуговують на виставу.

Вивчені протягом тижня слова зачиналися всередині, деякі з них діставалися гортані і лише грузли, перетворювалися на безформну гулю,

душили. Довгі й короткі, прийменники й складні слова. Вона вже знала, що не зможе сказати нічого. У голові крутилися цілі речення, читанки, сторінки з газет, сцени з недубльованих фільмів. Усередині було перенасичення, надмір, вона могла б розповісти чимало, та не знала, у який бік повернутися, до кого говорити? Німець заповнював цілий клас, його тоненький голосок мужнів, набирав найвищих обертів. Хвиля оплесків підносила його над підлогою, і він починав від такого.

– Ми маємо для панянки малюночок як для дітей з садочку – казав він, звертаючись до найгарнішого хлопця в класі.

– Наша мудрагеля розповідь нам про вмєблювання кухні. Ми не питатимемо з підручника про сільське господарство в НДР, у цьому підручнику надто складна лексика. Запитаймо про стіл і лампу, так?

Клас ревів:

– Так, так, запитаймо!

Інколи він просив про це одного з хлопців: – Питай її, у мене немає сил, – казав він, стоячи навпроти. – Повтори їй, вона не розуміє моїх запитань. Віденський акцент.

Отож, знову цей малюнок. Перед очима Руті крутився світ, вона не відрізняла стелі від підлоги, плутала праве й ліве.

– Сідай, щоб я тебе не бачив. Боже, мені що, працювати з нею після уроків? Ви маєте нагоду вчитися мови Гете, слухати уроки, яких не слухає будь-хто, які ви отримуєте задурно, і що? – він закликав клас у свідки своєї доброї волі. – Я мушу її підтягувати, бо вона занижує наш рівень. Але чи маю я час на вивчення основ? Чи не шкода моєї освіти? – він зводив з неї очі, переключаючись на ромову про себе. Російською, щоб було зрозуміло, говорив про свою високу кваліфікацію. Він і справді мав чим похвалитися. Знав, мабуть, з десяток мов. Багато де побував. Він міг би вчити студентів, тож вони повинні його цінувати. Та він воліє вчити їх, хоч через таких як Рута він втрачає віру в сенс покликання. Він сам був темою більшості уроків, під кінець казав записати тему, виголошував кілька речень майже бездоганною, вишуканою німецькою, з пом'якшенням, яке могло б видатись віденським акцентом. Давав завдання.

Інколи, коли у нього був поганий настрій, роздавав їм старі німецькі журнали і казав перекладати, ходячи класом і роблячи дотепні зауваження на предмет їхнього вбрання, кольорів шкільного приладдя, нових зачісок. Під час таких переглядів Руту він оминав, у ці дні вона мала спокій. Перекладала вона швидко і була готова, якщо б він спитав її про результат, але він волів виправляти неточний переклад когось із красунчиків, коментуючи помилки:

– Ага, добре ловиш контекст. Це найважливіше зрозуміти. Залишися після дзвінка, я дам тобі щось почитати. Бувало, що запрошував додому. Частував кавою, позичав книги, художню класику цим галасливим неукам, начебто здібним до мов. Інколи навіть пропонував їм алкоголь, аргументуючи це відхилення від принципів особливим ставленням до гостя, як до дорослого. Вони намагалися ходити до нього по двоє. Ні, він нічого такого собі не дозволяв. Відмовлялись

не пасувало, так вважали і батьки, і матері, це почесно. Бути в гостях у вчителя. Але краще з кимсь.

Кількома роками пізніше, коли це втратило значення, а німецькою вона від біди могла порозумітися на екскурсіях і у відпочинковому будинку на морі, куди приїжджали німці, сприймаючи цей шматок узбережжя як насилу відібрану колонію, на якій тимчасово мешкають мляві поселенці, – вона зустріла його в гостях у Казика. Якась вечірка з митцями, чи не з нагоди прем'єри, на яку Казик робив зачіски акторам. Той стояв у центрі великої кімнати, з келишком у маленькій долоньці і розводився про школу.

– Я не хотів залишати вчителювання. Мені пропонували йти в університет. Та хтось мусить учити дітей основ. Найважливіше – навчитися початків, найкраще одразу, від народження. Природне орієнтування у просторі. Я ці методи застосовував уже давно, ще коли про них не писали підручників. Дитина ходить, упізнає предмети і граматичні зв'язки між ними, ми її скеровуємо. Навіть не усвідомлюючи, дитина починає говорити іншою мовою. Двома одразу, для дітей це не проблема.

Вона стояла збоку, слухала.

– Не всі люблять такі чинники, – зважилася сказати вона. Він глянув на неї з цікавістю. – Ви так гадаєте? Можете поділитися досвідом? Викладаєте?

– Ні. Перепрошую, я лише... – вона знала, що він її не впізнав. Їй захотілося втекти за парту.

Господина вечірки, клієнтка Казика, сказала їм півроку по тому, що він помер – той заслужений вчитель мов, той великий поліглот і знавець німецької драматургії. Він викладав ще в старі часи, коли до німецької ставилися з підозрою. Був відважний. Допомігав їм у театрі опановувати німецькі інтонації, коли вони мали брати участь у міжнародному театральному фестивалі. Вони були неперевершені, годі було відрізнити їх від тих, хто говорив німецькою вдома. Завдяки його настановам усе пройшло чудово.

– Вони кави не могли замовити німецькою, – сміялася вона, – але зі сцени, наче якийсь Берлінер Ансамбль, – у неї тремтіла шия під ножицями Казика.

Помер він від раку гортані. Наприкінці не розмовляв. Слова грузли в голосових зв'язках.

47. Сильвія

Бути мамою підлітка було весело. Вона мусила знати, чим Томек цікавиться, встигати за змінами в мові, кумирах, комп'ютерній техніці й моді.

– Який рагулізм, мамо, хто так говорить?

Ніхто так не говорить, – він не давав фори, не підказував потрібних слів. Нервував, коли вона намагалася бути з ним рівною.

– Мати мусить поводитися відповідно, – повідомив він, коли вона запропонувала продовжити зимовий відпочинок в Альпах.

– Залишимося на кілька днів, випав такий сніг, що шкода виїжджати, – сказала вона під час сніданку за день до повернення з австрійського села, хоч саме там капітулювала: перестала вдавати, що за ним устигає.

– Залишимося? Мамо, в понеділок школа.

– Школа не втече, я напишу пояснювальну, – сама вона ніколи не отримувала від батьків липових довідок. Лише температура могла звільнити від школи.

– Не жартуй. Принаймні я не маю наміру залишатися. Будь серйозна.

– Я не жартую, може, це ти надто серйозний.

Дороги замело, можна прибути із затримкою.

– Прошу, поведь себе як мама! І не говорять «прибути із затримкою», так кажуть про потяги.

– Фігня. Про потяги кажуть «прибуває з запізненням».

Вони приносили такі чудасії додому, відколи вона пішла на компроміс у справі виховання без телевізора – першого з цілої серії компромісів. Як тепер виявилось, вона й так була надто послідовною й суворою. Сідала з Томеком перед «Телеекспресом». Вони любили ту рубрику цікавинок наприкінці програми, вишукували схожі доволка себе, винагороджуючи трофеї цукерками.

Вони з Томеком багатозначно Perezирнулися. Вона знала, що значить бути відповідальною матір'ю. Сплановані заняття в позаурочний час, здорове харчування, читання книжок, сприйняття дитини як дорослого. Ніякої нерозважливості, будівання відчуття безпеки з кольорових кубиків. Усміхнені батьки, вирішені проблеми, заплановане навчання, багато розваг, чималі вимоги. Стільки всього, що він почав віддалятися. Мав власні справи. У бутті дитиною досягнув досконалості і хотів більшого.

Вона вже не знала напевне його розкладу, кожної його думки, прагнення. Він почав вибігати з дому, кидаючи через плече «па, мамо», у дні, коли дуже довго вкладав волосся перед дзеркалом і не мав часу на поцілунок. Не любив питань про школу, друзів, подруг. Особливо про подруг. Вона намовила Томека, щоб порозмовляв із ним як чоловік з чоловіком. Після розмови повернувся веселий.

– І що? – спитала вона.

– Про що ти питаєш? – першу ознайомчу книжечку вони купили, коли він починав читати.

– Він хотів дізнатися більше?

– Яке там більше, їх цього вчать на біології.

– Я ж не про зиготу, йдеться про

практичні речі.

– А що? Я мав навчити його користуватися презервативами? Прошу, опануй свій материнський інстинкт. На все свій час.

– Материнський інстинкт? Ти ж знаєш, я маю на увазі відкрите трактування сексу, щоб він знав, що має думати у цьому ксенофобському світі.

– Не жартуй, ми не можемо намалювати йому хід думок. Дай йому час і трохи простору на його власні, а не твої справи. Ксенофобія і презервативи? – він вдавав занепокоєння її роздумами.

Вона не могла погодитися з таким поворотом справи. І спробувала сама з ним порозмовляти.

– Коли тобі хтось подобається, ну знаєш, справді дуже сильно...

– Ти про дівчину?

– Необов'язково, але так.

– Мамо, я не гей, – він нудився, природна ввічливість не дозволяла йому вийти з кімнати. Ввічливість і поблажливість.

– Я знаю, тобто, я так думаю, але ніколи не відомо. Йдеться про те, що кохання прекрасне, але воно мусить бути безпечним.

– Не хвилюйся, мамо. Я запитаю, якщо потрібна буде допомога. Не нав'язуйся мені з цим. Мама не має говорити про секс.

Її заціпило. Ось як він це бачить. Вихований у лібералізмі, у запевненнях партнерства, звичний до відкритості, він хотів бачити матір у матері і батька у батькові.

Їй боліло, що незабаром він піде. Поїде на навчання, залишить дім. Вона вже бачила це в ньому. У розмірах одягу, об'ємах спожитих порцій. Вона не хотіла йому цього ускладнювати. Цінувала власне життя, у сім'ї поважала автономію. Розуміла невідворотність відділення дитини. Сприяла цьому відділенню. Учила його самостійності, терпляче чекала, поки сам з'їсть суп, сам зав'яже шнурівки, сам складе портфель, сам зійде сходами, сам зійде з гір. Він почав її обганяти, робив усе швидше, доводячи ефективність використовуваних методів виховання. Був точним, мудрим, відвертим. Не таким закритим та обережним, як батько, вмів виявляти почуття і слабкість, ліки від якої знаходив у прикладанні більших зусиль. Тренувався, бігав, учився чергової мови. Йому було лише тринадцять, а він виглядав як чоловік. Не проходив через етап нескоординованих рухів, суму, прищів, нічого такого. Входив у наступні роки, безпомилково розв'язуючи шкільні тести і виграючи у спортивних змаганнях. Тим більше вона боялася того дня, коли він не спатиме у своїй кімнаті, коли вона не скаже йому, що взяти з холодильника. Дня, коли уперше впаде, сильніше, ніж у пісочниці. Коли його сильно заболить, і він захоче чогось заспокійливого. Не її руку, губи, дихання, компрес,

яблуко, хустинку. Не від неї отримає панацею. Не біля неї заплаче. Гримне дверима колишнього існування, обере дорогу. Поранений, вибіжить у відкритий простір або сховає голову під чийось плечем. Усередині неї все розривалося від цього передчуття втрати.

Старші подруги інколи розповідали про це.

– Головне, щоб вони були щасливі, – витягали знімки дітей на тлі міст, історичних пам'яток, студентських кімнат, наречених. Шлюбні й туристичні, щоденні й урочисті. Не можна було надмірно опікуватися, слід було пишатися успіхами дітей, віддалених, самостійних. Вона все це розуміла, але це знання нічого не загоювало, не допомагало.

Коли вона сама кудись їхала, дзвонила двічі на день: уранці, щоб спитати про плани, увечері, щоб підсумувати їхнє виконання. Його голос, такий схожий на батьків, дозволяв їй глибше дихати.

Не хотіла перерізати пуповину, хоч була готова до цієї процедури віддавна. Кільканадцять років носила Томека в собі, колисала його в плодкових водах. Перерізання назавжди – вона це знала – залишить на її тілі непотрібні нервові з'єднання, чутливі зрости, наповнені фантомними болями.

Віддала його до батьків на канікули, всупереч собі самій, перевіряючи, чи зможе вона жити без нього. Чи колись, у майбутньому, дасть собі раду. Це було щось інше, ніж його близький відхід. Томек чудово проводив час і планував повернення.

[Переклад: Христина Стельмах]

INGA IWASIÓW (1963, Polska) – profesorka literaturoznawstwa, dyrektorka Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa oraz Zakładu Literatury XX Wieku na Uniwersytecie Szczecińskim. Redaktorka naczelna Szczecińskiego Dwumiesięcznika Kulturalnego „Pogranicza”, krytyczka literacka i pisarka. Autorka m.in. książek *Opowieść i milczenie. O prozie Leopolda Tyrmanda* (2000), *Rewindykacje. Kobieta czytająca dzisiaj* (2002), *Gender dla średnio zaawansowanych* (2004, 2008), *Parafrazy i reinterpretacje. Wykłady z teorii i praktyki czytania* (2004), poezji *Miłość* (2000), *39/41* (2004), a także prozy *Smaki i dotyki* (2006), *Bambino* (2008, finał nagród Nike, Angelus, Gdynia, Cogito) i *Ku słońcu* (2010). Prowadzi bloga ingaiwasiow.pl. Mieszka w Szczecinie.

ІНГА ІВАСЮВ (1963, Польща) – професорка літературознавства, директорка Інституту полоністики та культурології й кафедри літератури ХХ століття у Щецинському університеті. Головна редакторка щецинського культурного двомісячника «Pogranicza», літературний критик, письменниця. Написала, зокрема, праці *Оповідь і мовчання. Про прозу Леопольда Тирманда* (2000), *Реституції. Жінка, що читає сьогодні* (2002), *Гендер для середнього рівня* (2004, 2008), *Парафрази та реінтерпретації. Лекції*

з теорії та практики читання (2004), збірки поезії *Любов* (2000), *39/41* (2004), а також прозові книги *Смаки й дотики* (2006), *Бамбіно* (2008, фінал премій NIKE, «Ангелус», «Гдиня», «Cogito») та *До сонця* (2010). Веде блог ingaiwasiow.pl. Живе у Щецині.

INGA IWASIÓW (1963, Polen) – Professorin für Literaturwissenschaft, Direktorin am Institut für Polonistik und Kulturwissenschaft, sowie am Institut der Literatur des 20. Jahrhunderts an der Universität Stettin. Chefredakteurin der Stettiner Zweimonatsschrift „Pogranicza“, Literaturkritikerin und Schriftstellerin. Autorin von u.a. *Erzählung und Schweigen. Über die Prosa von Leopold Tyrmand* (2000), *Rückgabe. Die lesende Frau heute* (2002), *Gender für mittelmäßig Fortgeschrittene* (2004, 2008), *Paraphrasen und Neuinterpretationen. Vorträge über Theorie und Praxis des Lesens* (2004), des Gedichtbandes *Liebe* (2000), *39/41* (2004), und der Prosabände *Geschmäcker und Berührungen* (2006), *Bambino* (2008, Finale im Wettbewerb für den Nike-Literaturpreis, den Angelus-Preis, den Literaturpreis der Stadt Gdynia, den Cogito-Preis) und *Der Sonne entgegen* (2010). Sie führt ihren Blog: ingaiwasiow.pl. Sie wohnt in Stettin.

OMERTÀ

Ця країна нагадує бесаги. Бесаги якогось вічного блукальця, втікача, мандрованого, який все своє носить зі собою, а по дорозі визбирує ще й те, що трапиться, вкидаючи у ті ж бесаги. Там є все. Трохи їжі, інструменти, теплі шмати, знайдений непотріб, який колись міг би пригодитися, якби трапилася нагода, аби щось могло пригодитися, вирвані сторінки випадкових книжок, якась подоба пістоля-самопалу, родинні реліквії і образки різних святих, щось на продаж, недоторканий запас тютюну і сухарів на випадок цюпи, кілька золотих монет і банкноти різних держав, котрі вже вийшли з обігу. Багато всякого різного. Бесаги переобтяжені. Те, що легко взялося на плече, виявилось надто важким, коли дорога довга і нерівна. Але полегшити ношу годі, шкода хоч щось викинути. Раз за разом бесаги доводиться перекидати з плеча на плече, або перевешувати на тому самому плечі то перед назад, то зад наперед. Наповнена важким тканина не гризе у плечі, але тягар постійно переважає у якийсь бік. Від швидкої ходи бесаги ритмічно гичкають, б'ються об спину і живіт, збивають дихання. Поскидані у бесаги речі натовкають гострими кутами синці між ребрами. Те, що всередині, також товчеться. Сирватка з грудки сиру розмиває чорнило на пожовклих документах. Щось розбилося і з нього розтеклося. Запахи перемішалися. Кукурудзянку доведеться струшувати з фасолі.

До того ж дощі, які не стримує тканина, колочі гілки, які зачіпаються і деруть намоклу тканину. Щось висипається, а залатати нема чим, нема коли, нема чого. У бесагах є багато всього. Але знайти те, що потрібне якраз тепер, неможливо. Можна запхати руку і намагатися намацати. Можна витягнути те, що потрапило у руку. Врешті виявиться, що без чогось такого можна обійтися. А якщо справді припече, то треба висипати все. Саме так знаходиться необхідне. Тим часом інше – воно завжди викликає здивування, ніколи не пам'ятав, що є щось таке цікаве – поскидати назад до торби. Бо у бесагах нема ніяких поличок, шухлядок і переділок, щоби вдалося своє добро якось розсортувати. Та й навіщо, якщо ті бесаги або заберуть розбійники, або вони зотліють поруч із тобою десь під снігом чи на дні провалля і хтось впізнає твої кості якраз за вцілілим фрагментом витканого узору. Ця країна подібна на бесаги ще й тому, що слова бесаги не знає більшість людей у країні, яка на бесаги подібна. Українсько-українські словники, якби так хтось до них вдався, доводять пошук значень до того рівня абсурду, який є у цій країні правдою. Бесаги – каже перший – це подвійна торба. Торбу

також не всі зрозуміють. Тому торба – прояснює інший – безвихідне становище (перше значення) або цілковита наркотична залежність. А ще й подвійна торба. Ця країна так само подібна на яблуко, повішене на нитку, яке потрібно вкусити без допомоги рук. І на грушку, під якою лежиш на траві, чекаючи, заки вона сама впаде до рота. І на все інше, навіть на васервагу. Шкода лишень, що вона сама не є чимось таким, на що подібна хоча би грушка. Люблю Архипенка. Він побачив суть своєї країни, яку зумів показати у скульптурі. По-перше, правдивою формою є не постаті, не фігури, не посудина, а той простір, який між ними. Форма простору між є значнішою. Те, що здається відкритою порожниною, наскрізним отвором, перетворюється завдяки обмеженості сусідніх непритиснених форм у незалежну визначальну форму. Навіть у доторку тіл щось третє, спільне народжується не через опуклості, а через увігнутість. По-друге, скульптура може бути поліхромною. Тобто розмальованою. Ця країна подібна на те, що висипали з бесагів, коли шукали чогось потрібного. Все, що є у ній – висипане, а не викладене. Велику мішанину переповненого мішка просто висипали на купу. Тому вона виглядає так непорядковано. Тому вона така мальовнича. Діти порозкидали забавки. Хати, міста, заводи, греблі, паркани, колії, кіоски, будки, вагончики, колочі дрого, лінії електропередач, бурові вежі і вежі підтримки мобільного зв'язку – все ніби звідкись впало і стоїть там, де стоїть, тільки тому, що там упало. Тут дуже багато розсипаних дерев і кущів. Добрий клімат, і дерева ростуть самі й усюди. Їх не треба пильнувати, від них нічого не потрібно, вони роблять красу, але, якщо вийде якось по-іншому, то їх безжально зріжуть, зрубують або спалять. Купки і ряди дерев – цілком наразі неужиткових – які розлазяться, як бур'яни. Окрема ознака – окремі поодинокі дерева. Їх наносять на топографічні карти, навіть на військові, знаючи, що такі орієнтири протримаються довше, ніж церкви, цвинтарі і господарські будівлі. Цю країну дуже добре пізнавати, спираючись на флористику. Це те, що я знаю, але флористичні методи виявляються основними. Випадкові дерева перестають бути випадковими. Хоча би тому, що їхню хаотичність ніяк не можна пояснити. Якщо хочеш щось знати, то дізнавайся про те, як є. Питання – чому так є, чому є так, відразу все убиває. Нічого більше не дізнаєшся. Є бо є. Так мусить бути. Україна рослинна. Не даремно кажуть – на зеленій Україні. Україна – це частина ботаніки. Рослинна стратегія найкраще відповідає нашій тихій експансії. Рослинне виживання – запорука нашого існування. Ми дуже нагадуємо гірську луку. Ми на ній квіти. Ми усі разом на якійсь луці. Але ми – це кількадесят зовсім різних видів, яким тут затишно. І мільйони окремих квіток і зел різних видів, які тут можуть бути. Через розмаїтість

неможливо говорити про якусь єдність, ми не кавова плантація. Але ми тут, ми на цій полонині. У нас досі найбільше довіряють власному досвіду. Більшого від цього нема. Від власного досвіду залежить ставлення до своєї країни. У цьому сенсі ми неймовірно індивідуалісти. Спільного виробленого переживання ще замало, щоби переважити те, що я собі знаю. Як квітки, до яких прилітають їхні джмелі. Але у нас ніхто не може бути вільним від свого краю, від своєї країни. Кожен мусить багато разів сказати так, або так само багато разів – ні. Або так, ні, і так. Коли я хочу себе помучити, то починаю думати про своє українство і про свою Україну. У кожному разі потрібно визначитися самому, бо країна не дає жодних настанов. Її нема там, де вона є. Вона найбільше є власне там, де її нема. Шукай свої ключі, бо вона ні до чого не зобов'язує, але тримає кожного, хто подумає хоч би щось. І тоді – торба. Зрозуміло, що щось незрозуміле тримає. Але незрозуміло – що приваблює інших. Чого тут шукають, чого сподіваються, вона ж – як прокляті бесаги. Краще не брати на плечі, бо заморишся нести, а віддати вже не буде кому. Ця земля така гарна, що її хочеться мати. Тим більше, що лежить при дорозі, тим більше, що ніхто аж так не противиться. Бери, май, май більше. А тоді вона висипається, своєю великою дірою перетворює найвеличніші завоювання на марний подвиг, на купи і ряди неужиткових дерев, які розростаються, як бур'яни. Тут ніяк не прижилося те садівництво і городництво, та паркова культура, яка робить Європу Європою. Бо Європа – це передовсім безмір закладених зусиль у цілком непотрібні речі, травники, парки, утеплені на зиму дерева, всілякі ретельні і регулярні обрізання, безмір людей і часу, щоби всі рослини виглядали так, як треба. У нас на таке сил не тратьте. Ліс сам росте. Велика мудрість, яку, на жаль, неможливо застосовувати до пшениці, а тим більше до картоплі, з якою так багато мороки. Натомість нашу повагу викликають різні щеплення. Сортові щепи на дичку, кілька сортів на одному дереві і так далі. Флористика мала би приводити до побожності. Якщо Бог сотворив і цикорій, і подорожник, і ще триста окремих рослин, які живуть на цій полонині, то Він знав, що робив, і так чомусь треба, так мусить бути. Натомість українська сутність ніколи не була однозначно побожною. Через це – всі ці вагання, ця невпевненість у оправданості свого існування. Постійно потрібно якихось аргументів, що ми не гірші, що у нас багато чого навіть найкраще у світі. Так, ніби ми не знаємо, що є і порічки, й ожини (у нас – десять самостійних підвидів), і ніщо не заперечує інше, але ніщо не виглядає і не смакує так само. Гордість агресу не в тому, що агрес найкращий і не в тому, що він найбільше вистраждав, а в тому, що

нічим іншим крім агресу він не є і бути не може. Така проста річ не укладається в те, що можна назвати українським пошуком самоідентифікації. І це мене дратує найбільше. Як вияв цілковитої неграмотності. Пощо шукати оправдання свого існування, якщо ти вже є. Надто просто, занадто побожно, дуже прозоро. У нас прозорості не люблять, вона здається підозрілою і небезпечною. Краще плисти ближче до намулу, у темній воді не так все видно. Ми не любимо показуватися наскрізь, існує якась вроджена нехтіть до очевидного. Наш край найгарніший тоді, коли освітлення мінімальне. Якись світанки, сутінки, тумани, хурделиці, нічні лямки і феєрверки. Краще дивитися на світ і на себе крізь умбри, тоді не так виразно видно усі недоладні, недбало зроблені деталі. Навіть зруби при місячному світлі виглядають джунглями. Все життя тут – як зарослий зруб. Природне лісовідновлення, клімат сприяє. Після того, як вирубано старий ліс, минає кілька років, і на порожньому місці виростають інші дерева, нічого не треба робити, що було, те пішло, тепер так, а через десятиліття буде новий порядний ліс. Життя на зрубі – всюди і скрізь. Ніщо не триває і не плакається. Кожних кількадесять років те, що достигає, іде під сокиру. Це стосується всього, від дерев'яної архітектури і літератури до інтер'єрів барів. Головне – обдурити смерть, принаймні більшість наших казок власне про щось таке. Якщо не смерть, то дідька, пана, державу, ще якусь нечисту силу. Україна так і не змогла стати християнською, не здолала свого поганства. Поганські культи, які селилися серед безладно розкиданих дерев на межі лісів і степу, нікуди не зникли. Доволі легко прийняте хрещення, прийняте доволі пізно, було першим серйозним виявом українського характеру – ми не особливо противилися, але християнська форма не порушила поганського змісту. Дворіччя – мирне співіснування християнської форми з поганською суттю – стало основою нашої сутності. Дворіччя – це найголовніше. Навіть не ключ, а злодійська відмичка, якою вдається відкрити будь-який замок. Воно є тим, що вирізняє серед інших народів. Воно є причиною і поясненням усіх особливостей національного характеру і головною рисою неподібності українського вияву будь-яких універсальних феноменів на самих себе. Приймаючи християнство, як щось накинута, як обов'язок, українці адаптували його до свого знання про світ. Вийшло так, що християнство втопилося у правдивих віруваннях, яких ми буцімто зреклися. Ми натомість, щиро вихваляючи одне і міцно тримаючись зовсім іншого, отримали ту двоїстість, яка є визначальною у кожному українцеві, не кажучи вже про ті моменти, коли йдеться про певну сукупність. Дворіччя у певний момент зробило нас усіх шизофреніками, і вирватися з цієї шизофренії не

вдається жодному з нас. Кожен день християнського календаря наповнений додатковим значенням, яке є насправді вагомим. Важливими є всілякі прикмети і поганські обряди, які пов'язані з кожним християнським святом і живуть під його прикриттям, і власне такі речі називаються давними національними традиціями і твердинею духовності. Дворіччя слухняно користується християнським календарем, воно навіть вимагає дотримання усіх обрядових формальностей. Божі заповіді прийнято поважати як декларацію про наміри, однак керівництвом до щоденної дії є цілком інший кодекс. Тут цінуються вчинки і зусилля, які не стосуються праці над собою. Краще метушитися, про щось домовлятися, просити, натякати, щось випрошувати, вимагати, чогось дочікуватися, ніж зробити хоч щось із самим собою. Дворіччя дуже дитинне, воно заводить у крайнощі. Або ти – невинний вияв добра, проти якого змовився світ, який, до того ж, вимагає, щоб ти був чемним, або ж так: негідник, збірка усіх гріхів, але мусиш таким бути у цьому світі і нічого вже поправити неможливо, залишається йти гідно і страшно до самого кінця. Безвідповідальність, вибудована на вірі у те, що у кожному разі з якоюсь із ворожих сторін удасться домовитися. Комусь та й вгодиш. А той уже прикриє тебе на найвищому рівні. Початки нашого характеру безпосередньо пов'язані з нашим місцем, з тим лагідним наскрізним отвором, у якому так добре, що навіть не виникає жодних додаткових невдовольень і бажань. Наш первинний ареал розташувався у місцевості, яка сприяє утвердженню рослинного розуміння світу. Бездоганно знайдена чи дарована екологічна ніша, в якій все є, все росте, доволі простору і води, сонячного освітлення і милих окові ландшафтів, зимові морози тільки тонізують, бо все одно ясно, гарно, а у домі багато дров, бо лісу довгий час не ставало менше. Нічого іншого не треба. Відсутність справжніх прагнень унеможливорює стратегію, ставлячи тактику на перше місце в ієрархії мудрості. Власне ті прадавні часи запам'яталися як справжня потреба – спокій, зелень, осмислена праця з рослинами і тваринами заради достатку їжі, яка – як настоянка – насичена працею, безпекою, впевненістю, вірою, порядністю, радістю, веселощами і сенсом. Пам'ять про ті нереальні часи постійно залишається загальною дитячою казкою, фрагменти якої намагаємося хоч частково, хоч іноді відтворити у кожному персональному образі рідного краю. Ця спільна архаїчна пам'ять нищить можливість спільноти, бо плекає надію на самодостатність. Але не християнську, а поганську. Позбавлену стратегії, але переповнену особливою домовленістю, яка тримається на єдиному правилі – у будь-який момент правила можуть бути зміненими без попередження. Нормальна логіка моментного бою. Командири десь

дуже далеко. Їхні інструкції не мають нічого спільного зі ситуацію, в яку ти потрапив. Твоє бачення зведене до мінімуму – інструкція, яка не відповідає тому, що відбувається, ландшафт, на якому нічого не можливо вирізнити, чомусь лише десята частина обов'язкового згідно доктрини набору патронів, десь поруч такі самі хлопці, які хочуть тебе вбити, а з іншими ви готові помінятися своєю смертю, такі вони свої, і знання того, що це кінець, і переконаність в тому, що не можна, щоби був кінець. Цілком універсальні речі. Але у цьому моментальному бої ти ще знаєш і те, що все це – тільки тому, що ти по-рослинному переконаний у непомильності того, ким ти є, з якого ти наскрізного отвору. І це чомусь тебе обходить. Ти починаєш нарешті розуміти голос крові. Відразу все фокусується у кадрі, який захоплює стандартні обов'язкові речі – і відсутність стратегії, і брак



► Dieses Land erinnert an einen doppelten Beutel – besahy. An den Beutel eines ewig Umherziehenden, Fliehenden, eines Weltenbummlers, der alles dabei hat und unterwegs noch allerlei aufliest und in seinen Beutel steckt. Da ist alles. Etwas Essen, Werkzeug, warme Kleidung, nutzlose Fundstücke, die man vielleicht irgendwann brauchen könnte, sollte man jemals in die Situation kommen, etwas zu brauchen, herausgerissene Buchseiten, eine Art selbst gebastelter Pistole, Familienreliquien und Bilder verschiedener Heiliger, etwas zum Verkaufen, ein eiserner Vorrat an Tabak und trockenem Brot für den Fall einer Festnahme, ein paar Goldmünzen und Geldscheine von Währungen, die nicht mehr im Umlauf sind. Viele verschiedene Dinge. Der Beutel ist zum Platzen voll. Was man sich leicht über die Schulter geworfen hat, erweist sich als immer schwerer, je länger und beschwerlicher der Weg ist. Aber Ballast abzuwerfen ist unmöglich, es wäre schade, etwas zurückzulassen. Immer wieder muss man die Schulter wechseln, oder den Beutel auf einer Seite mal so rum, mal so rum tragen. Obwohl der Beutel schwer ist, schneidet der Stoff nicht ein, aber ständig zieht er zu einer Seite. Geht man schnell, hüpfert der Beutel rhythmisch auf und ab, schlägt gegen Rücken und Bauch, raubt den Atem. Die spitzen Ecken der in den Beutel geworfenen Dinge hinterlassen Blutergüsse zwischen den Rippen. Im Inneren des Beutels schlagen die Dinge aneinander. Die Molke von einem Käsestück lässt die Tinte auf vergilbten Dokumenten zerrinnen. Etwas ist zerbrochen und rinnt aus. Die Gerüche vermischen sich. Maisgrieß klebt an den Bohnen. Dann auch noch Regen, dem der Stoff nicht trotzen kann, dornige Äste, die sich festhaken und den durchnässten Stoff zerreißen. Dinge fallen heraus, aber da ist kein Nähzeug, keine Zeit und kein Anlass zu nähen. In dem Beutel ist vielerlei. Aber was man genau in diesem Moment braucht, ist unmöglich zu finden. Man kann mit der Hand hineinlangen und versuchen etwas zu ertasten. Man kann herausholen, was man zu fassen bekommt.

патронів, і дурнуваті інструкції неіснуючого штабу, і хіть таких самих хлопців з іншого боку до того, що є твоїм життям, і найкращість тих, хто з твого боку, і навіть те, що ти не можеш не вмерти, але мусиш вижити. Коли виявилось, що наше місце надто привабливе, що заки ми нічого більше не хотіли, воно вабило багатьох інших, котрі не вважали за потрібне на нас зважати, ми почали відбиватися. Відбиватися заради втраченої ідилії. Простір між опуклостями не перестав бути менше вигнутим. Тактика не переросла у стратегію. Постійна оборона не породжує власних бажань, які б виходили за межі бажання спокою. Єдине правило долі далі залишається єдиним.

Schließlich wird klar, dass man auch ohne eine bestimmte Sache auskommt. Und brennt einmal wirklich der Hut, muss man alles ausleeren. So findet man das Gesuchte. Die anderen Sachen stopft man zurück in den Beutel – es ist erstaunlich, ich vergesse jedes Mal wieder, was es da Interessantes gibt. Denn ein Beutel hat keine Fächer, Laden oder Unterteilungen, die es erlauben würden, die eigenen Habseligkeiten zu ordnen. Wozu auch, wenn der Beutel ohnehin vielleicht gestohlen oder neben dir unter dem Schnee begraben wird, oder auf dem Grund eines Grabens verrottet, und deine Gebeine später an einem heilen Stückchen des gewebten Musters erkannt werden. Dieses Land erinnert auch deshalb an einen besahy-Beutel, weil die meisten Bewohner des Landes dieses Wort nicht kennen. Die ukrainischen Wörterbücher – falls sie denn benutzt werden – lassen die Suche nach der Bedeutung in einer Absurdität enden, die für das Land bezeichnend ist. Besahy, sagt das erste Wörterbuch, ist ein doppelter Beutel. Torba, das ukrainische Wort für Beutel, versteht jedoch auch nicht jeder. Ein anderes Wörterbuch definiert torba als Ausdruck für eine ausweglose Situation (erste Bedeutung) oder schwere Drogenabhängigkeit. Eine doppelt ausweglose Situation also, noch dazu. Dieses Land erinnert auch an einen Apfel, der an einem Faden hängt, und von dem man ohne Hilfe der Hände abbeißen soll. Und an eine Birne, unter der man liegt und wartet, bis sie einem in den Mund fällt. Und an unzählige andere Dinge, sogar an eine Wasserwaage. Schade nur, dass nicht einmal eine Birne an das Land selbst erinnern könnte. Ich mag Archipenko. Er erkannte das Wesen seines Landes und bildete es in Skulpturen ab. Die wahre Form liegt bei ihm nicht in der Gestalt, der Figur, dem Gefäß selbst, sondern in dem Raum dazwischen. Wesentlich ist die Form des Raums dazwischen. Was eine offene Leere zu sein scheint, ein Hohlraum, nimmt dank der Begrenztheit der angrenzenden, einan-

der nicht berührenden Formen eine eigene bedeutungsvolle Form an. Selbst wenn sich die Körper berühren, entsteht etwas Drittes, Gemeinsames, nicht durch die Wölbungen, sondern durch die Vertiefungen. Außerdem sind die Skulpturen manchmal polychrom. Bunt also.

Dieses Land erinnert an Dinge, die auf der Suche nach etwas Wichtigem aus dem Beutel geworfen wurden. Alles in diesem Land wurde ausgeleert, nicht ordentlich ausgepackt. Das Durcheinander des bis zum Bersten gefüllten Beutels wurde einfach ausgeschüttet. Deshalb sieht es so unordentlich aus.

Deshalb ist es so malerisch. Als hätten Kinder ihre Spielsachen verstreut. Häuser, Städte, Fabriken, Dämme, Zäune, Schienen, Kioske, Buden, Verkaufswagen, Stacheldrahtzäune, Stromleitungen, Bohranlagen und Handymasten – als wären sie vom Himmel gefallen und stehen nur deshalb dort, wo sie stehen, weil sie von oben kommen.

Hier gibt es Unmengen verstreut wachsender Bäume und Sträucher.

Das Klima ist gut, die Bäume wuchern von selbst und überall.

Man muss sie nicht pflegen, von ihnen wird nichts erwartet, sie sind schön, aber wenn es mal anders kommt, wird unbarmherzig geschnitten, gefällt oder verbrannt. Gruppen und Reihen wie Unkraut sprießender Bäume, die übrigens auf keinerlei Weise genutzt werden.

Ein besonderes Merkmal sind einzeln stehende, einsame Bäume.

Sie werden in Landkarten eingezeichnet, sogar in militärischen, da derartige Orientierungspunkte bekanntlich länger bestehen als Kirchen, Friedhöfe und landwirtschaftliche Gebäude.

Dieses Land lässt sich gut über die Botanik begreifen. Das ist meine persönliche Erfahrung, doch die geobotanischen Methoden scheinen tatsächlich Hand und Fuß zu haben. Bäume stehen nicht zufällig da, wo sie stehen. Schon allein deshalb nicht, weil ihr willkürliches Auftreten durch nichts zu erklären ist.

Willst du etwas wissen, finde heraus, wie es ist. Die Frage, warum es so ist – warum ist es so? –, bringt augenblicklich alles zum Erliegen. Mehr wirst du nicht erfahren. Es ist, weil es ist. So muss es sein.

Die Ukraine ist ein Pflanzenland.

Nicht umsonst heißt es: in der grünen Ukraine. Die Ukraine ist Teil der Botanik.

Unsere stille Expansion ist am ehesten mit der Strategie der Pflanzen vergleichbar. Die pflanzlichen Überlebensmuster sind das Gerüst unserer Existenz.

Wir erinnern an eine Bergwiese. Wir sind Blumen auf dieser Wiese. Alle gemeinsam auf einer Wiese.

Wir sind ein paar Dutzend verschiedene Arten, die sich hier wohl fühlen. Millionen einzelner Blumen und Gewächse, die hier existieren können. Die Vielfalt macht es unmöglich, von einer Einheit zu sprechen, wir sind keine Kaffeepflanze. Aber wir sind hier, sind auf dieser Almwiese.

Bei uns zählt die eigene Erfahrung immer noch am meisten. Nichts ist wichtiger. Die Haltung zum eigenen Land wird von der Erfahrung geprägt. So gesehen sind wir maßlose Individualisten. Wir haben noch zu wenige gemeinsame Erfahrungen, als dass sie das individuelle Wissen überlagern könnten. Wie die Blumen, die von

ihren Bienen besucht werden.

Bei uns ist niemand unabhängig von seiner Region, seinem Land.

Jeder muss etliche Male „ja“ sagen, um dann genauso viele Male „nein“ zu sagen. Oder ja, nein, und ja. Wenn ich mich quälen will, denke ich über mein Ukrainerdasein und meine Ukraine nach.

Man braucht eine eigene Meinung, denn das Land gibt keinerlei Anhaltspunkte.

Dort, wo die Ukraine ist, gibt es sie nicht. Vielmehr gibt es sie dort, wo sie nicht ist. Such dir eigene Antworten, denn die Ukraine verpflichtet zu nichts, hält aber jeden, der auch nur irgendwelche Überlegungen anstellt. Und dann ist es aus und vorbei. Etwas Unerklärliches hält dich, das ist klar.

Unklar ist, was andere anzieht. Was suchen sie hier, was erhoffen sie sich, unser Land ist doch wie dieser verfluchte Besahy-Beutel. Besser man lädt ihn sich nicht auf die Schultern, denn das Tragen hat man bald satt, und da ist niemand, an den man ihn abgeben könnte.

Dieser Landstrich ist so schön, dass man ihn besitzen möchte.

Auch deshalb, weil er am Wegrand liegt, auch deshalb, weil niemand etwas dagegen sagt.

Nimm, hab, hab mehr.

Und dann fällt alles aus dem Beutel heraus, das große Loch verwandelt die großartigsten Eroberungen in nichtige Heldentaten, in Gruppen und Reihen ungenutzter Bäume, die wuchern wie Unkraut.

Hier konnten der Garten- und Gemüsebau und die Parkkultur, die Europa zu dem machen, was es ist, einfach nicht Fuß fassen. Denn Europa zeichnet sich vor allem durch einen maßlosen Aufwand für gänzlich nutzlose Dinge aus: englischer Rasen, Parks, im Winter eingepackte Bäume, sorgfältiges und regelmäßiges Schneiden, ein übertriebener Einsatz von Menschen und Zeit, um alle Pflanzen so aussehen zu lassen, wie sie aussehen sollen. Bei uns verschwendet man für so etwas keine Energien. Der Wald wächst. Diese große Weisheit gilt leider nicht für Weizen, und noch weniger für Kartoffeln, die so viel Mühe bereiten.

Dafür begeistern wir uns für die verschiedenen Arten der Baumveredelung. Das Umpfropfen von Sorten auf wilde Obstbäume, mehrere Sorten auf einem Baum und so weiter.

Die Botanik sollte eigentlich zur Frömmigkeit bekehren. Wenn Gott Wegwarte und Wegerich erschaffen hat, und noch dreihundert andere Pflanzen, die auf dieser Alm wachsen, dann wusste er, was er tut, so ist es richtig, so soll es sein.

Aber Frömmigkeit war nie ein typisch ukrainischer Wesenszug.

Daher kommt all die Unsicherheit, das Fragen nach der Rechtfertigung der eigenen Existenz.

Dauernd argumentieren wir, dass wir nicht schlechter sind, dass bei uns vieles sogar am allerbesten ist.

Als wüssten wir nicht, dass es sowohl Johannisbeeren als auch Brombeeren gibt (von letzteren haben wir zehn verschiedene Sorten) und die einen die anderen nicht ausschließen, beide aber in ihrem Aussehen und Geschmack einzigartig sind.

Der Stolz der Stachelbeeren liegt nicht darin, dass sie die besten sind und am meisten durchgemacht haben, sondern darin, dass sie Stachelbeeren sind und nichts

anderes, und auch nichts anderes sein können.

Diese einfache Sache wird bei unserer sogenannten Identitätssuche nicht bedacht. Und das ärgert mich am meisten. Es ist Ausdruck vollkommener Ungebildetheit. Wozu nach einer Rechtfertigung der eigenen Existenz suchen, wenn man schon existiert.

Diese Sache ist allzu einfach, fromm und sehr transparent. Bei uns schätzt man Transparenz nicht, sie erscheint verdächtig und gefährlich. Besser nahe am Grund schwimmen, im dunklen Wasser sieht man schlecht. Wir lassen uns nicht gerne durchschauen, wir haben eine angeborene Abneigung gegen das Augenscheinliche. Unser Land ist bei minimaler Beleuchtung am schönsten. Morgengrau, Abenddämmerung, Nebel, Schneestürme, nächtliche Straßenbeleuchtung, Feuerwerke.

Es ist besser, die Welt und sich selbst im Dunkeln zu betrachten, so sieht man die hässlichen, schlampig gearbeiteten Details nicht so genau. Im Mondschein erinnert sogar ein Kahlschlag an einen Dschungel.

Das ganze Leben hier ist ein verwilderter Kahlschlag.

Die natürliche Walderneuerung wird vom Klima begünstigt. Der alte Wald wurde gerodet, ein paar Jahre vergehen und an derselben Stelle wachsen neue Bäume, man braucht nichts zu tun, was war, ist vergangen, jetzt ist es so, und in zehn Jahren steht ein neuer Wald.

Auf dem Kahlschlag wimmelt es nur so von Leben. Nichts ist von Dauer, nichts wird gepflegt. Alle paar Jahrzehnte kommt das, was gewachsen ist, unter die Axt.

Das gilt für alles, von der Holzarchitektur und Literatur bis hin zum Interieur der Bars.

Hauptsache ist, man überlistet den Tod, zumindest handeln davon die meisten unserer Märchen. Und wenn es nicht der Tod ist, dann zumindest der Teufel, die Obrigkeit, der Staat, oder sonst eine böse Macht.

Die Ukraine konnte das Heidentum nicht überwinden, sie hat den Übergang zum Christentum nicht vollzogen.

Der heidnische Kult, der an der Grenze zwischen Wäldern und Steppen, wo einzelne Bäume stehen, heimisch ist, existiert noch immer.

Die relativ leicht, jedoch relativ spät empfangene Taufe ist der erste ernsthafte Ausdruck des ukrainischen Charakters – wir haben uns nicht gewehrt, aber die christliche Hülle konnte den heidnischen Inhalt nicht zum Verschwinden bringen.

Der Doppelglaube – das friedliche Nebeneinander von christlicher Hülle und heidnischem Inhalt – wurde zur Grundlage unserer Existenz.

Doppelglaube ist alles.

Er ist kein Schlüssel, sondern bestenfalls ein Einbrechertrick, mit dem sich jedes Schloss öffnen lässt.

Er unterscheidet uns von anderen Völkern.

Er ist Ursache und Erklärung für alle Besonderheiten unseres nationalen Charakters und der Grund, der jegliche universellen Phänomene andersartig – sich selbst gar nicht mehr ähnlich - erscheinen lässt, wenn sie in ukrainischer Ausprägung auftreten.

Da die Ukrainer das Christentum als eine Pflicht, etwas Übergestülptes ansahen, passten sie es ihrer Lebenswelt an.

Das Christentum verschmolz mit dem wahren Glauben, von dem wir uns eigentlich losgesagt hatten. So entwickelten wir, indem wir das eine offen priesen und stumm an etwas anderem festhielten, einen Synkretismus, der für jeden einzelnen Ukrainer, ganz zu schweigen von

Gruppen, bezeichnend ist.

Der Doppelglaube bescherte uns eine Schizophrenie, von der sich niemand befreien kann.

Jeder Tag des christlichen Kalenders ist mit zusätzlichen Bedeutungen beladen, die tatsächlich von Bedeutung sind.

Eine große Rolle spielen Aberglaube und heidnische Bräuche, die mit den christlichen Festen verbunden sind und unter ihrem Deckmantel existieren. Eben diese Dinge werden als alte Traditionen und Kern der Spiritualität bezeichnet.

Der Doppelglaube bedient sich brav des christlichen Kalenders und fordert die genaue Einhaltung der rituellen Abläufe.

Die zehn Gebote sind heilig wie ein Schwur, das tägliche Leben jedoch regelt ein ganz anderer Kodex.

Es zählen nur die Taten und Bemühungen, die nicht die Arbeit an sich selbst betreffen.

Besser herumhetzen, sich verabreden, etwas erbitten, andeuten, erbetteln, fordern, auf etwas warten, als auch nur irgendwie an sich selbst zu arbeiten.

Der Doppelglaube ist etwas sehr Kindliches, er führt zu Extremen.

Entweder bist du ein unschuldiger Vertreter des Guten, gegen den sich die Welt verschworen hat, die noch dazu von dir verlangt brav zu sein, oder du bist ein Böser, eine Akkumulation aller Sünden, so hast du durch die Welt zu gehen, daran ist nichts zu ändern, es bleibt dir nichts anderes, als in Würde und voller Angst bis ans Ende zu schreiten.

Es herrscht eine Unzuverlässigkeit, die auf dem Glauben fußt, dass man sich auf jeden Fall mit einer der verfeindeten Seiten einigen kann.

Irgendwem wird man es schon Recht machen. Und der wird einen dann auf höchster Ebene decken.

Die Grundzüge unseres Charakters sind direkt mit unserem Lebensraum verbunden, mit dem sanften Hohlraum, in dem es einem so gut geht, dass keine weiteren Wünsche und Unzufriedenheiten aufkommen.

Unsere Urheimat liegt in einer Gegend, die das pflanzliche Verstehen der Welt förderte.

Eine perfekt gewählte oder gegebene ökologische Nische, in der es alles gibt, wo alles wächst, genügend Raum und Wasser vorhanden sind, Sonnenlicht und hübsche Landschaften; der Winterfrost hat etwas Anregendes, es ist trotzdem klar und schön; zu Hause stapelt sich das Holz, denn der Wald wurde lange Zeit nicht weniger.

Mehr braucht man nicht.

Das Fehlen wahrer Bedürfnisse macht es unmöglich, strategisch zu handeln, und macht die Taktik zur Nummer eins in der Weisheitshierarchie.

Die lang vergangenen Zeiten haben sich uns als wahres Bedürfnis eingepreßt – die Ruhe, die Natur, der bedächtige Umgang mit Pflanzen und Tieren – allein zum Zwecke der Versorgung mit Nahrung -, voller Anstrengung, Sicherheit, Selbstbewusstsein, Glaube, Anstand, Freude, Spaß und Sinn.

Die Erinnerung an diese unwirklichen Zeiten bleibt als Kindheitsmärchen bestehen, das wir zumindest teilweise, zumindest manchmal in unserer persönlichen Vorstellung von unserer Heimat reproduzieren.

Dieses kollektive archaische Gedächtnis macht das Entstehen einer Gemeinschaft unmöglich, denn es speist die Hoffnung auf Eigenständigkeit. Nicht eine christliche,



sondern eine heidnische. Die frei von Strategien ist, aber überladen mit einer Abmachung, die auf einem einzigen Gesetz fußt: Die Regeln können jederzeit und ohne Vorwarnung geändert werden.

Die normale Logik eines unerwarteten Kampfes. Die Kommandeure sind weit weg. Ihre Befehle haben nichts mit der Situation zu tun, in die man geraten ist. Die Sicht ist minimal – ein Befehl, der nichts mit dem zu tun hat, was geschieht, eine Landschaft, die nichts erkennen lässt, aus irgendeinem Grund ist nur ein Bruchteil der vorgeschriebenen Menge an Patronen vorhanden, ganz in der Nähe sind Jungs wie du, die dich töten wollen, für die anderen würdest du sterben, so sind die eigenen Leute, und dann ist da das Wissen, dass nun das Ende bevorsteht, und die Überzeugung, dass das Ende einfach noch nicht kommen kann. Vollkommen universelle Dinge. Aber in diesem unerwarteten Kampf weißt du auch, dass alles nur deswegen so ist, weil du nach Pflanzenart überzeugt bist von der Richtigkeit dessen, wer du bist, aus welchem Hohlraum du entspringst. Und irgendwie kommst du

davon. Endlich verstehst du die Stimme des Blutes. Und sofort entsteht ein Bild, das die üblichen obligatorischen Dinge umfasst – das Fehlen einer Strategie, den Patronenmangel, die idiotischen Befehle des nicht existenten Stabes, das Trachten der Jungs auf der anderen Seite nach deinem Leben, und die Genialität jener, die auf deiner Seite sind, und sogar die Tatsache, dass du nicht sterben darfst, sondern überleben musst. Als sich herausstellte, dass unser Land so anziehend ist, dass wir nach nichts weiter zu streben brauchen, kamen viele, die es nicht für nötig befanden, Rücksicht auf uns zu nehmen, und wir begannen uns zu wehren. Der verlorenen Idylle wegen. Der Raum zwischen den Wölbungen ist nun nicht weniger gekrümmt. Die Taktik ist nicht in Strategie übergegangen. Die permanente Gegenwehr setzt keine Wünsche frei, die über den Wunsch nach Ruhe hinausgehen würden. Das eine Gesetz des Schicksals ist noch immer das einzige.

[Übersetzung: Maria Weissenböck]

► Z przyszej książki „Gazeta tego nie poda”, Wydawnictwo Czarne

1. Ten kraj przypomina biesagi. Biesagi jakiegoś wiecznego tułacza, uciekiniera, wędrowcy, który wszystko, co jego, nosi ze sobą, zbierając jeszcze po drodze, co się trafi, wrzucając w te właśnie biesagi. Jest w nich wszystko. Trochę jedzenia, instrumenty, ciepłe szmaty, znalezione drobiazgi, które się kiedyś mogą przydać, jeśli trafi się okazja i coś się wydarzy, wyrwane stronicie przypadkowych książek, jakiś ręcznie robiony pistolet, rodzinne relikwie i obrazki z różnymi świętymi, coś na sprzedaż, nietknięty zapas tytoniu i sucharów w razie ciupy, kilka złotych monet i banknoty różnych państw, jakie już wyszły z obiegu. Pełno różnych różności. Biesagi są przeciążone. To, co łatwo było zarzucić na ramię, okazało się zbyt ciężkie w długiej i nierównej drodze. Trudno sobie jednak ulżyć – szkoda coś wyrzucić. Raz za razem biesagi trzeba przekładać z ramienia na ramię, albo przewieszać na tym samym ramieniu to do przodu, to do tyłu. Wypełniona ciężarem tkanina nie gryzie w ramiona, ale ciężar stale przeważa na którąś stronę. Od szybkiego kroku biesagi rytmicznie klekocą, uderzają o plecy i brzuch, tłumią oddech. Wrzucone w nie rzeczy odciskają ostrymi krawędziami siniaki na żebrach. To, co w środku, też się tłucze. Serwatka z grudki sera rozmywa atrament z pożółkłych dokumentów. Coś się rozbiło i wyciekło. Zapachy się zmieszały. Trzeba będzie strzepać kaszę kukurydzianą z fasoli. Do tego deszcze, nie powstrzymywane przez tkaninę, klujące igły, czepiające się i drące namokłą klapę. Coś się wysypuje, a załatać nie ma czym, nie ma kiedy, nie ma czego. W biesagach jest dużo różności. Ale znalezienie akurat tego, co trzeba – jest niemożliwe. Można wsadzić rękę i spróbować wymacać. Można wyjąć

to, co wpadło w palce. Koniec końców okaże się, że można się bez tego czegoś spokojnie obejść. A jeśli faktycznie przypili, to trzeba wysypać wszystko. Właśnie tak odnajdują się rzeczy konieczne. Tymczasem całą resztę – zawsze wywołującą zdumienie, bo przecież nigdy się nie pamięta, że posiada się coś tak ciekawego – trzeba z powrotem powrzucić do torby. Bo w biesagach nie ma żadnych półeczek, szufladek i przedziałków, żeby udało się jakoś swoje dobra posegregować. Bo i po co, skoro i tak biesagi albo zostaną skradzione przez zbójców, albo zetleją razem z tobą gdzieś pod śniegiem czy też na dnie przepaści, i ktoś kiedyś rozpozna twoje kości akurat po ocalałym kawałku utkanego wzoru. Ten kraj podobny jest do biesag również w tym, że słowa „biesagi” nie zna większość ludzi w kraju, który jest do nich podobny. Ukraińsko-ukraińskie słowniki, jakby tak się ktoś im przyjrzał, doprowadzają poszukiwanie znaczeń do takiego poziomu absurdu, który staje się prawdą. Biesagi – mówi pierwszy – to podwójny sakwojaż. Słowo „sakwojaż” również nie wszyscy rozumieją. Dlatego sakwojaż – jak objaśnia inny – to sytuacja bez wyjścia (pierwsze znaczenie), albo całkowite uzależnienie od narkotyków. A tu jeszcze podwójny sakwojaż.

Tak samo kraj ten podobny jest do zawieszzonego na nitce jabłka, które trzeba ugryźć bez pomocy rąk. I do gruszy, pod którą leżysz w trawie, czekając aż coś samo wpadnie ci w usta. I do wszystkiego innego, nawet do wasserwagi. Szkoda tylko, że on sam nie jest czymś takim, do czego podobna byłaby choćby grusza.

Lubię Arychypenkę. To on ujrzał sedno swojego kraju, które potrafił przekazać w rzeźbie. Po pierwsze, prawdziwą formą są nie postaci, nie figury,

nie naczynia, lecz przestrzeń pomiędzy nimi. Forma przestrzeni „pomiędzy” niesie więcej znaczeń. To, co wydaje się otwartą próżnią, dziurą na wylot, przetwarza się – dzięki ograniczeniom sąsiednich nieprzylegających form – w niezależną, decydującą formę. Nawet w dotyku ciał to coś trzeciego, wspólnego, rodzi się nie z wypukłości, a właśnie z wklęsłości. Po drugie, rzeźba może być polichromiczna. Czyli pomalowana.

Ten kraj przypomina to, co wysypało się z biesagów, podczas poszukiwań czegoś potrzebnego. Wszystko, co w nim jest – jest wysypane, a nie wyjęte. Ogromną mieszaninę z przepehionego worka zwyczajnie wysypało na kupę. Dlatego wygląda tak chaotycznie. Dlatego jest tak malownicze. Dzieci porozrzuciły zabawki; chaty, miasta, fabryki, groble, parkany, tory, kioski, budynki, wagoniki, druty kolczaste, linie wysokiego napięcia, szyby naftowe i przekładniki komórkowe – wszystko jakby skądś wypadło i stoi tam, gdzie stoi tylko dlatego, że właśnie tam upadło. Bardzo dużo tu rozsypanych drzew i krzaków. Dobry klimat, więc drzewa rosną same i wszędzie. Nie trzeba ich pilnować, do niczego nie są potrzebne, tworzą piękno, ale jeśli wyjdzie jakoś inaczej, to się je brutalnie wycina, wyrąbuje, albo pali. Kupki i rzędy drzew – zupełnie na razie nieużytkowych – rozłożą się jak chwasty. Kolejny znak – osobne, pojedyncze drzewa. Nanosi się je na mapy topograficzne, a nawet na wojskowe, bo te punkty orientacyjne przetrwają dłużej niż cerkwie, cmentarze i zabudowania gospodarcze.

Kraj ten dobrze jest poznać w oparciu o florystykę. To jest to, na czym się znam, okazuje się jednak, że florystyczne metody faktycznie są podstawowe. Przypadkowe drzewa przestają być przypadkowymi. Choćby dlatego, że ich chaotyczności w żaden sposób nie da się wyjaśnić. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, to dowiaduj się o tym, jak jest. Pytanie „dlaczego tak jest?” z miejsca wszystko ubija. Niczego więcej się nie dowiesz. Jest, bo jest. Tak być musi. Ukraina jest roślinna. Nie darmo mówi się „na zielonej Ukrainie”. Ukraina to część botaniki. Roślinna strategia najlepiej odpowiada naszej cichej ekspansji. Roślinna zdolność przetrwania – to gwarancja naszego istnienia. Bardzo przypominamy górską łąkę. Jesteśmy kwiatami na niej. Wszyscy razem jesteśmy na jakiejś łące. Ale my – to kilkadziesiąt zupełnie różnych gatunków, którym jest tu przytulnie. I miliony pojedynczych kwiatów i ziół wszelkiego rodzaju, które tylko mogą być. Z powodu różnorodności nie da się mówić o jakiejś jedności – nie jesteśmy plantacją kawy. Tym niemniej jesteśmy właśnie tu, na tej poloninie.

Do tej pory najbardziej ufa się tu własnemu doświadczeniu. Nic ważniejszego nie ma. Od własnego doświadczenia zależy stosunek do swojego kraju. W tym sensie jesteśmy niesamowitymi indywidualistami. Wspólnie wypracowanego przeżycia wciąż jest za mało, by przeważać to, co każdy sobie wie. Jak kwiatki, do których przylatują trzmiele.

A jednak nikt z nas nie może być wolny od swojego kraju, od swojej krainy. Każdy musi wiele razy powiedzieć „tak”, albo tak samo wiele razy – „nie”. Albo „tak”, „nie”, i „tak”. Kiedy chcę się pomęczyć, to zaczynam myśleć o swojej ukraińskości i swojej Ukrainie. W każdym razie trzeba się samemu określić, bo kraj nie daje żadnych wskazówek. Nie ma go tam, gdzie jest. Najbardziej jest właśnie tam, gdzie go nie ma. Szukaj więc swoich kluczy, bo on do niczego nie zobowiązuje, ale przytrzyma każdego, kto choćby spróbuje pomyśleć o czym innym. I wtedy – sakwojaż. Zrozumiałe, że coś niezrozumiałego trzyma. Ale niezrozumiałe – co przyciąga innych? Czego tu szukają, czego się spodziewają, przecież on jest jak przeklęte biesagi. Lepiej nie brać na ramiona, bo niosąc je, się umordujesz, a oddać nie będzie komu. Ta ziemia jest tak piękna, że chce się ją mieć. Tym bardziej, że leży przy drodze, tym bardziej, że nikt za bardzo się nie sprzeciwi. Bierz, masz, miej więcej. A wtedy on się zwyczajnie wysypie, swoją wielką dziurą na wylot przetworzy najwspanialsze podboje w marne gierojstwo, w stosi i rzędy rozrastających się jak chwasty nieużytkowych drzew.

Nijak nie przyjęło się tu sadownictwo i ogrodnictwo, kultura parkowa, która czyni z Europy Europę. Bo Europa – to przede wszystkim bezmiar włożonego wysiłku w całkiem niepotrzebne rzeczy: trawniki, parki, ocieplane na zimę drzewka, wszelkie rzetelne i regularne przycinanie, bezmiar ludzi i czasu, żeby wszystkie rośliny wyglądały jak trzeba. U nas nie marnuje się na to sił. Las sam rośnie. Wielka mądrość, której niestety nie można zastosować do pszenicy, a tym bardziej do ziemniaków, z którymi tyle kłopotu. Za to wielki podziw budzą w nas wszelkie szczepionki. Rasowe szczepy na dziczce, kilka gatunków na jednym drzewie i tak dalej.

Florystyka powinna doprowadzać do pobożności. Jeśli Bóg stworzył i cykorię, i babkę, i jeszcze z trzysta innych roślin, które żyją na tej poloninie, to wiedział, co robi, i tak czemuś trzeba, tak musi być. Natomiast esencja ukraińskości nigdy nie była jednoznacznie pobożna. I to jest przyczyna – wszystkich tych wahań, tej niepewności w usprawiedliwieniu swojego istnienia. Stale potrzebne są jakieś argumenty, że nie jesteśmy gorsi, że nawet wiele rzeczy mamy najlepszych na świecie. Tak jakbyśmy nie wiedzieli, że są i porzeczeki, i jeżyny – a mamy dziesięć samodzielnych podgatunków i żaden nie zaprzecza drugiemu, ale nic nie wygląda i nie smakuje tak samo. Duma agrestu nie polega na tym, że agrest jest najlepszy i nie na tym, że najwięcej wycierpiał, a na tym, że niczym innym oprócz agrestu nie jest i być nie może. Taka prosta rzecz nie wchodzi w skład tego, co można nazwać ukraińskimi poszukiwaniami samoidentyfikacji. I to denerwuje mnie najbardziej. Jako przejaw całkowitego analfabetyzmu. Po co szukać usprawiedliwień dla swojego istnienia, skoro już istniejesz?

Zbyt proste, zbyt pobożne, bardzo przejryste. Przejrzystości się u nas nie lubi, wydaje się ona podejrzana i niebezpieczna. Lepiej płynąć bliżej mułu; w ciemnej wodzie nie wszystko jest tak widoczne.

Nie lubimy pokazywać się na wskroś, istnieje w nas jakaś wrodzona niechęć do oczywistości.

Nasz kraj jest najpiękniejszy wtedy, kiedy oświetlenie jest minimalne. Jakieś świty, półmrok, mgły, zamiecie, nocne lampy i fajerwerki.

Lepiej patrzeć na świat i na siebie przez umbrę, wtedy nie tak wyraźnie widać wszystkie nieudane, niedbale zrobione detale. Nawet łyse zręby przy świetle księżycy wyglądają jak dżungle.

Całe życie jest tu jak zarośnięta poręba.

Naturalne odradzanie się lasu, sprzyjający klimat.

Po wyrębie starego lasu mija kilka lat i na pustym miejscu wyrastają nowe drzewa, nic nie trzeba robić, co było, to nie jest, teraz jest tak, a za kilka dziesięcioleci stanie tu nowy, porządny las.

Życie na zrębie – wszędzie i zewsząd. Nic tu nie trwa i o nic się tu nie dba. Co każde kilkadziesiąt lat to, co podrośnie, idzie pod siekiere.

Dotyczy to wszystkiego – od architektury drewnianej i literatury do wnętrz barów.

Najważniejsze – oszukać śmierć. Przynajmniej większość naszych bajek jest właśnie o czymś takim. Jeśli nie śmierć, to diabła, pana, państwo, jeszcze jakąś inną siłę nieczystą.

Ukraina nie potrafiła do końca stać się chrześcijańska, nie pokonała swojego pogaństwa.

Pogańskie kultury, rozsiane pośród beładnie rozrzuconych drzew na granicy lasów i stepu, przecież nie zniknęły.

Lekką ręką przyjęty chrzest, przyjęty jednak dość późno, był pierwszym poważnym przejawem ukraińskiego charakteru – niezbyt się przeciwstawialiśmy, ale chrześcijańska forma nie naruszyła naszej pogańskiej esencji.

Dwuwiara – pokojowe współistnienie chrześcijańskiej formy z pogańskim jądrem – stała się podstawą naszej egzystencji.

Dwuwiara – to podstawa.

Nawet nie klucz, lecz złodziejski wytrych, którym da się otworzyć każdy zamek.

Jest tym, co wyróżnia nas pośród innych narodów.

Jest przyczyną i wytłumaczeniem wszystkich osobliwości naszego charakteru narodowego i główną cechą, określającą niepodobiestwo jakichkolwiek ukraińskich uniwersalnych fenomenów do samych siebie.

Przyjąwszy chrześcijaństwo jako coś narzuconego, jako obowiązek, Ukraińcy adaptowali je do swojej wiedzy o świecie.

Stało się tak, że chrześcijaństwo wtopiło się w prawdziwe wierzenia, których się rzekomo wyrzekliśmy.

My zaś, szczerze wychwalając jedno i mocno trzymając się zupełnie czego innego, otrzymaliśmy dwoistość, która dla każdego Ukraińca jest określającą, nie mówiąc już o tych przypadkach, kiedy chodzi o pewne ich skupisko. Dwuwiara w pewnym momencie zrobiła z nas wszystkich schizofreników, a żadnemu z nas nie udaje się wyrwać z tej schizofrenii.

Każdy dzień chrześcijańskiego kalendarza wypełniony jest dodatkową wartością, która naprawdę coś znaczy.

Ważne są wszelkie przymioty i pogańskie obrzędy, powiązane z każdym chrześcijańskim świętem, żyjące pod jego przykrywką i to właśnie one nazywają się dawną tradycją narodową i podwalinami duchowości.

Dwuwiara potulnie posługuje się chrześcijańskim kalendarzem, a nawet wymaga trzymania się wszystkich formalności obrzędowych.

Przyjęło się szanować przykazania Boże jako deklarację zamiarów, jednak kierunkowskazem dla codziennych uczynków jest zupełnie inny kodeks.

Ceni się tu działalność i wysiłek, nie dotyczący jednak pracy nad sobą.

Lepiej się miotać, dogadywać, prosić, nadmieniać, coś upraszać, wymagać, czegoś się doczekać, niż zrobić cokolwiek z samym sobą.

Dwuwiara jest bardzo dziecinna, doprowadza do skrajności.

Albo jesteś niewinnym przejawem dobra, przeciw któremu zmówił się świat, żądając w dodatku, żebyś był posłuszny, albo też – tak jest, grzesznik, kłębowski wszelkiego zła, musisz jednak na tym świecie taki być i niczego nie da się już naprawić, zostaje jedynie iść godnie i strasznie do samego końca.

Brak odpowiedzialności, zbudowany na wierze w to, że w dowolnym razie, z jedną lub drugą stroną uda się dobić targu.

Komuś przecież zawsze dogodzisz, a on już będzie cię krył, gdzie trzeba.

Początki naszego charakteru są bezpośrednio związane z miejscem, z tym łagodnym otworem na wylot, w którym jest tak dobrze, że nie wywołuje żadnego dodatkowego niezadowolenia czy pragnienia.

Nasz pierwotny areał rozlokował się w miejscowości, która sprzyja utwierdzeniu roślinnego rozumienia świata.

Nienaganna, znaleziona czy może podarowana, nisza ekologiczna, w której wszystko jest, wszystko rośnie, w której nie brak przestrzeni ani wody, słońca i przyjemnych dla oka krajobrazów; zimowe mrozy tylko to tonizują, bo i tak jest jasno i pięknie, a w domu dużo drewna, bo las nie kurczył się długo.

Nic więcej nie trzeba.

Brak prawdziwych pragnień eliminuje strategię, na pierwszym miejscu w hierarchii mądrości stawiając taktykę.

Właśnie te pradawne czasy zapamiętane zostały jako prawdziwa potrzeba – spokój, zieleń, rozważna praca z roślinami i zwierzętami dla dostatku pożywienia, które – jak nalewka – nasycone było pracą, bezpieczeństwem, pewnością, wiarą, uczciwością, radością, zabawą i sensem. Pamięć o tych nierealnych czasach stale pozostaje ogólną dziecięcą bajką, której fragmenty staramy się choćby częściowo, choćby tylko od czasu do czasu odtworzyć w każdym osobistym obrazie ojczystego kraju.

Ta zjednoczona archaiczna pamięć niszczy wspólnotowość, bo podsycza nadzieje na samowystarczalność.

Ale nie chrześcijańską, a pogańską. Pozbawioną strategii, ale przepelnioną osobliwą umownością, która utrzymuje się na jednej zasadzie – w dowolnym momencie wszystkie zasady bez uprzedzenia mogą zostać zmienione.

Normalna logika (momentalnego ataku). Dowódcy są gdzieś bardzo daleko. Ich rozkazy nie mają nic wspólnego

z sytuacją, w jakiej się znalazłeś. Twoje widzenie wprowadzone jest do minimum – rozkaz, nie odpowiadający temu, co się dzieje, krajobraz, w którym nic nie można wyróżnić, czemuś tylko jedna dziesiąta obowiązkowego zapasu nabożów, gdzieś tuż obok tacy sami jak ty chłopcy, jedni chcą cię zabić, a za innych gotów jesteś oddać życie, tak są ci bliscy, i świadomość, że to już koniec, i jednocześnie przekonanie, że niemożliwe, żeby to był już koniec. Całkiem uniwersalne rzeczy. Ale podczas tego momentalnego ataku wiesz w dodatku, że wszystko to dzieje się tylko dlatego, że jesteś jak roślina przekonany o nieomyślności tego, kim jesteś, z którego otworu na wskroś pochodzisz. I to cię czemuś obchodzi. Zaczynasz w końcu rozumieć głos krwi. Od razu wszystko skupia się w kadrze, który obejmuje standardowe, obowiązkowe rzeczy – i brak strategii, i brak nabożów, i głupawe

rozkazy nieistniejącego sztabu, i pożądanie przez takich samych chłopców z drugiej strony tego, co jest twoim życiem, i to, co najlepsze u tych po twojej stronie, i nawet to, że nie możesz umrzeć, że musisz przeżyć. Kiedy okazało się, że nasze miejsce zbytnio wabi innych, że gdy my niczego więcej nie pragnęliśmy, ono wabiło wielu innych, którzy nie uważali za stosowne zwracać sobie nami głowy, zaczęliśmy się zaciekle bronić. Bronić z powodu utraconej idylli. Przestrzeń między wypukłościami nie przestała być mniej wygięta. Taktyka nie przerodziła się w strategię. Ciągła obrona nie prowadzi do własnych pragnień, które wyszłyby poza granice pragnienia spokoju. Jedyna zasada losu nadal pozostaje jedyną.

[Tłumaczenie: Renata Rusnak]

TARAS ПРОХАСЬКО (1968, Україна) – журналіст та письменник. У 1992 році закінчив біологічний факультет Львівського національного університету імені Івана Франка у Львові. Працював вчителем біології, барменом, ведучим на радіо, репортером місцевої газети „Експрес” (Львів) та співредактором журналу „Четвер”. Опублікував, зокрема, збірник оповідань *Інші дні Анни* (1998), роман *Непрості* (2002), книгу прози *З цього можна зробити кілька оповідань* (2005), збірник есе *Порт Франківськ* (2006). Співпрацював з багатьма часописами та газетами. Його твори перекладалися польською, англійською, німецькою, російською, сербською, чеською мовами. Стипендіат програми „Гомінес Урбані” (Homines Urbani) 2004 року. Лауреат кількох літературних премій, зокрема, премії імені Джозефа Конрада, заснованої Польським інститутом у Києві. Живе в Івано-Франківську.

TARAS PROCHASKO (1968, Ukraine) – Journalist und Schriftsteller. 1992 beendete er sein Botanik-Studium an der Staatlichen Iwan-Franko-Universität in Lemberg. Er war Biologielehrer, Barmann, Autor von Radioprogrammen, Reporter für das Lokalblatt „Express” in Lemberg und Mitarbeiter der Zeitschrift „Tschetwer”. Er veröffentlichte u.a. die Erzählsammlung *Die anderen Tage Annas* (1998), den Roman *Die Ungewöhnlichen* (2002), den Erzählband *Daraus lassen sich ein paar Geschichten machen* (2005, deutsche Fassung 2009) und den Kurzprosaaband *Hafen Frankiwsk* (2006). Er arbeitete mit vielen Lemberger Redaktionen zusammen. Seine Bücher wurden ins Polnische, Deutsche, Russische, Serbische, Tschechische und Englische übersetzt. Stipendiat des Programms Homines Urbani im Jahr 2004. Preisträger einiger Literaturpreise, u. a. des Joseph-Conrad-Preises des Polnischen Institutes in Kiew (2007). Er wohnt in Iwano-Frankiwsk.

TARAS PROCHAŠKO (1968, Ukraina) – dziennikarz i pisarz. W 1992 roku ukończył studia na Państwowym Uniwersytecie im. I. Franki we Lwowie jako botanik. Był nauczycielem biologii, barmanem, autorem programu rozgłośni radiowej, reporterem lokalnej gazety „Ekspres” (Lwów), jak również współredaktorem czasopisma „Czetwer”. Autor m.in. zbioru opowiadań *Inne dni Anny* (1998, wydanie polskie 2001), powieści *Niezwykli* (2002, polskie wydanie 2005), zbioru opowiadań *Z tego można zrobić kilka opowieści* (2005, wydanie polskie 2005) oraz zbioru krótkich tekstów *Port Frankiwsk* (2006). Współpracował z wieloma lwowskimi redakcjami. Jego twórczość przełożono na język polski, angielski, niemiecki, rosyjski, serbski i czeski. Stypendysta programu Homines Urbani w 2004 roku. Laureat kilku nagród literackich, w tym także Nagrody im. Josepha Conrada, ufundowanej przez Instytut Polski w Kijowie (2007). Mieszka w Iwano-Frankiwsku.

ECHOLOT

ECHOLOT

ECHOLOT

Auszug aus dem noch unveröffentlichten Roman *Echolot*, Bilgerverlag
Fragment niepublikowanej powieści *Echolot*, wydawnictwo Bilgerverlag
Фрагмент неопублікованої повісті *Ехолот*, видавництво Bilgerverlag

► Nils und ich lernten uns am Ende des folgenden Sommers kennen. Er sprach mich an, als ich im Park auf einem Stein sass und in mein Skizzenheft zeichnete. Noch waren die Tage lang und warm, doch die Mittagstunden brachten keine glühende Hitze mehr, und bereits fröstelten wir, sobald die Sonne hinter den Hügeln verschwunden war. Oft spazierten wir am Fluss entlang durch den Wald, in dem die einzige Bewegung von den Sonnenflecken kam, die über den Boden und die gebräunte Haut unserer Arme huschten, und von den Eichelhähern und Blaumeisen, die zwischen den dichten Zweigen der Bäume hindurch flogen oder im halb zerfallenen Laub vom Vorjahr nach Nahrung wühlten. Wir kletterten über umgestürzte Bäume, streiften mit den Waden versteckte Brennnesseln, kühlten die gerötete Haut im Wasser und warfen den Enten getrocknete Brotreste zu, die wir in einer Tüte bei uns trugen, schüttelten unsere Schuhe aus, die sich mit Sand vom Weg gefüllt hatten, und es war sehr still, nur das Wasser rauschte und plätscherte, und es gab niemanden mehr ausser uns, bis wir irgendwann zurückkehrten in den Schmutz und den Lärm der Stadt. Später raschelte Herbstlaub unter unseren Füßen und leuchtete in der Sonne. Wir hoben Kastanien auf und strichen mit den Fingern über die glatte Oberfläche, bis sie vorsichtig die weichen Schalen der Bucheckern auf und schoben uns die Nüsse gegenseitig in den Mund. Die Haut an unseren Händen glänzte silbern von den Mandarinen, die wir schälten. Wir schauten

den Drachen zu, welche die Kinder steigen liessen, und den Pferden, die auf der Koppel trainiert wurden, bis ihre erhitzten Leiber dampften. Manchmal öffnete die Tür zum Stall daneben, gingen den Boxen entlang und streckten den Pferden darin Zuckerstücke entgegen, die sie mit ihren sanften Mäulern von unseren Handflächen frassen, und der warme, dämmerige Stall war wie eine Höhle, in der wir so lange blieben, bis wir von draussen sich nähernde menschliche Stimmen hörten. Wenn wir nebeneinander auf einer Bank sassen, wickelte ich meinen dicken geringelten Schal auch um Nils' Hals. Ab und zu schwebten glitzernde Spinnfäden durch die Luft. An den wärmeren Tagen sah man noch Schmetterlinge und Wespen. Nach heftigen Regenschauern führte der Fluss Schwemmholz, und es roch nach feuchter Erde und nassen Blättern, nach den Pferden und der Zigarre, die Nils paffte, während unter unseren Füßen die Hütchen der Eichelknackend zerbrachen. Die Spielplätze waren jetzt verlassen, nur noch einige vergessene Sandeimer und Gummibälle lagen neben den Schaukeln und Klettergerüsten. Die Nächte wurden kühl. Über den Wiesen bildete sich Nebel, erst nur einzelne Schwaden, die sich allmählich verdichteten und uns schliesslich einhüllten, die im Licht der Strassenlampen schimmerten und sich mit unseren Atemwolken verbanden und feine Wassertröpfchen in unseren Haaren zurückliessen, und wir steckten einander die Hände in die Jackenärmel, um sie zu wärmen, doch die wirkliche

Kälte und der Schnee kamen spät in jenem Jahr, erst mit dem Ende des Novembers. Tagelang hingen dichte graue Wolken tief über der Stadt. Windstösse zupften die letzten gelb und rot leuchtenden Blätter von den Ästen und trugen sie mit sich fort, über die Dächer und die Rauchschwaden, die aus den Kaminen stiegen. Die Schneeflocken schossen waagrecht vor dem Fenster vorbei. Heulend strich der Wind auch durch meine alte Wohnung, drängte durch die Ritzen, wo Fenster und Türen schlecht schlossen. Nils und ich sassen in Wolldecken gehüllt, mit dem Rücken gegen den Heizkörper gelehnt, in dem das Wasser gluckerte. Abwechselnd tranken wir aus dem Glas mit heissem Glühwein zwischen uns und verständigten uns hauptsächlich durch Gesten, durch Berührungen und Blicke, durch Zettelchen mit Skizzen und Zeichnungen, die wir einander zuschoben. Wir sprachen kaum. Es war düster, wir liessen das elektrische Licht den ganzen Tag über brennen und zündeten manchmal Kerzen an. Richtig wach wurden wir nicht. Wir waren wie Tiere in ihrem Bau, spät im Herbst, dicht aneinander geschmiegt, um die Körperwärme des andern zu spüren. Der Herzschlag

und die Atmung verlangsamten sich, wir schlossen die Augen, dösten vor uns hin und fielen schliesslich in tiefen Schlaf, einen Schlaf voller Träume, während draussen die Kälte um sich griff und immer mehr Schneeflocken durch die Luft wirbelten und der Winter unwiderruflich anbrach.

Nils arbeitete in einem kleinen Kino, in dem Filme gezeigt wurden, die in den grossen Sälen des Zentrums nicht liefen und nur ein kleines Publikum anzogen. Oft stand ich an den Getränkeautomaten gelehnt dort, blätterte in den Heften mit den Filmbeschreibungen und schaute Nils dabei zu, wie er Eintrittskarten verkaufte und Gummibärchen und Cola. In einem gläsernen Behälter kreisten frische Brezeln, Popcorngeruch füllte den Raum, auf den roten Spannteppichen lagen Zellophanpapierchen, die knisterten, sobald jemand darauf trat. Wenn neue Besucher ins Kino kamen, glitten die Eingangstüren lautlos auseinander und liessen einen Schwall kalter Winterluft ins Kino, und ich zog den Mantel enger um mich. Überall war das Licht gedämpft, nur über dem Verkaufstresen leuchteten grelle Lämpchen und hoben Nils aus allem anderen hervor. Wie auf einer Bühne stand er dort und verkaufte seine Tickets und die Süssigkeiten, und in seiner roten Jacke und mit den zusammengebundenen Haaren erinnerte er mich an einen Platzanweiser im Zirkus. Manchmal schirmte Nils sein Gesicht gegen das Licht ab und zwinkerte mir mit seinem tiefblauen Auge zu, während das gläserne grüne an mir vorbei gerichtet blieb.

Im Vorführungssaal lief leise Jazzmusik, die Besucher schoben sich seitwärts durch die Reihen und suchten ihre Plätze, unterhielten sich murmelnd und griffen in ihre Popcornütten. Dann erlosch das Licht, der schwere rote Vorhang glitt zur Seite, nur vereinzelt hörte man

noch Gelächter und Geflüster. Die ersten Bilder flimmerten über die Leinwand, noch etwas verschwommen. Ich wandte den Kopf und schaute zum Projektor hinter der kleinen Glasscheibe. Dort stand Nils, das wusste ich, für mich unsichtbar, und drehte an einem Rädchen, um den Film scharf zu stellen. Ich streifte die gefütterten Stiefel von den Füßen und zog die Beine hoch, und in den weichen Sessel versunken wartete ich, bis Nils für einen kurzen Moment neben mich glitt und mir alles über den Film erzählte, was er wusste, und ich erinnere mich oft an diese Augenblicke, an den Lichtstrahl des Projektors über uns, an den Geruch nach Seife und Popcorn und Schmieröl auf Nils' Haut, an seine flüsternde Stimme in der warmen Dunkelheit.

An seinen freien Abenden gingen wir manchmal in ein anderes Kino, um uns einen ganzen Film zusammen anzusehen. Wir sassen in den rot- oder blaugepolsterten Sesseln, teilten uns einen Pappbecher voll gezuckertem Popcorn und redeten, bis das Licht erlosch. Dann schob Nils mir das Popcorn zu, rutschte tief in seinen Sessel, verschränkte die Hände vor dem Bauch und war von da an ganz auf den Film konzentriert. Ich empfand sein Abtauchen beinahe körperlich, und obwohl wir den selben Film sahen, hatte ich jedes Mal das Gefühl, Nils nicht folgen zu können. Immer wieder stiess ich ihn an und machte ihn auf etwas aufmerksam, auf eine Geste, einen Satz, eine Figur, zwang ihn wenigstens für Sekunden zu mir zurück.

Während wir dort nebeneinander im Dunkeln sassen, dachte ich daran, wie wenig Nils erwähnte aus der Zeit, bevor wir uns kennen gelernt hatten, an seine gezeichneten Botschaften, die er mir manchmal schickte, anstatt mit mir zu sprechen, daran, wie oft ich nachts erwachte, mich aufsetzte und Nils' Gesicht betrachtete, die feinen Narben um das linke Auge, und mich fragte, was es war, das er mir nicht erzählen konnte, aber dann traten wir aus dem Kino, sprachen über den Film, legten die Arme umeinander und gingen durch die hell erleuchtete Stadt, und oft hatte Nils ein Geschenk dabei, das er mir unter einer Strassenlampe überreichte, ein kleines Buch oder ein Armband oder einen Kugelschreiber mit meinem Namen darauf, und irgendwann vergass ich das Gefühl der Fremdheit wieder, das ich noch Minuten zuvor empfunden hatte.

Am Samstag Morgen trafen Nils und ich uns jeweils sehr früh. Wolken trieben über uns hinweg, schmutzig grau oder bläulich oder leuchtend weiss, und Raureif überzog die Blätter am Boden. Wir setzten uns auf eine Bank unter einem kahlen Baum, rückten gegen die Kälte dicht zusammen und schauten den Händlern auf dem Markt dabei zu, wie sie ihre Stände aufstellten. Das Brot in unserer Papiertüte war meist noch warm. Wenn wir Stücke davon abbrachen, blieben an den Handschuhen Krümel hängen, die wir später den Tauben hinwarfen. Wir brauchten nichts und sahen uns dennoch alles an, die selbst getöpften Vasen, die Dörrfrüchte, die alten Postkarten, den Schmuck, die Batiktücher, die Räucherstäbchen, die gebrauchten Holzspielzeuge. Manchmal probierten wir einen Pullover an oder einen selbst gestrickten Schal. Bis am Mittag irrten wir ziellos durch die schmalen Wege zwischen den Ständen, blieben wie Gefangene in dieser improvisierten Stadt, die nach süssigem Lebkuchen roch und nach Caramel, nach Honig

und Rumpunsch, nach Holz und Leder und Schnee. Ein einziges Mal kauften wir auch etwas. Nils blieb vor einem Stand stehen und zeigte auf eine mit Wasser gefüllte Glaskugel. Ich nahm sie in die Hand, um sie genauer zu betrachten. Eine winzige Nachbildung des Marktes war darin zu sehen, Menschen in bunten Kleidern, Holzstän- de, blätterlose Bäume, ein Hund neben einem Teich, in dessen Mitte ein Schwan trieb. Wenn man die Kugel schüttelte, wurden glitzernde Schneeflocken aufgewir- belt, die dann wieder nach unten rieselten und sich in feiner Schicht über die Landschaft und die Menschen leg- ten. Nils und ich bezahlten je die Hälfte des Kaufpreises. Eine Woche lang behielt Nils die Kugel, in der folgenden Woche nahm ich sie mit nach Hause. Jeden Samstag tauschten wir sie aus, während wir früh morgens auf der Bank sassen und unser warmes Brot assen und darauf warteten, dass der Markt begann. Wenn die Kugel bei mir war, stand sie auf meinem Nachttisch. Bevor ich mich abends ins Bett legte, schüttelte ich sie und schaute dabei zu, wie die Schneeflocken wieder auf die Erde sanken, und ich stellte mir vor, ich könnte in die Kugel eintau- chen, wenn ich wollte, könnte den bellenden Hund hören und die Wärme des Ofens fühlen, die gerösteten Nüsse riechen, über den frisch gefallenen Schnee stapfen, der unter meinen Schuhen knirschen würde, und Nils stände neben mir, und dieser Augenblick wäre für immer gefan- gen und eingefroren, geschützt durch das unzerstörbare Glas der Kugel um uns herum.

Als Nils nicht mehr im Kino arbeiten wollte, nahm er eine Stelle als Fernfahrer an. Jener Frühsommer brachte bereits Hitzetage mit sich. Während ich schwitzend über den Illustrationen sass, die in einem wissenschaftlichen Werk über Süßwasserpflanzen erscheinen sollten, stellte ich mir vor, wie Nils nach Süden fuhr, nachts, allein zwischen den verschwommen vorbeirasenden Lichtern der Autobahn, den Geruch nach Benzin und Schmieröl um sich herum, wie aus dem Radio leise Musik drang, beinahe unhörbar neben dem Brummen des Motors und dem Rauschen der entgegenkommenden Autos, wie die Scheinwerfer seines Lastwagens über die Motels und die Schafferden am Strassenrand glitten, sie einen Moment lang aufleuchten liessen, bevor die Nacht sie wieder verschluckte. Wie Nils auf spärlich beleuchtete Parkplät- ze fuhr, in eine Raststätte ging, sich an die Theke setzte, einen Kaffee oder ein Bier vor sich, wie er sich müde die brennenden Augen rieb, ein Sandwich mit nach draussen nahm und aus dem Papier wickelte, während er allein vor den Reihen geparkter Autos, Lastwagen und Wohnmobile hin und her ging, die in der späten Stunde schweigsamen Menschen beobachtend, welche durch einen Zufall genau

zur selben Zeit wie er an diesem Ort angekommen waren, wie er zurückstieg in seinen Lastwagen und wieder über die Strassen rollte, während er seinerseits an mich dach- te, Stunde um Stunde um Stunde, bis das Morgengrauen den Himmel erhellte und später eine rot glühende Sonne vor ihm über den Horizont zu steigen begann, wie der Staub als dunstiger Schleier über allem lag, wie die er- hitzte Luft über dem Asphalt die Städte in der Ferne wie Fata Morganas flimmern liess, und ich wartete auf Nils, wie ich früher auf den Klang von Vincents Automotor gewartet hatte, legte behutsam die Pinsel und Ölkreiden aus der Hand, sobald ich ihn das Haus betreten und ungeduldig die Treppe hoch laufen hörte, drehte mich zur Tür, und dann stand er vor mir, lächelte mich an und umarmte mich, hauchte seinen Atem in meinen Nacken, hielt mich fest.

An einem der heissesten Tage des Sommers fuhren wir mit den Rädern durch den Wald. Beim Schwimmbad, das zwischen den Bäumen versteckt direkt am Fluss lag, stand ein Eiswagen unter einem bunten Sonnenschirm. Nils und ich kauften immer dasselbe, wenn wir dort vorbeikamen, Blaue Engel, blau gefärbtes Bananeneis. Der Verkäufer rollte einige Kugeln, drückte sie in zwei Hörnchen und gab uns das Eis, dazu noch Servietten. Als wir weiter fuhren, blieben das Geschrei und das Geläch- ter des Schwimmbades hinter uns zurück. Entlang des Flusses war es still, man hörte nur das leise Rauschen der Autos auf der andern Seite des Waldes und manchmal das Rattern eines Güterzuges, der in der Ferne vorüber- fuhr.

Ich sagte Nils, dass ich schwanger sei. Er wandte den Kopf und lächelte. Dann fragte ich Nils erneut nach seinem Glasauge, nach den Narben, und Nils drehte den Kopf ruckartig wieder weg von mir, trat schneller in die Pedalen. Die Blauen Engel verfärbten uns die Zunge. Nils war jetzt immer ein Stück vor mir, das T-Shirt flatterte um seinen Körper. Knallend zerplatzten die Kaugummi- blasen, die Tasche mit unseren Sachen klemmte schief auf dem Gepäckträger von Nils' Fahrrad und rutschte bei jedem Schlenker ein Stück weiter Richtung Speichen. Ich liess Nils anhalten und rückte die Tasche zurecht. Neben uns verschwand eine Blindschleiche raschelnd im Unter- holz. Dann fuhren wir weiter. Wieder und wieder platzte die Kaugummiblase, nervös schüttelte ich mir die nassen Haare aus dem Gesicht.

Am nächsten Tag war Nils verschwunden.

i sikorki, przelatujące przez gęste gałęzie drzew lub szukające pożywienia w na wpół zbutwiałych zeszlórocz- nych liściach. Wspinaliśmy się na zwalone pnie, łydkami dotykając ukrytych pokrzyw, potem chłodziliśmy zaczer- wienienia w wodzie i rzucaliśmy kaczkom suchy chleb, który zawsze nosiliśmy ze sobą w torbie, wytrząsaliśmy nasze buty pełne piasku z drogi; i wszędzie panowała cisza, tylko woda szemrała i pluskała, a poza nami nie było tam nikogo, póki w końcu nie wróciliśmy do brudu

i hałasu miasta. Potem pod naszymi stopami szeleściły jesienne liście i jarzyły się w słońcu kolorami. Zbieraliśmy kasztany i pocierali palcami ich gładką powierzchnię, nadgryzaliśmy ostrożnie miękką lupinkę buczyny i na- wzajem wkładaliśmy sobie orzeszki do ust. Skóra naszych dłoni opalizowała srebrzyście od obierania mandarynek. Przyglądaliśmy się latawcom puszczanym przez dzieci, koniom trenowanym na pastwisku tak, aż ich rozgrzane ciała buchały parą. Czasami niepostrzeżenie otwieraliśmy drzwi pobliskich stajni, przechodziliśmy między boksami i podsuwaliśmy stojącym w nich koniom kostki cukru, które zwierzęta wyjadały nam z dłoni swoimi aksamitnymi pyskami, a ciepła, mroczna stajnia była jak jaskinia, w której siedzieliśmy, dopóki nie usłyszeliśmy zbliżają- cych się z zewnątrz ludzkich głosów. Gdy siedzieliśmy obok siebie na ławce, owijałam swój długi, pasiasty szal wokół szyi Nilsa. Czasami w powietrzu unosiły się błysz- czące pajęczki nitki. W cieplejsze dni można było jeszcze spotkać motyle i osy. Po gwałtownych opadach deszczu rzeka niosła połamane patyki i gałęzie, pachniało mokry- mi liśćmi, koźmi i cygarem, które Nils kopcił, podczas gdy pod naszymi stopami trzaskały czapeczki żołądzi. Place zabaw były teraz opuszczone, przy zjeżdżalniach i drabinkach leżały tylko zapomniane wiaderka i gumowe piłki. Noce stały się chłodne. Ponad łąkami zbierała się mgła, najpierw pojedyncze smugi, które stopniowo gęst- niały, by w końcu otoczyć nas całkowicie, jarzyły się w świetle latarni ulicznych, łącząc się z chmurkami naszych oddechów i zostawiały nam maleńkie kropelki wody na włosach, a my wkładaliśmy sobie dłonie nawza- jem w rękawy, żeby je ogrzać, choć prawdziwy ziąb i śnieg przyszły tamtego roku późno, dopiero pod koniec listopada. Gęste szare chmury całymi dniami wisały nad miastem. Podmuchy wiatru zrywały z drzew błysz- czące żółto i czerwono liście i niosły je gdzieś wysoko ponad dachy, w kłęby dymu unoszącego się z kominów. Śniegowe płatki pędziły poziomo przed oknami. Wiatr z jękiem tłukł się w moim starym mieszkaniu, przeciskał się przez szpary w nieuszczelnionych oknach i drzwiach. Nils i ja siedzieliśmy otuleni kocami, plecy opieraliśmy o kalo- ryfer, w którym ciurkała woda. Na przemian popijaliśmy parującego grzańca z jednej szklanki stojącej między nami i porozumiewaliśmy się głównie gestami, dotykiem, wzrokiem czy rysowanymi na karteczkach szkicami i rysunkami, którymi nieustannie się wymienialiśmy. Prawie nie mówiliśmy. Było ciemno, przez cały dzień nie wyłączyliśmy światła elektrycznego, czasem jeszcze zapa- laliśmy świeczki. Nigdy nie byliśmy do końca obudzeni. Jak zwierzęta w norze późną jesienią przytulaliśmy się mocno do siebie, żeby poczuć nawzajem ciepło swoich ciał. Bicie serca i oddech spowalniały się, zamykaliśmy oczy, zapadaliśmy w lekką drzemkę, a potem w głęboki sen, sen pełen marzeń i obrazów, podczas gdy za oknem mróz był coraz sroższy, coraz więcej śniegowych płatków wirowało w powietrzu i nieodwołalnie zaczynała się zima.

Nils pracował w małym kinie, pokazującym filmy, które nie były puszczone w wielkich multiplexach w centrum miasta, bo przyciągały tylko niewielką publiczność. Często stałam tam oparta o automat z napojami, wertując broszury z programem, i przyglądałam się, jak Nils sprze- daje bilety, żelki i colę. W szklanym pojemniku kręciły się świeże precele, woń popcornu wypełniała pomieszczenie, na czerwonej wykładzinie leżały celofanowe papierki,

które szeleściły, gdy ktoś na nie nadepnął. Kiedy do kina wchodzili nowi widzowie, drzwi wejściowe uchylały się bezszelestnie, wpuszczając do środka powiew mroźnego zimowego powietrza, a ja musiałam ciaśniej otulać się płaszczem. Wszędzie światło było przytłumione, tylko nad kontuarem jarzyły się mocniejsze lampki i wyróżnia- ły Nilsa z otoczenia. Stał tam jak na scenie i sprzedawał swoje bilety i słodycze; w swojej czerwonej kurtce i ze związonymi w kucyk włosami wyglądał dla mnie jak bile- ter w cyrku. Czasami Nils osłaniał twarz przed światłem i mrugał do mnie ciemnoniebieskim okiem, podczas gdy to zielone, szklane patrzyło gdzieś obok mnie.

W sali kina leciała przytłumiona muzyka jazzowa, widzowie przesuwali się bokiem między rzędami, szukali swoich miejsc, rozmawiali półgłosem i sięgali do kubków z popcornem. Potem światło gaśło, ciężka czerwona kurtyna odsuwała się na bok, jeszcze tylko tu i ówdzie rozlegały się pojedyncze szepty i śmiechy. Pierwsze obra- zy pokazujące się na ekranie były jeszcze trochę nieostre. Odwracałam głowę w stronę projektora za małą szybką. Wiedziałam, że tam jest Nils, niewidzialny dla mnie, i kręci pokręteł, żeby ustawić ostrość. Zrzucałam ocie- plane kozaki, podciągałam nogi i zagłębiona w miękkim fotel czekałam, aż Nils na chwilę przy mnie usiądzie, żeby mi opowiedzieć wszystko, co wie o tym filmie. Często wspominam te chwile, smugę światła z projektora nad naszymi głowami, zapach mydła, popcornu i oleju ma- szynowego na skórze Nilsa, jego szept w ciepłym mroku. Kiedy miał wolny wieczór, chodziliśmy czasami do innego kina, żeby wspólnie obejrzeć cały film. Siedzieliśmy w fotelach z czerwono-niebieską tapicerką, dzieliliśmy się porcją słodzonego popcornu i gadaliśmy, póki nie zgasto światło. Potem Nils podsuwał mi popcorn, a sam zapadał się głęboko w fotel, spletał dłonie na brzuchu i od tej chwili był skoncentrowany wyłącznie na filmie. Odbie- rałam jego zanurzenie w sobie niemal fizycznie, i choć oglądaliśmy ten sam film, miałam wrażenie, że nie jestem w stanie podążać za nim. Co chwilę musiałam go trzącać, żeby zwrócić jego uwagę na różne rzeczy, jakiś gest czy zdanie, zmuszałam go do powrotu do mnie przynajmniej na kilka sekund.

I kiedy tak siedzieliśmy obok siebie w ciemności, myśla- łam o tym, jak mało Nils opowiada o sobie sprzed nasze- go poznania, o swoich rysowanych wiadomościach, które mi czasem wysyłał, zamiast ze mną rozmawiać, o tym, ile razy budziłam się w nocy i siadałam na łóżku, żeby przyglądać się twarzy Nilsa, delikatnym bliznom wokół lewego oka, i zastanawiałam się, co to były za rzeczy, któ- rych nie może mi opowiedzieć, ale potem wychodziliśmy z kina, zaczynaliśmy rozmawiać o filmie, i ze splecionymi ramionami szliśmy przez jasno oświetlone miasto, a czasem Nils miał dla mnie jakiś mały prezent, który wręczał mi pod uliczną latarnią, jakąś książeczkę, branso- letkę albo długopis z moim imieniem, więc potem zapo- miinałam o tym poczuciu obcości, które miałam jeszcze kilka minut wcześniej.

W sobotę rano Nils i ja spotykaliśmy się bardzo wcześnie. Chmury pędziły nad naszymi głowami, brudnoszare, nie- bieskawe albo rozjarzone bielą, liście na ziemi pokrywał szron. Siadaliśmy na ławce pod nagim drzewem, przysu- waliśmy się blisko do siebie, żeby nie zmarznąć, i przy- glądaliśmy się, jak handlarze na targu ustawiają swoje stragany. Chleb w naszej papierowej torbie był przeważ-

nie jeszcze ciepły, kiedy odrywaliśmy z niego kawałki, do naszych rękawic przyczepiały się okruszki, które później rzucaliśmy gołębiom. Niczego nie potrzebowaliśmy, a mimo to oglądaliśmy wszystko, ręcznie robione wazon-y, suszone owoce, stare widokówki, biżuterię, batikowe chusty, kadzidełka, używane zabawki. Czasami przymierzaliśmy jakiś sweter albo dziergany na drutach szalik. Do południa błądziliśmy wąskimi drózkami wśród straganów, jak uwięzieni w tym zaimprovizowanym mieście, które pachniało słodkimi pierniczkami, karmelem, miodem i rozczym rudowym, drewnem, skórą i śniegiem. Jeden raz też coś kupiliśmy. Nils zatrzymał się przed jakimś straganem i pokazał mi wypełnioną wodą szklaną kulę. Wzięłam ją do ręki, żeby dokładnie obejrzeć. W środku można było zobaczyć maleńki obraz jarmarku, ludzi w barwnych ubraniach, drewniane stragany, bezlistne drzewa, psa przy stawie, po którym pływał łabędź. Kiedy się potrzęsało kulą, w środku zrywała się zamieć migoczących płatków śniegu, które potem znów opadały na dół, pokrywając cienką warstewką widoczek i ludzi. Nils i ja zapłaciliśmy za nią po połowie. Przez jeden tydzień Nils miał kulę u siebie, w następnym tygodniu ja brałam ją do domu. W każdą sobotę wymienialiśmy się, kiedy siedząc rano na ławce, pojadaliśmy ciepły chleb i czekaliśmy, aż jarmark się zacznie. Kiedy miałam kulę u siebie, stała na nocnym stoliku. Przed zaśnięciem potrzęsałam nią i przyglądałam się, jak płatki śniegu znów osiadają na ziemi i wyobrażałam sobie, że mogłabym wejść w tę kulę, gdybym chciała, mogłabym usłyszeć szczenie psa, poczuć żar pieca, zapach prazynych orzeszków, chodzić po świeżo spadłym śniegu, który skrzypiałby pod moimi stopami, a Nils stałby obok mnie i ten moment byłby uchwycony na zawsze i zastygły, chroniony nietłukącym szkłem wokół nas.

Kiedy Nils nie chciał już więcej pracować w kinie, przyjął posadę kierowcy tira. Tamto wczesne lato przyniosło od razu upały. Siedziałam spocona nad rysunkami, które miały się ukazać w pracy naukowej o roślinach wód słodkich i wyobrażałam sobie, jak Nils jedzie na południe, sam pomiędzy rozmytymi, pędzącymi obok światłami autostrady, otoczony zapachem benzyny i smaru, jak z radia dobiega cicha muzyka, prawie niedosłyszalna w ryku silnika i szumie samochodów nadjeżdżających z naprzeciwka, jak światła jego ciężarówki przesuwają się po motelach i stadach owiec na poboczach, na chwilę je rozjaśniają, by zaraz znów mogła połknąć je noc. Jak Nils wjeżdża na słabo oświetlone parkingi, idzie do baru, siada przy kontuarze z kawą czy piwem, jak pociera sobie zmęczone, piekące oczy, bierze kanapkę

na wynos i rozwija ją z papieru, przechadzając się przed rzędami zaparkowanych samochodów, tirów i wozów campingowych, obserwuje milczących o tej późnej porze ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się w tym samym czasie na tym samym miejscu co on, jak później wsiada z powrotem do swojej ciężarówki i znów wyjeżdża na drogę i myśli o mnie, godzinę za godziną, póki szarość świtu nie rozjaśni nieba, a potem płonące na czerwono słońce nie zacznie wznosić się przed nim na horyzoncie, jak kurz niczym szary welon kładzie się na wszystkim, jak rozgrzane powietrze nad asfaltem nadaje miastom w oddali wygląd drgającej fatamorgany, i czekałam na Nilsa, jak wcześniej wyczekiwałam odgłosu silnika Vincenta, potem ostrożnie odkładałam pędzle i pastele, kiedy tylko słyszałam, że wchodzi do domu i niecierpliwie biegnie po schodach, odwracałam się do drzwi, a wtedy on stał przede mną roześmiany, obejmował mnie i chuchał mi swoim oddechem na kark, przyciskał mnie do siebie.

W jeden z najgorętszych dni tego lata jechaliśmy rowerami przez las. Przy kąpielisku schowanym pośród drzew tuż nad rzeką stał wózek lodziarza pod kolorowym parasolem. Nils i ja zawsze kupowaliśmy to samo, gdy tamtędy przejeżdżaliśmy, Błękitnego Anioła, barwione na niebiesko lody bananowe. Sprzedawca formował gałki, wciskał je w dwa rożki wafłowe i podawał nam lody, a do nich serwetki. Kiedy jechaliśmy dalej, krzyki i śmiechy z kąpieliska zostawały za nami. Wzdłuż rzeki panowała cisza, było słychać tylko cichy szum samochodów zza lasu, a czasem nawet stukot pociągu towarowego przejeżdżającego gdzieś daleko. Powiedziałam Nilsowi, że jestem w ciąży. Odwrócił głowę i się uśmiechnął. Potem zapytałam go znowu o jego szklane oko, o blizny, a Nils nagłym ruchem znów odwrócił ode mnie głowę, zaczął mocniej naciskać pedały. Błękitny Anioł zabarwił nam języki. Nils był teraz ciągle kawałek przede mną, jego t-shirt trzepotał mu wokół ciała. Z trzaskiem pękały balony z gumy do żucia, torba z naszymi rzeczami była krzywo przypięta na bagażniku roweru Nilsa, przy każdym wyboju przesuwiała się coraz bliżej szprych. Poprosiłam go, żeby się zatrzymał i poprawił torbę. Obok nas przemknął padalec i zniknął z szelestem w zaroślach. Potem pojechaliśmy dalej. Balon z gumy ciągle pękał na nowo, nerwowo odgarniałam sobie z twarzy mokre włosy.

Następnego dnia Nils zniknął.

[Tłumaczenie: Alicja Rosenau]

i siniці, які прошмигували крізь густі гілки дерев або шукали поживу у напівзотлілому минулорічному листі. Ми перелізали через стовбури повалених дерев, торкалися литками кропиви, яка ховалася між травою, охолоджували попечену шкіру у воді й кидали качкам шматки сухого хліба, який мали зі собою у торбинці, потім витрушували із взуття пісок, який набивався туди дорогою, і було дуже тихо, тільки вода шурхотіла і плюскотіла, і не було нікого, окрім нас, аж поки ми не повернулися нарешті назад,

до міського бруду і галасу. Згодом під нашими ногами шаруділо осінні листя, листя над нами просвічувало на сонці. Ми підіймали з землі каштани і гладили пальцями їхню блискучу поверхню, обережно надкушували м'яку шкаралупку букових горішків і вкладали зернятка одне одному до вуст. Шкіра наших долонь сріблясто блищала від мандаринок, які ми чистили. Ми дивилися на повітряних зміїв, яких запускали діти, і на коней, яких тресували на вигоні, аж поки їхні розігріті тіла не починали парувати. Іноді ми непомітно відчиняли двері до стайні, одне за одним проходили стійла і простягали коням грудочки цукру, а вони хапали цукор із наших долонь своїми м'якими губами, і тепла, затінена стайня скидалася на печеру, в якій ми залишалися, аж поки до нас не долинали знадвору людські голоси. Коли ми сиділи поруч на лавці, я обмотувала свій товстий закручений шалик довкола наших ший – своєї і Нільса. Час від часу у повітрі зависали блискучі павутинки. У тепліші дні траплялися ще метелики та оси. Після сильних злив у річці було повно трісок та гілок дерев, у повітрі стояв запах вологої землі і мокрого листя, запах коней і сигари, яку курих Нільс, а під нашими ногами лускали жолуді. Дитячі майданчики спорожніли, лише поодинокі забуті відерця для піску і гумові м'ячки лежали біля гойдалок і кольорових драбинок. Ночі ставали прохолодними. Над галявинами залягав туман, спершу утворювалися лише окремі смужки, які поступово густішали і врешті поглинали нас, вони поблискували у світлі вуличних ліхтарів і змішувалися з парою нашого дихання, залишали у волоссі краплинки вологи, і ми всували долоні одне одному в рукави курток, щоб зігрітися, але справжній холод і сніг того року надійшли пізно, аж у кінці листопада. Цілими днями над містом висіли важкі сірі хмари. Пориви вітру зривали з гілок останні листки, що відсвічували жовто і червоно, і несли їх геть, понад дахами і димами, які підіймалися з розпалених камінів. Сніжинки прямовисно пролітали повз наше вікно. Вітер із завиваннями проривався і до мого помешкання, прослизав крізь щілини у вікнах і дверях. Ми з Нільсом сиділи, закутавшись у вовняні ковдри, спершися спинами на батарею, у якій булькала вода. Ми по черзі пили зі склянки гаряче вино і спілкувалися в основному жестами, доторками, поглядами, рисуночками, які підсували одне одному. Ми майже не розмовляли. У помешканні було темно, у нас цілий день було ввімкнене електричне освітлення, а іноді ми запаловали ще і свічки. Ми так і не прокидалися як слід. Були як тварини у норі пізньої осені, тісно притулені, щоб відчувати тепло тіла одне одного. Ритм серця і дихання сповільнювався, ми замикали очі, дрімали, щоб поволі поринути у справжній глибокий сон, сповнений снів, поки надворі холод хапався за все довкола і сніжинки кружляли у повітрі, і остаточно починалася зима.

Нільс працював у кінотеатрі, де показували фільми, які не йшли у великих кінозалах середмістя і на які приходила лише нечисельна публіка. Я часто стояла, притулившись до автомата з напоями, гортала журнали з анонсами фільмів і спостерігала, як Нільс продає квитки, цукерки і колу. В скляному

циліндрі повільно кружляли свіжі брецлі, повітря пахло попкорном, на червоних килимових доріжках лежали целофанові папірці, вони шурхотіли, якщо на них хтось наступав. Коли у кінотеатр заходили нові відвідувачі, вхідні двері безгучно розсувалися, впускаючи всередину потік холодного повітря, а я щільніше закутувалася в пальто. Світло всюди було приглушене, тільки над прилавком, за яким працював Нільс, світилися яскраві лампочки і це виділяло Нільса з-посеред усього іншого. Він стояв, ніби на сцені, і продавав квитки та солодощі. У червоному піджаку і зі стягненим на потилиці волоссям він нагадував мені циркового білетера. Іноді Нільс затуляв обличчя від світла і підмургував мені своїм синім оком, тоді як скляне зелене око дивилося повз мене.

У кінозалі звучав тихий джаз, відвідувачі боком проходили рядами, шукаючи свої місця, тихо розмовляли між собою і сягали до торбинок із попкорном. Світло гасло, важка червона завіса розсувалася, і чулося лише поодинокі перешіптуння і підсміювання. На екрані з'являлися перші кадри, ще злегка розпливчасті. Я повертала голову і дивилася на проектор за крихітною шибкою. Там стояв Нільс, я знала це, хоча для мене він був невидимий, і підкручував коліщатко, щоб навести різкість. Я знімала чоботи на хутрі і сідала з ногами в м'яке крісло, я чекала, поки Нільс на мить присяде біля мене і розповість про фільм все, що знає сам. Я часто згадую ці моменти, промінь проектора над нами, запах мила, попкорну і мастила на шкірі Нільса, його шепіт у теплій темряві.

Коли у нього випадав вільний вечір, ми іноді ходили в інші кінотеатри, щоб подивитися фільм разом від початку до кінця. Ми сиділи в оббитих червоним або синім плюшем кріслах, їли удвох із одного паперового горнятка солодкий попкорн і розмовляли, поки не гасло світло. Тоді Нільс підсував попкорн ближче до мене, глибше втискався у крісло, схрещував руки на животі і зосереджував усю увагу на фільмі. Я майже фізично відчувала його занурення, і хоча ми обоє дивилися той самий фільм, у мене щоразу було відчуття, що він не зі мною. Я раз за разом штурхала його, звертаючи його увагу на щось – жест, фразу, постать, і цим привертала увагу до себе хоча б на кілька секунд.

Поки ми сиділи поруч у темряві, я думала про те, як мало Нільс розповідав про час, коли ми ще не були знайомі, про його малюнки, які він іноді надсилав мені замість того, щоб порозмовляти зі мною, думала про те, як часто прокидалася вночі, сідала на ліжку, розглядаючи обличчя Нільса, дрібні шрами над лівим оком, і питала себе, чого саме він не може мені розповісти, але потім ми виходили з кінотеатру, розмовляли про фільм, і йшли, тісно притулені, освітленими вулицями міста. Нільс часто мав при собі подарунок, який вручав мені під ліхтарем: книжечку, браслет, кулькову ручку з моїм іменем, і відчуженість, яка охоплювала мене ще кілька хвилин тому, зникала.

У суботу вранці ми з Нільсом зустрічалися завжди дуже рано. Над нами мчали хмари, брудно-сірі, або синюваті, іноді сліпуче білі, а на листках під ногами блищав іній. Ми сідали на лавку під безлистим

деревом, міцно притискалися одне до одного, щоб зігрітися, і дивилися на продавців на ринку, як вони розставляли свої столи. Загорнений в папір хліб, який ми мали зі собою, здебільшого був ще теплим. Коли ми відламували шматочки, на рукавицях залишалися крихти, які ми потім висипали голубам. Ми нічого не збиралися купувати, але тим не менше уважно все оглядали: керамічні вази, сушені фрукти, старі поштівки, прикраси, батіки, ароматичні палички, вживані дерев'яні іграшки. Іноді хтось із нас міряв светр або плетений шалик. До обіду ми безцільно блукали вузькими проходами поміж будками на ринку. ніби полонені, ми залишалися у цьому імпровізованому містечку, яке пахло різдвяними пряниками, карамеллю, медом, ромовим пуншем, деревом, шкірою і снігом. Тільки один-єдиний раз ми дещо придбали. Нільс зупинився біля одного з прилавків і показав на скляну кулю з водою всередині. Я взяла її в руки, щоб роздивитися детальніше. Усередині можна було побачити крихітну модель ринку, людей у барвистому одязі, дерев'яні будки, безлисті дерева, пса біля озера, у якому плавав лебідь. Якщо потрусити цією кулею, то всередині заметушаться блискучі сніжинки, які потім знову опускаються додолу і тоненькою верстовою вкривають предмети і людей. Ми з Нільсом заплатили за кулю, кожен – півціни. Тиждень вона стояла у Нільса, а наступного я брала її до себе. Щосуботи ми обмінювалися кулею, коли вранці їли на лавці теплий хліб і чекали, аж почне працювати базар. Якщо куля була у мене, вона стояла на нічному столику. Увечері перед сном я трусилася її, дивилася, як сніжинки повільно опускаються на землю, і уявляла собі, що могла би зануритися у цю кулю, якби захотіла, могла би почути гавкіт пса і відчуття тепло печі, запах смажених горіхів, могла би ступати по свіжому снігу, який би порипував під моїми ногами, а Нільс стояв би біля мене, і цю мить було б назавжди зупинено і заморожено, захищено незнищеним склом кулі довкола нас.

Коли Нільс вирішив не працювати більше в кінотеатрі, він влаштувався водієм-дальноїїником. Початок літа тоді приніс спекотні дні. Я сиділа і пітніла від спеки, схилившись над ілюстраціями, які мала підготувати для однієї наукової праці про рослинність річкових водойм. Я уявляла собі, як Нільс саме їде кудись на південь, вночі, сам-один посеред розмитих вогнів автотраси, а довкола нього запах бензину і мазуту, як він слухає тиху музику в радіо, майже нечутну за шумом мотору і шурхотом коліс машин, які мчать повз нього, як фари його вантажівки освітлюють motel і овечі отари на узбіччі, вихоплюють їх із темряви на мить, а ніч зразу поглинає. Я уявляла, як Нільс заїздить на скупо освітлені паркінги, заходить до придорожньої кнайпи, сідає біля барної стійки, ставить перед собою каву або пиво, уявляла, як він тре очі, що печуть від втоми, як бере зі собою надвір канячку і розпаковує її з паперу, а потім ходить самотньо туди-сюди повз припарковані в ряд на стоянці легкові автомобілі, вантажівки і причепи на колесах, спостерігаючи за мовчазними о цій пізній порі людьми, які випадково опинилися у тому ж місці, що й він, уявляла, як він

сідає назад у вантажівку і їде далі, думаючи про мене, годину за годиною, годину за годиною, аж поки світанок не загориться на небі, а потім червоне сонце не вийде над горизонтом, я уявляла, як пилука опускається на все, ніби покривало з туману, як розпечене повітря над асфальтом примушує міста удалині ставати схожими на мерехтливі видма і чекала на Нільса, як раніше чекала на сигнал машини Вінсента, обережно відкладала убік пензлі і олівці, коли чула, як він заходить у дім і нетерпляче біжить сходами, оберталася до дверей, а тоді бачила його перед собою, він, посміхаючись, обіймав мене, міцно притискав до себе, я чула його подих на своїй шії.

Одного зі спекотних літніх днів ми їхали велосипедами лісом. Біля відкритого басейну, схованого поміж деревами, біля самої річки, стояла будка з морозивом, а над нею яскрава парасолька від сонця. Коли ми з Нільсом опинилися там, то завжди купували те саме: „Блакитний ангел“, бананове морозиво блакитного кольору. Продавець набирав у вафельний ріжок морозивні кульки і давав нам морозиво разом з паперовою серветкою. Потім ми їхали далі, залишаючи позаду крики і сміх у басейні. Вздовж берега річки було спокійно, чути лише тихе шурхотіння автомобільних шин по інший бік лісу, а час від часу ще торохтіння товарного потяга, який проїздив десь далеко. Я сказала Нільсові, що вагітна. Він повернув до мене голову і посміхнувся. Тоді я ще раз запитала Нільса про його скляне око, про шрами, і він знову різко відвернув від мене голову і поїхав швидше, частіше натискаючи на педаль. „Блакитні ангели“ фарбували наші язика. Нільс їхав тепер весь час трохи переді мною, його футболка майоріла довкола тіла. Надуті бульки жувальної гумки голосно лускали, сумка з нашими речима зсунулася набік на багажнику Нільсового ровера і рухалася далі у напрямку колеса. Я зупинила Нільса і поправила сумку. Неподалік прошарудів у траву вуж і зник. Ми поїхали далі. Раз за разом голосно лускали надуті бульки жувальної гумки, я нервово відкидала з обличчя мокре волосся.

Наступного дня Нільс зник.

[Переклад: Наталка Сняданко]

KARIN RICHNER (1980, Schweiz) – Prosaautorin. Studierte an der Universität Basel Deutsch, Englisch und Geschichte. Von 2002 bis 2004 absolvierte sie die Höhere Pädagogische Lehranstalt Zofingen. 2004 Teilnahme an der Textstatt Aargau des Müllerhauses (Literaturhaus in Lenzburg). 2006 erschien von ihr der sehr beachtete erste Roman *Sind keine Seepferdchen* und 2011 der Roman *Sieben Jahre Schlaf*. Sie wohnt in Rombach und arbeitet neben dem Schreiben als Lehrperson.

KARIN RICHNER (1980, Schweiz) – prozaiczka. Studiowała na uniwersytecie w Bazylei język niemiecki, angielski i historię. Od 2002 do 2004 roku studiowała na Uniwersytecie Pedagogicznym Zofingen. W 2004 roku prezentowała swoje teksty podczas wydarzenia literackiego Textstatt Aargau, organizowanego przez Müllerhaus (dom literatury w Lenzburgu). W 2006 ukazała się jej pierwsza powieść *Nie są konikami morskimi*, a w 2011 powieść *Siedem lat snu*. Autorka mieszka w Rombach i pracuje również jako nauczycielka.

КАРІН РІХНЕР (1980, Швейцарія) – авторка прози. Вивчала німецьку, англійську мови та історію в Базельському університеті. З 2002 до 2004 року навчалася в Педагогічному університеті в Цофінгені. 2004 року презентувала свої тексти в рамках літературної події Textstatt Aargau, організованої Будинком літератури в Ленцзбурзі (Müllerhaus). 2006 року вийшов її дебютний роман *Вони – не морські коники*, а 2011-го – роман *Сім років сну*. Авторка живе у Ромбаху, працює вчителькою.

© Matthieu Gafsou

Wolken trieb über uns hinweg...

109

111

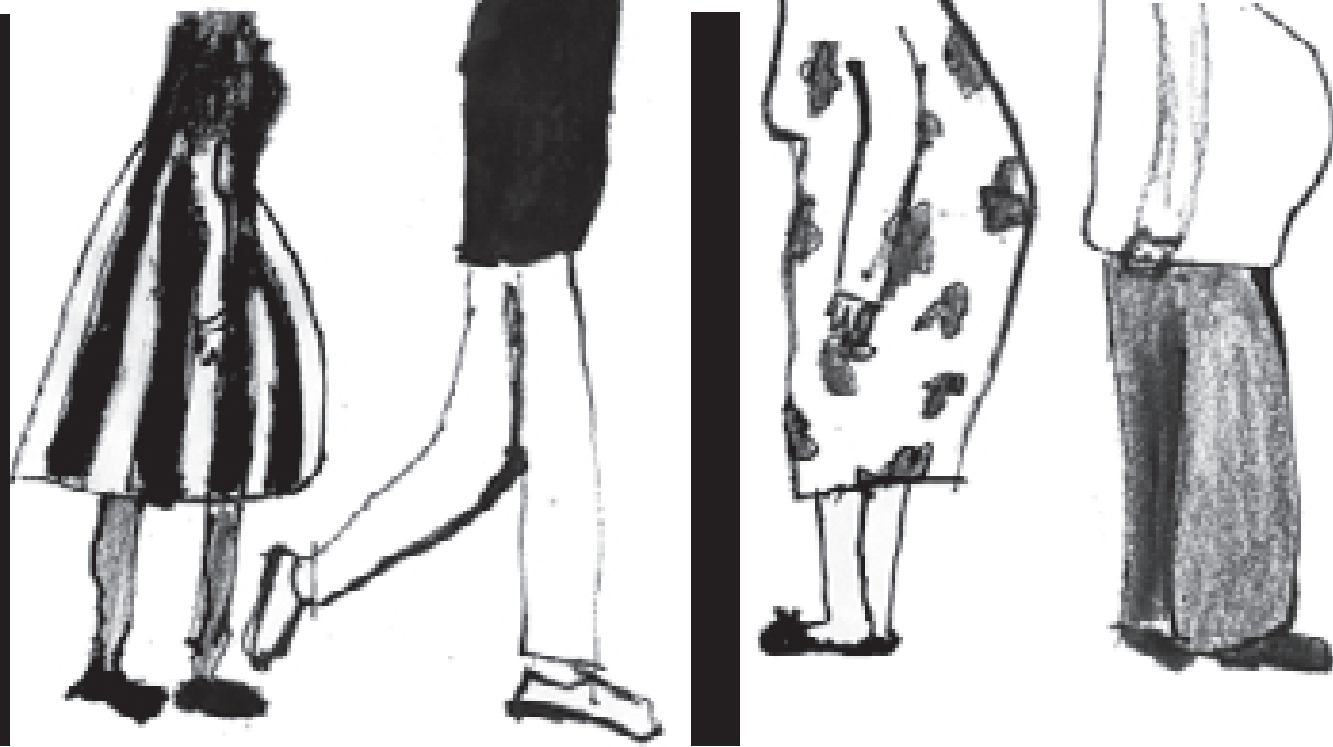
prosa / proza / proza

prosa / proza / proza

radar

radar

NAWIEDZENIE WIDWIDYNI



1.
Widzisz? Już jest. Siedzi i jakby czekała na klienta. Tyle że klient już był, szczęście przeszło bokiem, nie ma rozpijania społeczeństwa! Walił i walił, wkurzył się i dwie dychy poszły z przeciagiem. Pewno chciał wódę i fajki. Jeszcze jeden męt zatruł spokój. Zawsze mylą drzwi. Ale o czym ja Ci tu? Przecież wiesz, lepiej widzisz i słyszysz. Ja tak nie opowiem, bo jestem prosta kobieta. Tyle jej zostało: gotówka umknęła, ryj ostrzy na bliźniego i teraz to już tymi baleronami może sobie pomachać, diabła bując tam na girach. Kawał mięcha, a niby kurdupel, tyle że z wielkim bębmem, widzisz i nie grzmisz! Żre kartofle z mlekiem, bo kasy szkoda, choć stać ją na szynkę i parmeżany. Ten typ tak ma: wysra i jeszcze raz zeżre, żeby się nie zmarnowało. Niedługo będzie się toczyć po schodach. Może dlatego buja kopytami na tej ławce? Inaczej nie widzi, jakie buty włożyła! Ale co ona ma oglądać? Pod blokiem wystarczą kaptcie wyścielane zdeptanym baranem. Nawet babszyl nie widział, jak mu zarobek bokiem przepadł, bo ten pijaczyna wyszedł przez podwórko, a ona tu czeka. Pewnie nie może znieść meliniarskiego smrodu, sama go sobie wyhodowała. Widzisz? Idzie mój stary, tam daleko, za blokiem. Też jej wart, byłiby dobrym małżeństwem. Jeśli nie zatłukliby się w trakcie miodowego miesiąca. Czasem sobie myślę, że ona specjalnie przestaje handlować wodą o tej porze. Obsłuży stałych meneli, a potem nie musi już nic kombinować, po robocie należy się rozrywka. Kłótnia z moim starym więcej jej daje niż „Moda na sukces” i kolejna dwudziestka za flaszkę albo dycha za fajki z przemytu. Wszystko odpada, gdy może pożyć się ze starym pieniaczem, choć przez kwadrans.

Widzisz? Przystała machać girami, teraz szykuje się do ataku, już go widzi, a jak widzi, skoczy do grdyki. Czekaj, podejźmy bliżej okna, bo nie słyszę. Słuch nie ten, wzrok siada, zaczynam się sypać. Szkoda, że nas tu nie było, ciekawe jak go zaczepiła? O co poszło tym razem? Wnuk za głośno płakał? Stary za głośno puszczał bąki, czy woda kapała ze spłuczki? Wiedźma! Zawsze znajdzie jakiś pretekst, żeby się powyżywać. No, chyba stary nie jest dłużny, tak się miota:
– Belki w swoim oku nie widzisz, babo?! Mnie będziesz wytykać drzazgę, którą sam wyjąłem?
– Bo ty, Edek, serca nie masz, żeby tak sąsiadom dokucać! Ty zrób coś z tym bachorem!
– Co?! Ja nie mam?! Ja serca nie mam?! Patrzcie ludzie! Serdeczna się odezwała! Sam sobie tego dzieciaka zrobiłem, czy tobie? To chyba mam serce, przygarnąłem małego, tak? Jakbym serca nie miał, to gdzie byłby dzieciak? W pogotowiu opiekuńczym? Bo ty Staśka, to masz serce, tak? Tylko pompę masz tłoczącą, zatłuszczoną!
– Ja mam przynajmniej kulturę i porządek w rodzinie! Moje dzieci pracują, żony mają, mężów. Jadźka żyje w Warszawie, Romek w Berlinie! Na ludzi ich wychowałam, jak Pan Bóg przykazał. Dzieci mają w małżeństwie, a nie jak twoja córeczka, wywłoka.
– Młoda to i głupia, wiadomo. Póki za jej błędy odpowiadam, jej dzieciak nie siedzi zasrany w domu dziecka. Magda, jak sobie pozrywa te truskawki w Hiszpanii, jak pójdzie do innej ciężkiej roboty, może rozumu nabierze. Ale trzeba dać dziewczynie szansę, a nie przeganiać jak psa. W końcu jest krew z krwi, tak?
– Jucha psia, tfu! Z pijackiej twojej krwi!

DIE HEIMSUCHUNG



– Ty, Staśka, chyba samego Boga się nie boisz! Mnie pijaństwo wytykasz, bo idę do chałupy, po ciężkim dniu, po naświetlaniu oczu spawaniem, i dla ulgi dwa piwa wypilem, tak? Ale końca swojej pazernej garści nie widzisz?! Na jej końcu jest ludzka rozpacz posiniaczonych żon, głodnych dzieci, pasiesz kałdun z pieniędzy wyniesionych przez ich ojca. Ale tobie nic po tym! Ty wolisz wytknąć nieślubne dziecko mojej córce!
– Ja pijakom wódki w ryj nie leje, durne to piją! W sklepie drożej, to i więcej z domu muszą wynieść. I osłaniam ich baby. Niech się durnie zapiją, bo i tak nie odstąpią.
– Niejeden jeszcze i oślepnie od tego ruskiego gówna, co w nich pompujesz! Nie wyleziesz z piekła, babo!
– Ja ci Edek mówię! Ty pilnuj swojego piekła, bo sąsiadów nim obdzielasz! I zamknij dzieciakowi w nocy gębę, bo spać nie można.
– Patrzcie ludzie! Dzieciak jej przeszkadza! Jak pijusy co godzina wałą piąchą w drzwi, to dobrze?! Sama sobie jesteś winna, ścierwo! Te moczymordy dzieciaka wyrwyją ze snu, chorą żonę wybudzają, to dobrze?! Wiadomo, chłopak do matki tęskni, a noc nawet staremu straszna, co dopiero dzieciakowi? Zobaczysz, jędo, sam zadzwonię na policję, niech to gównu wreszcie się skończy.
– Ty się licz ze słowami, łajzo! Bo wsadzę ci je z powrotem w gardło...
Chyba masz dość? Mało twojej świętości i cierpliwości, żeby to znosić. Idę do kuchni, włączę zupę. Wykrzyczą się lada moment i Edek przyjdzie do chorej żony. Będzie chciał zjeść. Wiesz? Jak go tak słucham, sama nie poznaję, czy to jeszcze mój chłop, czy już jakiś obcy? Dobrze by było usłyszeć, co o nim myślisz. W końcu gdyby nie on,

dziś przecież nie mówiłabym do ciebie. Sęk w tym, że i tak nie odpowiesz. Nigdy nie odpowiadałaś. Wolałaś ukazywać się pastuszkom, dzieciom, ale nie takiej zwykłej, zmęczonej polskiej babie, bo po co? Za łatwo by uwierzyła? I tak nie masz jej do powiedzenia nic, czego sama nie wie. Tak, pewnie powiesz, że Edek jest pijak, obibok i leniem śmierdzi, ale serce ma dobre. Inny przegnałby córkę z bachorem. Mój pijak miał złote serce. Nie znasz, bo ty chodzisz po tych mamroczących babciach, co posłusznie szepczą na klęczkach i przebierają paciorki? Nie odpowiadaj. Nigdy nie odpowiadasz, a ja do siebie tylko tak myśli układam. Jest okazja, to same przychodzą. Wiesz, że wcale mi nie łatwo i mam żal do siebie. Tak zwyczajnie, bez słowa skargi, całkiem jak dziecko, przystałam na jego głupawy nakaz z tym obrazem. Jak mam to zrobić? Niby co? Dać mu obiadek, uśmiechnąć się i stroić ołtarzyk? Zdjąć telewizor, postawić suszki i sztuczne niezapominajki? Może od razu polecę do proboszcza po święconą wodę? Najlepiej przyniosę w plastikowej butelce, niebieskiej, co ma kształt fatimskiej figurki, a za zakrętkę robi żółta korona. Śmiesznie mnie to, tak! A co? Nie może? To mnie złości i mąci pod czaszką, wiesz? Ale najbardziej mnie wkurza, że nie umiem powiedzieć temu mojemu gamoniowi, żeby wypchał się swoimi pomysłami! Żeby sam sobie te ołtarzyki stawiał i światełka świecił, żeby jeszcze wygrzebał włosy anielskie i obwiesił nimi firanki. Na co mi to?
Zebrało mu się na religijność, widziałaś? Ostatni raz był u spowiedzi przed narodzeniem pierwszej córki. Przy drugiej już był taki odważny i pewny siebie, że nie potrzebował boskiej opieki, żadnego błogosławieństwa.

Sam sobie pobłogosławił, nabrał się bimbru jak żaba mułu i kochał bliźniego. Całował wszystkich dokoła, nawalony jak ruski samolot, a wódę łał wszystkim jak z darmowej studzienki. Musiałam sama przyjechać z porodówki. Taryfą, bo chłop nie wiedział, na jakim świecie żyje. Trzy dni nie miał pojęcia, gdzie mieszka! Taki był katolik pobożny i miłujący! Ale jak ksiądz chodzi po kołodzie, to go głośno wpuszcza, uroczyście, żeby Burdelicha słyszała i widziała. Jak trzeba obrazek przyjąć do domu, to zaraz pierwszy w bloku i każe wyjąć garnitur, ten co na chrzciny wnuka kupił i będzie elegant paradował pobożnie po klatce.

2.

– To już, Zosia? Już idziemy?

– A ołtarzyk przystroiłeś, że chcesz iść?

– To nie Jamiołka była z obrazem? Z kim ty tam znowu trajkotałaś?

– Pijak jakiś, do Burdelowej, wiadomo. Adresy popieprzył. Nie pierwszy i nie ostatni.

– Szlag mnie kiedyś trafi z tą jej metą! Jak Boga kocham, nie wytrzymam, sam kiedyś pójde na policję, niech to się skończy!

– Daj spokój, nigdzie nie pójdziesz! Gliniarze biorą u niej wódkę, co wskórasz?

– Chcesz powiedzieć, że do końca życia będziemy się z nią bujać?

– Do końca? Na pewno! Tylko nie wiem czyjogo.

– Diabli nadal te pegeerów! Z piekła nie wyjdzie! Tyle nienawiści ma menda przy tym, że jeden grom wie! Każdego z błotem miesza, nad każdym stanie, jadu w oczy napluje i nikogo się nie boi! Na lewo i na prawo łaty tylko przyszywa.

– Bo Ruskie za nią stoją. Wóde dostarczają, fajki bez akcyzy, to kogo ma się bać? Palcem pokaże i zaraz wiertarką poprawią kolanka komu trzeba.

– E tam! Chamskie babskie szczekadło i tyle!

– Może tak, może nie, ale ty na nią, Edek, uważaj.

Pyskujesz jej, pyskujesz, aż się doigrasz, napaści na ciebie zbirów.

– Niech spróbuje! Już ona wie, że na mnie się nie oplaca. Będą tłuc dziada, żeby śmierdzącej babie dogodzić?

– Taka ruska dzicz jest nieobliczalna, oni mają człowieka za nic. Zobacz, co taki Stalin robił, swołocz. Setka czy tysiąc, tylko mięso armatnie. Ruskie tak są wychowane.

– Ale cienka dziś ta zupa, Zosia. Tak źle z nami? Daj do niej chociaż kawałek chleba.

– Ciesz się, że w ogóle jest zupa. Mały dziś marudny, chyba zęby mu poszły. Całe pięści pakuje do gęby. Zamiast drugiego dania, za karę, obgryziesz kość, z musztardą.

– Za karę? A co ja ci zrobiłem?

– Za karę, że muszę ołtarzyki stroić! Za karę, że będziesz mi tu uprawiał pobożność, śmierdzieli jeden! Obrazki mi tu potrzebne jak umarłemu kadzidło! Może jeszcze chcesz odmawiać nowenny, litanie może jeszcze?! Wszystko to jak wrzód na dupie w tej norze. Chcesz odstawić święto w chlewie? To beze mnie!

- Uważaj, kobieto, żebyś kary nie poniosła. Takie szkelenie może się nie spodobać Najświętszej Paniencie. Kto wie, gdzie byś dziś była, gdyby nie ona! Jęczałaś pod jej ołtarzykiem w kościele? Zapomniałaś już? Odstawił cię ten dupek, co do niego za młodu wdychałaś? Odstawił!

Dzięki Najświętszej Paniencie masz męża, co cię szanuje! Masz? Docień to kobieto! Bo teraz to nawet tej kości z musztardą mi się odechciało, jak cię słucham. Niby

porządna z ciebie żona, matka przykładna, ale za cholere nie wiem, skąd w tobie tyle gorzkości dla wiary i tradycji?

Jeszcze nie tak dawno puszczalaś małą na Oazę, pakowałaś na rekolekcje, gdzie to wszystko? Skakałaś nad nią z radości, że porządne dziecko, a teraz?

– Tyle jej dały te obozy, że zmajstrowała dzieciaka z pierwszym kretynem! Jakby była jak wszystkie dziewczuchy, to przynajmniej wiedziałyby co wolno, a co głupota!

– Ty znowu zaczynasz? Pójde lepiej do drogerii, po świece. Obrus jakiś połóż na komodę, koło telewizora. Kwiaty poustawiaj. Chyba nie muszę ci tłumaczyć?

– Idź, święty człowieku! Idź, tylko nie zapomnij wrócić.

Jak znam życie, zaraz włożysz świecę do przydrożnej butelki. Już ty mnie nie ucz, co ja mam położyć, a co wyprasować. Pan domu się znalazł! I pamiętaj, że za godzinę Jamiołki przyniosą ci ten twój obraz. Wymodlisz się za całe życie! Może jeszcze garniturek ci przygotowuje i krawat? Jak święto to święto!

- Nie bluzgaj kobieto, nie bluzgaj. Wolę słuchać bab

pod kościołem jak ciebie.

3.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Paniénka, Pani Zosiu.

– Na wieki wieków, pani Jamiołkowa, proszę. Obraz do dużego pokoju. Pan Jamiołek postawi tam, na prawo.

– Na te komode? Tu, gdzie białe posłane?

– Tak. Edek zaraz przyniesie świece. Późno wyszedł, bo z Burdelową zmirzył, pod blokiem, ale może zaraz przyjdzie.

– Pani to się ma z tą babą, pani Zosiu! Pani przez nią to chyba na stojąco pójdzie do nieba. Całą dobę musi pani słuchać tego łomotu. Przy pani chorobie, to bójcie się Boga! I jeszcze ten obraz! Przyszło pani akurat do niej nieść?! Przecież babsko za grosz nie ma wstydu! Zapisano się na nawiedzenie obrazu! Umierać nie myśli?! Tyle obciachu z tą jej meliną!

– I ja tak patrzę, pani Jamiołkowa, to jesteśmy dwie. Tylko co z tego, że mi ksiądz powie, że Pan Bóg inną miarą mierzy? Kiedy ja prosta kobieta jestem, a nie Pan Bóg.

I ja na pewno nie poniosę do niej obrazu na zgorszenie. Bo bym chyba tym obrazem dzieliła przez zatuszczony łeb. Niech Edek niesie.

– Niezbadane ścieżki Pańskie. Święta racja, pani Zosiu. Nie ma co Boga wyręczać, ale może Przenajświętsza Paniénka wstawi się za nami? Może poprosimy jej smutne oblicze w tym obrazie? Może szlag trafi tę melinę? Sama nie wiem.

– Co Pani? Będziemy się modlić o spadek popytu na wóde?! Pani Jamiołkowa, ile w pani dobroci, tyle naiwności.

– Ale zmówmy chociaż "Pod twoją obronę". Na okoliczność przekazania obrazu i w naszej wiadomej intencji. Kazek, postawiłeś obraz? Odkryłeś święte oblicze? Kłękaj tu z nami. W imię Ojca i Syna...

I Ducha Świętego mało na tego pijaka. Zamknęli drzwi i zostawili mi cię tu, całkiem jakbym o to prosiła. Ale mam za swoje. Jak nie umiałam odmówić, to do kogo teraz iść na skargi? Pijaka nie ma, nie mam kawałka świecy, różaniec też pewnie gdzieś skitrał. Zresztą i tak zapomniałam, jak się go odmawia. Masz żal? Wiesz, tak naprawdę nawet nie możesz mieć pretensji. Wybacz, ale nie zapraszałam. Pogadajmy uczciwie, skoro mamy okazję; bez paciorków, zdrowasiek, bez przeproszenia, bo ja nie mam siły za nic przeproszać...

– Zosia moja kochana! Czekasz? Na męża czekasz?

Ty jesteś moja jedyna przyjaźń i miłość.

– Twoja jedyna miłość szumi ci we łbie i głupoty gada, łachudro.

– Ty jesteś święta kobieta! Zgadza się. A ja łajza! Skończona łajza! Inna z domu dawno by mnie wywaliła! Na zbity ryj, na pośmiewisko ludziom, psom na buty i do śmietnika!

Ale nie moja Zosia, nie mój anioł-kobieta!

– Zabieraj te łapy, padalcu! Nie będziesz mnie obsłaniał.

Masz świeczki?

– Mam, a jakże! Dla ciebie wszystko, ja ci nieba uchyle, skarbie.

– Za całą wieczność wystarczy mi tego nieba z tobą. Dziś niebo samo przyszło do ciebie, stoi na komodzie i tęskni. Ale ty nawet niebo przechlejesz, łajzo!

– Żonka wymodli, za dwoje, mój gołąbek.

– Ja o to prosiłam?! Od miesiąca piłowałam melodię o obrazie, a jak przyszedł to co? Musiałam świecić z ciebie oczami i sama przyjmować! Chroniłam i broniłam jak przez całe życie! Oni i tak pewnie wiedzą, że ty się rwiesz do tego obrazu jak do przysięgi trzeźwości w sierpniu!

– Daj spokój Zośka! Taki dzień to jest podwójne święto! Ty masz nawiedzenie Najświętszej Paniénki, a ja Władka spotkałem. Rozumiesz?! Syn mu się urodził, taki syn!

Jak dobry szczupak! O! Taki długi!

– Syn?! Durniu jeden! Jaki syn?!

– No! O, taki! Jak szczupak, mówię. Ile razy mam powtarzać? Ja piłem czy ty?

– Jaki syn, durniu? Władek ma pod siedemdziesiątkę!

A ty, gamoni, syna mu wciskasz? Wnuk mu się urodził, przygłupie! Aśka urodziła, wnuka!

– Syn, wnuk... co za różnica, Zosia? Cieszyć się trzeba, że ma jedne gacie więcej w domu, że Władek ma wnuka, ja mam wnuka, Zenek ma wnuka. Wielka radość jest, na całe miasto! A może nie radość? Może wojna będzie, co? Bo jakże to? Same chłopaki się rodzą i żadnego dla nich dziurawca?

– Już oni dziury sobie wywiercą we łbie, wódką. Geny bierze się z dziadków. Gdzie masz świeczki?

– Tu. Jedna z lewej kieszeni, druga z prawej, a świecznik sama se wyciąg, tylko mi suwakiem nie przytnij, he he he.

– Świnio jedna, co ty przyniosłeś?! Jakieś małe to i takie pękate? Przecież to jakieś pachnące, gówniane ozdóbki!

Jedna cynamonowa, a druga? Cytrusowa?

W nasze świeczniki to na pewno nie wejdzie.

Mam strugać czy jak?

– Władek mnie zagadał. Taki szczęśliwy, że zapachy, kolory nie były mnie w głowie, zrzutkę trzeba było zrobić.

– Ja ci zaraz zrobię zrzutkę! Ze schodów, razem z tymi świecami, jak jeszcze mnie wkurzysz! Idź teraz, jak jesteś taki mądry i zapalaj te świeczki!

– Zosia, daj już spokój. Po całym dniu na podwórku, zmarłem jak pies, muszę się położyć. Wstanę za godzinę, co? Nie godzi się, żebym ja podпиты... niech i z radości, ale podпиты... nie będą chuchał wódką w święty obraz.

Jakoś nie wypadła.

– A wypadła chłać?! Nie chciałam obrazu, sam go wciskałeś! Teraz się nie wykręcaj, łachudro! Dobrze wiedziałam, jak wypadnie twoje czuwanie na kłęczkach!

– Cicho już, żonka, cicho. Dobrą jesteś kobieta, ale strasznie marudna. Masz zapisane u Pana Boga, że przyjęłaś pod dach rodzicielkę Jego syna. To nic, że ci kazałem, a i tak na pewno modliłaś się długo. Święta żona jesteś i masz uproszone wszelkie łaski, a ja co? Nawet bez spo-

wiedzi, do tego pijak. Co komu po mojej modlitwie?

– A ja niby byłam u spowiedzi? Też się nie liczy.

– Ty przynajmniej wódki nie próbowałaś.

– Jasne! Bo tobie siłą do ryja nalewali, może przez lejek?

Ale pamiętaj, z tym obrazem sam pójdziesz do Burdelowej!

Ja ci drogę oświecę świeczką, cynamonową! Popatrzyć sobie na judaszowe pocałunki, jak przekazujesz pokornie oblicze Najświętszej Paniénki! Niech zobaczę, jak się zwijasz, za pokutę!

– Dobrze już, dobrze, Zosia! Tylko poleżę trochę na kanapce. Prześpię przy obrazie godzinę, a potem razem się pomodlimy. Zaniesiemy obraz hydrze.

– Za godzinę? Jaką godzinę?! Obraz odnosi się po obiedzie, ale następnego dnia!

– Tak ludzie noszą, masz rację. Tylko ja, Zosia, nie powiedziałem tobie jednej rzeczy. Uprosiła mnie na tej ławce, jak z roboty wracałem, żeby w nocy jej przynieść. Jak te pijaki tak nie łąza, żeby sąsiedzi nie widzieli. W końcu wstyd jej się zrobiło, jak mnie bluzgała. Zmiękła, przeproszała i prosiła, żebym jej sąsiedzką przysługę zrobił. Jakoś nie wypadła odmówić.

– Ech ty, fuJARO! Włazisz jej bez wazeliny, a jutro od nowa obrobi ci zadek, mordę nami wytrze. Mięknij ci serce?

Już ona skopie ci dupę!

– Masz rację, Zosia, ale człowiekowi trzeba dać szansę, nie?

– I wychlane morze wody, co? Puszczone w kibel nadzieje, marzenia, samochód i dom na wsi.

– Nie truj już, Zosia, spać się chce. Od czwartej rano na nogach. Jakby wody nie trzeba było chłać, ja bym jej przecież nie tknął.

– Idź już, idź! Jesteś czy cię nie ma, jedna pustka. Chorobę mam tylko i rozpacz.

4.

Patrzysz? Znieś to do końca! Wstydu za grosz nie ma, drań! Włosy posklejane jak strzecha mułem, wódką śmierdzi w pokoju, aż mdli! Chrapie, warczy i sapie jak tartak. Lubisz takich wiernych? Rozmodlonych? Przepraszam.

Wiem. Jestem winna. Mogłam chociaż raz odmówić. Nie mam swojego zdania i płacę za to. Zawsze dają się omtać i robi, co chce. Jakbym powiedziała: żadnego obrazu, bo wyjdę z domu, może by sobie dał spokój? Może nie byłoby tej hecy? W życiu ręki na mnie nie podniósł, nigdy nie ubliżył. To nie jego wina, że żenił się z mną, jak kochał innego. Prawda, to nie moja wina, że mnie sobie upatrzył i za starymi latał. Wiedział, że na mnie zgody nie wymusi. Przeżyliśmy tyle i gdzie ta miłość? Miała przecież przyjść. Miała tu być, matka obiecała, że z czasem przyjdzie. Najpierw się do niego przyzwyczaję, potem zapomnę o Marianie i miłość przyjdzie, jak będę patrzeć na córkę, razem z Edkiem. On będzie szczęśliwy, to i ja znajdę szczęście. I co mam z tej recepty? Sanatorium z przepitym śmierdzeniem? Ale ślubowałam, zniosę pokutę do końca. Że co? Że nim o bruk nie rzuciłam?

Że nie puściłam za nim walizki? Po co teraz miałabym to robić? Jestem wrak człowieka. Dziesięć lat temu wysiadło serce, wzrok już nie ten, wrzody żołądka. Miałabym sama z wnukiem siedzieć i co? Liczy dni do powrotu córki z Hiszpanii? Gówna nie życie! I nie mów mi, że miałabym klepać różaniec obok nastroszonych uszu plotkar. Kwoczą się tam i oblizują gębę na widok młodego proboszcza.

Gdybyś choć raz wyrwała do mikrofonu ich myśli! Byłby prawdziwy stek wyzwick, zawiści i podłości, czyścica za mało na pięćset lat.

Dość tego gadania. Zamykam twoje święte oblicze, bo smród ciągnie z kanapy od tego capa. Dużym świętokradztwem było, żeś do nas dotarła. Tego już za wiele! Nie dopuszczę, żeby ten mój, pożał się Boże, mąż, wypinał na Ciebie dupsko i baki puszczał. Przepraszam i na pożegnanie niech będzie: zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami... nawet teraz wała! Słyszysz?

– Czego tu chcesz, Walendziak?!

– Przepraszam, pani Zosiu, ale ja od Burdelowej idę...

– Chyba do Burdelowej? Po wódę, jak zawsze...

– Nie. Ja tam po wódę nie chodzę. Na wódę mnie nie stać. Postanowienie mam takie, pokutne, że nie wyniosę kasy na chlanie, ani od dzieciaków, ani od żony.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Akurat fajki się skończyły. Nie chciałem do nocnego, jak u Burdelowej mam prawie na pół taniej.

– Ale co ja mam z tym wspólnego?

– Bo pani ma ten obraz, nie?

– Jaki obraz? Może ona funduje ci trawę do tych fajek?

– Ale pani ma ten obraz? Znaczy z kościoła, co po mieszkaniach chodzi.

– A... ten... no mam, a co? Chciałeś się pomodlić? Przyjdź z rana, teraz zamknęłam.

– Jak pomodlić? Ja?! Pani Zosiu, tak się nadaję do modlitwy, jak do telewizji. Burdelowa mnie posłała, żebym obraz jej przyniósł. Ponoć teraz do niej kolej, nie?

– Sam nie pójdzcie. Burdelowa przyjdzie i odbierze! Ja tam do niej chodzić nie myślę.

– No i jesteśmy w domu, no, pani Zosiu kochana! Dlatego ona mnie przysłała, żebym jej przyniósł ten obraz. Już dziś! Nie chce go babina nosić, jak klienci do niej pukają, nie?

– Co obiecała ci za to dać? Przyznaj się jak na świętej spowiedzi!

– Wstyd gadać, ale obiecała ruską flaszkę. Nawet zero

siedem, oryginalna Stoliczna, słowo. Przyniosła ze schowka, postawiła w przedpokoju, przy telefonie. Jak tylko wejdę z obrazem, biorę flaszkę.

– Wiesz, Walendziak? Z chęcią dałabym ci obraz. Jak mam rano oglądać jej zakłamaną, pazerną ryj, wolałabym tobie się przysłużyć.

– Dziękuję pani Zosiu!

– Ale ja ci go nie dam.

– To o co idzie? Bo mnie pani skołowała.

– O pokutę idzie, Zbyszek, o pokutę! Nie daruję wywołce. Mój mąż jest prosty człowiek, znasz go. Ale jest pracowity, uczciwy i dobry, choć głupi.

– A co on ma do tego? Pewnie już śpi i zanim się zorientuje, Burdelowa zdąży litanie zmówić przed obrazem.

– Za łatwo by jej poszło. Codziennie życie mu zatrzuwa, w żywe oczy wyzywa, to niech teraz sama przyjdzie po obraz. Ucałuje mojego męża i odejdzie w pokój.

– Pani Zosiu! A moja wódka?! Kiedy i gdzie druga taka okazja mi się przytrafi?!

– Już ty się nie bój. Stratny u mnie nie będziesz, na pewno. Czekaj tu chwilę, przyniosę ci butelkę... i bynajmniej nie ruskiej kartoflanki!

– Jezu Nazareński! Naprawdę? Da mi pani? Za darmo?

– Masz. Dużo dam za pokutę tej wywołki! Odświętną wódkę ci dam, córka przywiozła rok temu. Prawdziwa Finlandia, litr, nie żadne tam zero siedem. Masz krzywdę?

– Boże broń! Rączki całuję, pani Zosiu, ja mówiłem, że pani to jest...

– Dobra! Już mi tu nie kadź, daj spokój! Będzie mi tu ręce śliniły. Idź i nie grzesz więcej!

ich kann nichts hören. Das Gehör ist nicht mehr, was es mal war, die Augen lassen nach, ich zerbrösele langsam. Schade, dass wir nicht da gewesen sind, interessant, wie sie ihn angemacht hat. Worum ging es diesmal? Hat der Enkel zu laut geweint? Hat der Alte zu laut gefurzt, oder lief das Wasser aus dem undichten Spülkasten? Die alte Hexe! Immer findet sie einen Vorwand, um ihre Wut an ihm auszulassen. Na, der Alte bleibt ihr nichts schuldig, er ist auf vollen Touren:

„Siehst du den Balken in deinem Auge nicht, Weib?! Mir willst du den Splitter vorhalten, den ich mir selbst herausgezogen habe?“

„Weil du, Edek, kein Herz hast, deine Nachbarn so zu martern! Tu was mit dem Balg da!“

„Was?! Was habe ich nicht?! Kein Herz habe ich?! Schaut mal her, Leute! Die Herzensgute hat sich zu Wort gemeldet! Hab ich das Kind mir gemacht oder dir? Ich habe ja wohl ein Herz, dass ich den Kleinen bei mir aufgenommen habe, nicht wahr? Wenn ich kein Herz hätte, wo wäre das Kind jetzt? Im Kinderheim? Weil, du Staśka, du hast ein Herz, ja? Du hast nur eine verfettete Pumpe.“

„Ich habe wenigstens Kultur und Ordnung in meiner Familie! Meine Kinder arbeiten, haben Ehefrauen, Ehemänner. Jadwiga lebt in Warschau, Romek in Berlin! Ich habe sie zu Menschen erzogen, wie Gott es geboten hat. Ihre Kinder haben sie in der Ehe, anders als dein Töchterlein, die Schlampe.“

„Sie ist jung und dumm, das ist klar. Aber solange ich für ihre Fehler einstehe, hockt ihr Kind nicht verschissen da im Kinderheim. Magda kommt vielleicht, wenn sie die Erdbeeren in Spanien pflückt, wenn sie eine andere schwere Arbeit macht, zur Vernunft. Man muss dem Mädchen aber eine Chance geben und sie nicht davonjagen wie einen räudigen Hund. Schließlich ist das mein eigen Fleisch und Blut, ja?“

„Hundsott, pfui! Dein eigen Säuerfleisch und -blut!“

„Du, Staśka, du fürchtest nicht einmal Gott! Mir wirfst du Sauferei vor, weil ich in die Kneipe gehe, nach einem schweren Tag, nachdem mir die Augen vom Schweißen glühen und ich zur Entspannung zwei Bier trinke, ja? Du kannst doch deinen gierigen Schlund nicht vollkriegen?! Am Ende deiner Gier steht die schiere Verzweiflung der blaugeprägten Ehefrauen, der hungrigen Kinder, du mätest dir die Wampe vom Geld, das ihre Väter aus dem Haus tragen. Aber das ist dir gleich! Du hältst lieber meiner Tochter ihr uneheliches Kind vor!“

„Ich schütte den Säuerern den Schnaps nicht in die Kehle, die Volltrottel trinken ihn ganz von allein! Im Laden ist er teurer, dann müssen sie noch mehr aus dem Haus tragen. Und ich schütze ihre Weiber. Sollen die Volltrottel sich doch vollsaufen, denn sie hören so oder so nicht damit auf.“

„So mancher wird von dem russischen Scheiß, den du in sie reinpumpst, noch blind werden! Dir ist die Hölle sicher, Weib!“

„Ich sage dir was, Edek! Pass besser auf deine eigene Hölle auf, denn du lässt die Nachbarn daran teilhaben! Und lass das Kind nachts das Maul halten, denn man kann nicht schlafen.“

„Schaut her, Leute! Das Kind stört sie! Wenn die Saufbolde jede Stunde mit der Faust gegen die Tür trommeln, das ist gut, ja?! Du bist selbst schuld, du Aas! Die Schluckspechte reißen das Kind aus dem Schlaf, wecken mir die kranke Frau, das ist gut, ja?! Natürlich sehnt sich

der Junge nach seiner Mutter, und die Nacht ist sogar für die Alten grausig, wie dann erst für ein Kind? Du wirst schon sehen, alter Drachen, ich rufe selbst die Polizei, der Scheiß muss endlich ein Ende haben.“

„Du Penner, mach nicht so große Worte! Ich stopfe sie dir nämlich in den Hals zurück, damit sie dir dort steckenbleiben ...“

Du hast bestimmt genug? Dafür reichen deine Heiligkeit und Geduld nicht aus, um das zu ertragen. Ich gehe in die Küche, stelle die Suppe an. Gleich sind sie mit dem Geschreie fertig, und Edek kommt heim zu seiner kranken Frau. Er wird etwas essen wollen. Weißt du? Wenn ich ihn so höre, weiß ich selbst nicht mehr, ist das noch mein Kerl oder schon ein fremder? Es wäre gut zu hören, was du über ihn denkst. Denn wenn er nicht wäre, könnte ich heute nicht mit dir sprechen. Die Sache ist nur, dass du auch so nicht antwortest. Nie hast du mir geantwortet. Du zogst es vor, dich Hirten zu zeigen, Kindern, aber nicht so einem einfachen, müden, polnischen Frauenzimmer, wozu auch? Würde es dann zu leicht sein zu glauben? Du hast ihr auch so nichts zu sagen, was sie nicht schon wüsste. Ja, sicher sagst du, dass Edek ein Trunkenbold ist, ein Nichtstuer und Faulpelz, aber er hat ein gutes Herz. Ein anderer hätte die Tochter mit dem Balg vor die Tür gesetzt. Mein Säuerer hatte ein goldenes Herz. Du kennst ihn nicht, weil du dich bei den murmelnenden Omas herumtreibst, die fügsam auf Knien flüstern und Vaterunser herunterleiern. Antworte nicht. Du antwortest nie, und ich ordne vor dir nur meine Gedanken. Das ist eine Gelegenheit, sie kommen von selbst. Weißt du, ich habe es wirklich nicht leicht und nehme mir das übel. Ganz einfach, ohne ein Wort des Klagens, ganz so wie ein Kind habe ich mich auf seinen dümmlichen Befehl mit dem Bildnis eingelassen. Wie soll ich das machen? Wie denn? Ihm sein Mittagessen machen, lächeln und den Hausaltar schmücken? Den Fernseher herunternehmen, Trockenblumen aufstellen und künstliche Vergissmeinnicht? Vielleicht laufe ich sofort zum Pfarrer, Weihwasser holen? Am besten bringe ich es in einer Plastikflasche mit, einer himmelblauen, die die Form der Figur von Fatima hat und die eine gelbe Krone als Deckel schmückt. Das finde ich lustig, ja! Ach was? Das darf ich nicht? Es macht mich wütend und wirr im Schädel, weißt du? Aber am meisten ärgert mich, dass ich meinem Tölpel das nicht sagen kann, dass er mir mit seinen Ideen vom Leibe bleiben soll! Dass er für sich selbst Altärchen errichten und Lichter weihen soll, dass er noch Engelshaar ausgräbt und damit die Gardinen vollhängt. Was soll ich damit?

Es ist ihm ganz religiös ums Herz, hast du gesehen? Das letzte Mal war er vor der Geburt unserer ersten Tochter beichten. Bei der zweiten war er schon so mutig und selbstsicher, dass er des göttlichen Beistands, des Segens, nicht bedurfte. Er segnete sich selbst, nahm den Mund voll Fusel wie ein Frosch voll Schlamm und liebte seinen Nächsten. Er küsste alle ringsum, voll wie ein Russenflieger, und Schnaps goss er allen ein wie aus einem kostenlosen Brunnen. Ich musste alleine vom Kreißsaal nach Hause fahren. Mit einem Taxi, weil der Kerl nicht wusste, auf welcher Welt er lebt. Drei Tage lang wusste er nicht mehr, wo er zu Hause ist! So ein frommer und liebevoller Katholik war das! Doch wenn der Priester nach Weihachten kommt, lässt er ihn lauthals eintreten, damit es die Bordellicha hörte und sah. Als es galt, das Bild bei



1. Siehst du? Da ist sie schon. Hockt da und scheint auf einen Kunden zu warten. Nur, dass der Kunde schon da war, das Glück ging seitlich vorbei, hier gibt es keine Anstiftung der Gesellschaft zur Trinkerei! Er hämmerte und hämmerte, war angefressen, und zwei Zehner gingen flöten. Sicher hatte er Schnaps und Kippen gewollt. Noch ein Assi, der die Ruhe störte. Sie verwechseln immer die Tür. Aber warum fange ich davon an? Du weißt es doch, siehst und hörst es besser. Ich kann das nicht so erzählen, ich bin eine einfache Frau. Das ist ihr noch geblieben: Das Bare ist durch die Finger geflutscht, sie zerreißen sich das Maul über ihren Nächsten und kann mit ihren Rollschinken wedeln, den Teufel auf den Haxen schaukeln. Ein Fleischberg, eigentlich ein Zwerg, nur mit einem Riesenranzen, du siehst es, Gott, und zürnst nicht! Sie frisst Kartoffeln mit Milch, weil es ihr ums Geld schade ist, obwohl sie sich Schinken und Parmesane leisten könnte. Doch der Typ ist einfach so: Scheißt es raus und frisst es nochmal, damit nichts verkommt. Bald kann sie die Treppen runterrollen. Vielleicht schaukelt sie deshalb mit den Quadratlatschen auf der Bank? Sonst sieht sie nicht, welche Schuhe sie anhat! Aber was gäbe es da zu sehen?

Unten am Block reichen mit ausgefranstem Hammelfell gefütterte Pantoffeln. Das Weibstück hat nicht einmal gesehen, wie ihr der Verdienst durch die Finger glitt, denn der Säuerer ging über den Hof davon, und sie wartet hier. Sicher hält sie den illegalen Kaschemmengestank nicht aus, sie hat ihn sich selbst herangezuchtet. Siehst du? Da kommt mein Alter, da hinten, hinterm Block. Er wäre ihrer wert, sie gäben ein gutes Ehepaar ab. Wenn sie sich nicht schon während der Flitterwochen umbrächten. Manchmal denke ich mir, dass sie absichtlich um die Zeit aufhört, Schnaps zu verkaufen. Sie bedient die Quartalsäufer, und dann muss sie nicht mehr ranschaffen, nach der Arbeit hat sie das Recht auf Vergnügen. Ein Streit mit meinem Alten bringt ihr mehr als „Reich und schön“ und noch ein Zwanziger für eine Pulle oder ein Zehner für Schmuggelkippen. Alles bleibt links liegen, wenn sie sich nur mit dem alten Streithammel zoffen kann, sei es auch nur für eine Viertelstunde. Siehst du? Sie wippt nicht mehr mit den Quadratlatschen, jetzt geht sie zum Angriff über, sie hat ihn schon gesehen, und wenn sie ihn sieht, hüpfst sie ihm an den Adamsapfel. Warte, wir gehen näher ans Fenster,

sich zu Hause aufzunehmen, war er gleich der Erste im Block und ließ sich den Anzug herauslegen, den er für die Taufe seines Enkels gekauft hatte, damit er dandyhaft fromm durch den Hausflur paradiere konnte.

2.

„Fertig, Zosia? Gehen wir jetzt?“

„Hast du das Altärchen geschmückt, wenn du schon gehen willst?“

„Waren das noch nicht die Jamiołek's mit dem Bild? Mit wem hast du da wieder rumgeschwätzt?“

„Irgendein Säufer, für die Bordellicha, klar. Er hat die Adressen verwichst. Nicht der erste, nicht der letzte.“

„Mich trifft nochmal der Schlag mit der Fuselbude von der da! Bei allem, was mir heilig ist, ich halte das nicht mehr aus, einmal gehe ich zur Polizei, das muss endlich ein Ende haben!“

„Gib Ruh, du gehst eh nie hin! Die Bullen holen bei ihr Wodka, was willst du dagegen tun?“

„Willst du sagen, dass wir uns bis ans Lebensende mit ihr herumplagen werden?“

„Bis ans Ende? Ganz sicher! Ich weiß nur nicht wessen.“

„Die Teufel haben uns das LPG-Weib auf den Hals gehetzt! Die bleibt auf ewig in der Hölle! Das Lumpenweib nährt so viel Hass in sich, dass sich der Teufel seine drei Haare ausrauft! Jedem redet sie übel nach, sie erhebt sich über jeden, speit ihm Gift in die Augen und fürchtet niemanden! Nach rechts und links flickt sie allen nur am Zeug herum.“

„Weil die Russen hinter ihr stehen. Sie liefern den Schnaps, die unverzollten Kippen, vor wem sollte sie Angst haben? Sie schnippt nur mit dem Finger, und schon richten sie mit dem Schlagbohrer demjenigen das Knie.“

„Ach was! Eine primitive Weibsplärre, das ist alles!“

„Vielleicht ja, vielleicht nein, aber du, Edek, hüte dich lieber vor ihr. Du schnauzt sie an, schnauzt so lange, bis du es bereust und sie die Schläger auf dich hetzt.“

„Das soll sie nur versuchen! Sie weiß schon, dass es sich bei mir nicht lohnt. Die werden einen Alten verprügeln, um dem stinkenden Weibsbild einen Wunsch zu erfüllen.“

„Diese russischen Wilden sind unberechenbar, denen bedeutet ein Mensch nichts. Schau nur, was so ein Stalin fertiggebracht hat, der Abschaum. Hundert oder Tausend, nur Kanonenfutter. Das Russenpack ist so erzo-gen.“

„Die Suppe ist heute aber dünn, Zosia. Steht es so schlecht um uns? Gib wenigstens ein Stück Brot dazu.“

„Freu dich, dass überhaupt Suppe da ist. Der Kleine ist heute so nölige, er kriegt wohl Zähne. Er steckt sich die Fäuste ganz ins Maul. Anstelle des Hauptgerichts knabberst zur Strafe den Knochen ab, mit Senf.“

„Zur Strafe? Und was habe ich dir getan?“

„Zur Strafe dafür, dass ich das Altärchen schmücken muss! Zur Strafe dafür, dass du mir hier Frömmigkeit ins Haus bringst, du Stinker! Heiligenbildnisse brauche ich hier wie ein Toter den Weihrauch! Vielleicht willst du ja auch noch Novenen abhalten, vielleicht auch noch Litaneien sprechen?! Das alles ist in diesem Loch wie eine Eiterbeule auf dem Arsch. Willst du einen Feiertag im Saustall begehen? Dann ohne mich!“

„Pass auf, Frau, dass du nicht die Strafe davonträgst. So ein Herumgeblaffe missfällt der Allerheiligsten Jungfrau. Wer weiß, wo du heute wärst, wenn sie nicht wäre! Hast du unter ihrem Altar in der Kirche gejamert? Hast du

das schon vergessen? Hat dich der Arsch sitzengelassen, nach dem du in deiner Jugend die Augen verdreht hast? Er hat! Dank der Allerheiligsten Jungfrau hast du einen Ehemann, der dich achtet! Hast du das? Wisse das zu schätzen, Frau! Denn mir ist sogar die Lust auf den Knochen da mit Senf vergangen, wenn ich dich so höre. Eigentlich bist du eine ordentliche Ehefrau, eine vorbildliche Mutter, aber ich weiß ums Verrecken nicht, woher bei dir die große Bitterkeit gegenüber dem Glauben und der Tradition kommt? Noch vor kurzem hast du die Kleine in die Bibelfreizeit fahren lassen, ihre Sachen für die Tage der Besinnung gepackt, wo ist all das geblieben? Du hast Freudensprünge gemacht, was für ein anständiges Kind das war, und jetzt?“

„Die Bibellager haben ihr eingebrockt, dass sie mit dem erstbesten Depp ein Kind zusammengefummelt hat! Wenn sie wäre wie alle Mädels, hätte sie wenigstens gewusst, was man darf und was Blödsinn ist!“

„Fängst du schon wieder an? Ich gehe besser in die Drogerie Kerzen kaufen. Leg eine Decke auf die Kommode neben dem Fernseher. Ordne die Blumen. Das muss ich dir ja wohl nicht erklären.“

„Geh, heiliger Mann! Geh, aber vergiss nur nicht zurückzukommen. Wie ich das Leben kenne, stellst du die Kerze in eine Pulle am Straßenrand. Belehre mich nicht mehr, was ich ordnen soll und was bügeln. Es hat sich ein Herr im Hause gefunden! Und denk dran, dass die Jamiołek's dir in einer Stunde dein Bild da bringen. Fürs ganze Leben kannst du auf Vorrat beten! Vielleicht lege ich dir noch dein Anzüglein zurecht und eine Krawatte dazu? Feiertag ist Feiertag!“

„Lästere nicht, Frau, lästere nicht. Ich höre den Weibern an der Kirche lieber zu als dir.“

3.

„Gelobt seien Jesus Christus und die Allerheiligste Jungfrau, liebe Zosia.“

„In Ewigkeit Amen, Frau Jamiołek, bitte sehr. Das Bild ins große Zimmer. Herr Jamiołek, bitte stellen Sie es dort ab, rechts.“

„Auf die Kommode? Hierhin, wo das weiße Tuch liegt?“

„Ja. Edek bringt gleich Kerzen. Er ist spät fortgegangen, weil er seine Zeit mit der Bordellicha verschwendet hat, vor dem Block, aber er wird wohl gleich zurück sein.“

„Sie haben ein Kreuz mit dem Weib, liebe Zosia! Sie werden ihretwegen wohl stehend in den Himmel aufgenommen. Tag und Nacht müssen Sie den Lärm hören. Und das bei Ihrer Krankheit, Gott sei's geklagt! Und jetzt noch das Bildnis! Sie müssen es ausgerechnet ihr bringen?! Das Weibsbild besitzt doch nicht einen Heller Anstand! Sie hat sich für die Heimsuchung eingetragen! Sie denkt doch nicht ans Sterben?! So viel Unannehmlichkeiten wegen ihrer illegalen Kaschemme!“

„Wie ich das sehe, Frau Jamiołek, sind wir zu zweit. Nur was bringt das, wenn der Pfarrer mir sagt, dass Gott mit anderem Maß messe? Wo ich doch eine einfache Frau bin, nicht der Herrgott. Und ich bringe ihr das Bildnis sicher nicht zur Verlotterung. Denn ich würde ihr wohl mit dem Bildnis den verfetteten Schädel spalten. Soll Edek es überbringen.“

„Die Wege des Herrn sind unerforschlich. Sie haben völlig Recht, liebe Zosia. Man darf Gott nicht für sich einspannen, aber vielleicht setzt sich die Allerheiligste Jungfrau für uns ein? Vielleicht bitten wir ihr trauriges

Antlitz auf diesem Bildnis? Vielleicht fährt ein Donner-schlag in diese Kaschemme? Ich weiß auch nicht.“

„Ach woher? Sollen wir darum beten, dass die Nachfrage nach Schnaps stinkt?! Frau Jamiołek, in Ihnen ist soviel Güte wie Naivität.“

„Aber sprechen wir zumindest ein ‚Unter deinen Schutz und Schirm‘. Anlässlich der Übergabe des Bildnisses und in unserem besagten Anliegen. Kazek, hast du das Bild aufgestellt? Hast du das heilige Antlitz geöffnet? Knie hier mit uns nieder. Im Namen des Vaters und des Sohnes ...“

Und des Heiligen Geistes mangelte es dem Säufer. Sie schlossen die Tür und ließen dich mir hier, ganz als hätte ich darum gebeten. Aber das habe ich verdient. Wenn ich nicht ablehnen konnte, bei wem soll ich mich jetzt beschweren? Der Säufer ist nicht da, ich habe nicht ein Kerzenstüpflein, der Rosenkranz hat sich sicher auch irgendwohin verdrückt. Außerdem habe ich ohnehin vergessen, wie man ihn aufsagt. Nimmst du mir das übel? Weißt du, du kannst mir wirklich keine Vorwürfe machen. Verzeih, aber nicht ich habe die Einladung ausgesprochen. Reden wir also ehrlich miteinander, wenn wir schon die Gelegenheit dazu haben; ohne Vaterunser, ohne Gebenedeit, ohne Entschuldigungen, weil ich nicht die Kraft habe, mich für irgendetwas zu entschuldigen ...“

„Zosia, meine Liebe! Du wartest? Du wartest auf deinen Mann? Du bist meine einzige Freundin und Liebe.“

„Deine einzige Liebe rauscht dir im Schädel und schnattert Unsinn, du Lump.“

„Du bist eine Heilige! Stimmt. Und ich ein Penner! Ein elender Penner! Eine andere hätte mich längst aus dem Haus geworfen! Auf die Presse, in die Gosse, den Menschen zum Spott, unnütz wie ein Kropf und ab in den Müll! Aber nicht meine Zosia, nicht meine Engelsfrau!“

„Nimm die Pfoten weg, du Blindschleiche! Du wirst mich nicht einschleimen. Hast du die Kerzen?“

„Ja, und was für welche! Für dich alles, für dich hole ich den Himmel auf Erden, mein Schatz.“

„Mir langt für die ganze Ewigkeit der Himmel mit dir. Heute ist der Himmel selbst zu dir gekommen, er steht auf der Kommode und hat Sehnsucht. Doch du versäufst sogar den Himmel, du Lump!“

„Mein Weiblein betet für zwei, mein Täubchen.“

„Habe ich denn darum gebeten?! Seit einem Monat dudelst du das Lied vom Bildnis, und als es kam, was war? Ich musste mich für dich schämen und es alleine entgegennehmen! Ein ganzes Leben lang habe ich dich geschützt und verteidigt. Sie wissen sicher auch so genau, dass du dich nach dem Bildnis reißt wie nach dem Nüchternheitsschwur im August!“

„Gib Ruh, Zoška! So ein Tag ist ein doppelter Feiertag! Du hast die Heimsuchung der Allerheiligsten Jungfrau erlebt, und ich habe Władek getroffen. Verstehst du?! Ihm wurde ein Sohn geboren, was für ein Sohn! Was für ein toller Hecht! Oh! So lang!“

„Ein Sohn?! Du Dummkopf! Was für ein Sohn denn?!“

„Na! Oh, so einer! Wie ein Hecht, sage ich doch. Wie oft soll ich es noch sagen? Habe ich gesoffen oder du?“

„Was für ein Sohn, du Dummkopf? Władek ist fast siebzig! Und du Tölpel schiebst ihm einen Sohn unter? Einen Enkel hat er bekommen, Volltrottel! Aśka hat ihn geboren, einen Enkel!“

„Ein Sohn, ein Enkel ... was macht das für einen Unterschied, Zosia? Freuen muss man sich, dass man ein Hosenscheißerchen mehr im Haus hat, dass Władek

einen Enkel hat, ich einen Enkel habe, Zenek einen Enkel hat. Das ist eine große Freude, für die ganze Stadt! Ist das vielleicht keine Freude? Kommt vielleicht Krieg, oder was? Denn was ist los? Es werden nur Jungs geboren und kein Loch zum Reinstecken für sie?“

„Die bohren sich schon selbst ihr Loch in den Kopf, mit Fusel. Die Gene stammen von den Großvätern. Wo hast du die Kerzen?“

„Hier. Eine aus der linken Hosentasche, die andere aus der rechten Hosentasche, und den Kerzenständer zieh dir selbst heraus, aber klemm ihn mir nicht mit dem Reißverschluss ein, hihhi.“

„Du Schwein, was hast du da mitgebracht?! So kleine und bauchige? Das sind doch Scheiß-Duftkerzen! Die eine riecht nach Zimt und die andere? Nach Zitrone? In unsere Kerzenständer passen die auf keinen Fall. Soll ich die zurechtschnitzen oder wie?“

„Władek hat mich zugeschwätzt. Er war so glücklich, dass ich nicht an Farben, an Düfte gedacht habe, wir mussten zusammenlegen.“

„Ich lege dich auch gleich zusammen! Und lass dich als Paket die Treppen runterpurzeln mit deinen Kerzen, wenn du mich noch einmal ärgerst! Geh jetzt, wenn du so schlau bist, und zünde die Kerzen an!“

„Zosia, lass gut sein. Nach einem ganzen Tag draußen bin ich durchgefroren wie ein Hund, ich muss mich hinlegen. In einem guten Stündchen stehe ich auf, ja? Es gehört sich nicht, dass ich angetrunken ... sei es auch aus Freude, aber doch angetrunken ... mit Schnapsfahne das heilige Bildnis anhauche. Irgendwie gehört sich das nicht.“

„Aber Saufen gehört sich?! Ich wollte das Bildnis nicht, du hast es mir aufgedrückt! Winde dich jetzt nicht heraus, du Lump! Ich habe genau gewusst, wie dein kniendes Wachen ausfallen würde!“

„Sei jetzt still, Frauchen, still. Du bist eine gute Frau, aber fürchterlich nörgelig. Es steht für dich beim Herrgott gutgeschrieben, dass du die Mutter Seines Sohnes unter deinem Dach aufgenommen hast. Dass ich dir das befohlen habe, heißt gar nichts, du hast sicher auch so lange gebetet. Du bist eine heilige Ehefrau und hast große Gnaden erbeten, und ich? Ich habe nicht einmal gebeichtet, dazu bin ich ein Säufer. Wem nützt schon mein Gebet?“

„Und ich soll beichten gewesen sein? Das zählt auch nicht.“

„Du hast zumindest keinen Wodka probiert.“

„Klar! Denn dir haben sie ihn mit Gewalt in den Schlund geschüttet, vielleicht sogar mit einem Trichter? Aber vergiss nicht, mit dem Bildnis gehst du selbst zur Bordellicha! Ich leuchte dir mit der Kerze den Weg, der Zimtkerze! Ich schaue mir deine Judasküsse an, wie du demutsvoll das Antlitz der Allerheiligsten Jungfrau weiterreichst! Ich will sehen, wie du dich windest, als deine Buße!“

„Gut jetzt, gut, Zosia! Ich lege mich nur für ein Weilchen auf das Sofa. Ich schlafe ein Stündchen bei dem Bild, und dann beten wir zusammen. Wir bringen der Hydra das Bild.“

„In einem Stündchen? Was für ein Stündchen?! Das Bildnis übergibt man nach dem Mittagessen, aber erst am nächsten Tag!“

„So tragen es die Leute weiter, du hast Recht. Nur habe ich dir, Zosia, eins nicht gesagt. Sie bat mich auf der Bank, als ich von der Arbeit heimkam, es ihr bei Nacht zu bringen. Wenn die Säufer sich hier nicht herumtreiben,

damit es die Nachbarn nicht sehen. Schließlich hat sie sich geschämt, wie sie mich schmähte. Sie wurde weich, bat um Verzeihung und dass ich ihr einen Nachbarschaftsdienst leiste. Irgendwie hat es sich nicht gehört, die Bitte abzuschlagen.“

„Ach du, Pfeife! Kriechst ihr ohne Vaseline in den Arsch, und morgen lästert sie wieder über dich ab, zerreißt sich das Maul über uns. Dir ist das Herz in die Hosentasche gerutscht? Sie wird dir schon in den Arsch treten!“

„Du hast Recht, Zosia, aber man muss dem Menschen eine Chance geben, nicht?“

„Und ein Meer Fusel auskippen, was? In der Kloschüssel weggespülte Hoffnungen, Träume, ein Auto und ein Haus auf dem Land.“

„Nöl nicht rum, Zosia, ich will schlafen. Ich bin seit vier Uhr morgens auf den Beinen. Wenn man den Schnaps nicht saufen müsste, würde ich ihn schließlich nicht anrühren.“

„Geh schon, geh! Du bist da oder nicht, dieselbe Leere. Mir bleibt nur Krankheit und Verzweiflung.“

4.

Schaust du? Ertrag es bis ans Ende! Er hat nicht für einen Heller Schamgefühl, der Mistker! Das Haar schlammverklebt wie ein Strohdach, er stinkt im Zimmer nach Fusel, dass einem schlecht wird! Er schnarcht, grunzt und schnauft wie ein Sägewerk. Magst du solche Gläubige? Gebetsversunkene? Es tut mir leid. Ich weiß. Ich bin schuld. Ich hätte wenigstens einmal ablehnen können. Ich habe keine eigene Meinung und bezahle dafür. Immer lasse ich mich einwickeln, und er macht, was er will. Wenn ich gesagt hätte: kein Bildnis, sonst gehe ich fort, vielleicht hätte er dann Ruhe gegeben? Vielleicht hätte es das ganze Spektakel nicht gegeben? Nie im Leben hat er die Hand gegen mich erhoben, nie hat er mich gedemütigt. Es ist nicht seine Schuld, dass er mich geheiratet hat, als ich einen anderen liebte. Stimmt, es ist nicht meine Schuld, dass er sich mich ausgeguckt hatte und bei meinen Alten lieb Kind machte. Er wusste, dass er meine Zustimmung nicht erzwingen würde. Wir haben so lange zusammengelebt, und wo ist sie jetzt, die Liebe? Sie hatte doch kommen sollen. Sie hatte hier sein sollen, Mutter hatte es versprochen, dass sie mit der Zeit kommen würde. Erst würde ich mich an ihn gewöhnen, dann würde ich Marian vergessen, und die Liebe käme, wenn ich die Tochter betrachte, gemeinsam mit Edek. Er wird glücklich sein, und ich werde das Glück finden. Und was habe ich von dem Rezept? Ein Sanatorium mit einem versoffenen Stinker? Aber ich habe gelobt, ich werde die Buße bis ans Ende ertragen. Dass ich was? Dass ich ihn nicht rausgeworfen habe? Dass ich ihm die Koffer nicht nachgeworfen habe? Wozu sollte ich das jetzt noch tun? Ich bin ein Wrack von einem Menschen. Vor zehn Jahren setzte mein Herz aus, die Augen sind nicht mehr, was sie waren, Magengeschwüre. Sollte ich alleine mit dem Enkel hier sitzen, und dann? Die Tage bis zur Rückkehr meiner Tochter aus Spanien zählen? Ein Scheiß, kein Leben! Sag mir nicht, dass ich den Rosenkranz neben den gespitzten Ohren der Schwatzdrosseln herunterrasseln sollte. Sie glucken dort herum und lecken sich das Maul beim Anblick des jungen Pfarrers. Wenn ich doch nur einmal ihre Gedanken vors Mikrofon bringen könnte! Das wäre ein Schwall von Verunglimpfungen, Hass und Bosheit, Fegefeuer für mindestens fünfhundert Jahre.

Genug geredet. Ich schließe dein heiliges Antlitz, denn vom Sofa zieht Gestank vom Schafskopf herüber. Es war ein großer Frevel, dass du zu uns gelangt bist. Das war jetzt zu viel! Ich lasse es nicht zu, dass mein, Gott sei's geklagt, Ehemann dir das Ärschl entgegenreckt und dich anfurzt. Entschuldige und so sei es zum Abschied: Gebenedeit bist du, Maria, voll der Gnade, der Herr ist mit dir. Du bist gebenedeit unter den Frauen ... Sogar jetzt hämmern sie gegen die Tür! Hörst du das?“

„Was willst du, Walendziak?!“

„Verzeihung, Frau Zosia, aber ich komme von der Bordellicha ...“

„Wohl eher gehe zur Bordellicha? Schnaps holen, wie immer ...“

„Nein. Ich gehe dort keinen Schnaps holen. Schnaps kann ich mir nicht leisten. Ich habe einen solchen Bußvorsatz, dass ich keine Kohle fürs Saufen aus dem Haus trage, weder von den Kindern noch von meiner Frau.“

„Und was habe ich damit zu tun?“

„Mir sind gerade die Kippen ausgegangen. Ich wollte nicht in den 24-Stunden-Laden, und bei der Bordellicha bekomme ich sie fast halb so billig.“

„Aber was habe ich damit zu tun?“

„Sie haben doch das Bildnis, nicht wahr?“

„Was für ein Bildnis? Spendiert sie dir etwa Gras zu deinen Kippen?“

„Sie haben doch das Bildnis? Das heißt das aus der Kirche, das von Wohnung zu Wohnung geht.“

„Ah ... das ... na das habe ich, und? Wolltest du beten? Komm am Morgen, jetzt habe ich es geschlossen.“

„Wie beten? Ich?! Frau Zosia, ich taue genauso fürs Gebet wie fürs Fernsehen. Die Bordellicha hat mich geschickt, damit ich ihr das Bild bringe. Jetzt soll doch sie an der Reihe sein, nicht?“

„Von selbst kommt es nicht. Die Bordellicha soll kommen und es abholen! Ich denke nicht daran, zu ihr zu gehen.“

„Na eben, liebe Frau Zosia! Deshalb hat sie mich geschickt, damit ich ihr das Bild bringe. Noch heute! Das Frauenzimmer will es nicht herumtragen, wenn die Kunden bei ihr klopfen, nicht?“

„Was hat sie versprochen, dir dafür zu geben? Gesteh es bei der heiligen Beichte!“

„Peinlich zuzugeben, aber sie versprach mir eine Ruspulle. Sogar Null Sieben, eine original Stolitchna, Ehrenwort. Sie hat sie aus ihrem Lager geholt, in den Flur gestellt, ans Telefon. Wenn ich dort mit dem Bildnis eintrete, nehme ich die Pulle.“

„Weißt du was, Walendziak? Gerne gäbe ich dir das Bildnis. Wenn ich am Morgen ihre verlogene, gierige Fresse sehen soll, dann täte ich lieber dir den Gefallen.“

„Danke, Frau Zosia!“

„Aber ich gebe dir das Bild nicht.“

„Was meinen Sie? Sie haben mich jetzt völlig durcheinander gebracht.“

„Es geht um die Buße, Zbyszek, um die Buße! Ich verzeihe der Schlampe nicht. Mein Mann ist ein einfacher Mensch, du kennst ihn. Aber er ist fleißig, ehrlich und gut, wenn auch dumm.“

„Aber was hat er damit zu tun? Sicher schläft er schon, und ehe er es mitbekommt, spricht die Bordellicha schon die Litanei vor dem Bildnis.“

„So leicht bekommt sie es nicht gemacht. Tag für Tag vergiftet sie ihm das Leben, beschimpft ihn frisch von der Leber weg, jetzt soll sie selbst herkommen, um das Bild

zu holen. Meinen Mann küssen und in Frieden davongehen.“

„Frau Zosia! Und mein Schnaps?! Wann und wo kommt für mich jemals wieder solch eine Gelegenheit?!“

„Keine Angst. Du wirst bei mir keinen Verlust erleiden, ganz sicher nicht. Warte einen Augenblick, ich bringe dir eine Flasche ... und keinen russischen Kartoffelbrand!“

„Jesus von Nazareth! Wirklich? Sie geben sie mir? Für lau?“

„Da hast du sie. Ich gebe viel für die Buße dieser Schlampe. Ich gebe dir einen heiligen Schnaps, meine Tochter

hat ihn vor einem Jahr mitgebracht. Ein echter Finlandia, ein Liter, keine Null Sieben. Trägst du einen Schaden davon?“

„Gott behüte! Küsse die Hand, Frau Zosia, ich habe gesagt, dass Sie ...“

„Schon gut! Kein Gesülze mehr, gib Ruhe! Du wirst mir hier noch die Hände vollschleimen. Gehe hin und sündige fortan nicht mehr!“

[Übersetzung: Ursula Kiermeier]



1.
Бачиш? Уже тут. Сидить і ніби чекає на клієнта. Тільки ж клієнт уже був, розминулася вона зі своїм щастям, не буде споювати громаду! Товк, товк у двері, роззлостився, і два червінчики загули. Певно, хотів водяри та курива. Ще один покидьок потурбував людей. Завжди вони плутають двері. Та що я тобі кажу? Ти ж і сама все знаєш, бо краще бачиш і чуєш. Я так не розкажу, бо я проста жінка. А що їй іще лишається: грошики тю-тю, то хіба рота як ворота відкрити до ближнього, і тепер – то вже може собі тою льошотою шиєю покрутити та дідька на колінах покочисати. Шмат м'ясива, і ніби курдупель, але ж черевата, як – то таке лихо ще по землі ходить! Жере картоплю з молоком, бо їй бабок шкода, хоч може купити собі і шинки, і пармезану. То така вже людина: висере і ще раз зжере, щоб добро не марнувалося. Скоро буде перекочуватися сходами. Може вона тому вимахує копитами на тій лавці, бо інакше не бачить, які туфлі взула? Але на що тут дивитися? Під панелями вистачить тапок із устілкою з вичовганої овчинки.
Бабисько й не побачило, як ненароком втратило заробіток, бо той пияцюра вийшов через подвір'я, а вона тут чекає. Певно, не може стерпіти того хавірного смороду, який сама ж собі й розвела. Бачиш? Оно іде мій старий, там, далеко за будинком. Одне другого варте, була би добра пара. Якби не повбивали одне одного під час медового місяця. Часом я собі думаю, що вона спеціально перестала торгувати водярою саме оце зараз. Обслужить старих алкашів, і далі більше ще по відразу готова вчепитися старому в горло. Дай-но, підійдемо ближче до вікна, бо нічого не чути. Слух уже не той, очі слабшають, починає з мене пісок сипатися. Шкода, що нас тут не було, цікаво, як вона його зачепила? Що вони не поділили цього разу? Онук надто голосно плакав? Старий надто голосно пердів, чи вода капала з мийки? Відьма! Завжди знайде якийсь привід, щоб нахамити. Але й старий у боргу не лишається, оно як вона смикається:

– Колоди у власному оці не бачиш, бабо! А мені будеш скалкою дорікати, яку я сам і вийняв?
– Та ж ти, Едеку, серця не маєш, щоб так докучати сусідам! Зроби щось із тим малим!
– Що?! То я не маю?! Я серця не маю?! Дивіться, людоньки! Сердешна знайшлася! Чи я собі ту дитину зробив, чи тобі? Та ж, певно, маю серце, бо пригорнув малого, га? Якби я серця не мав, то де би був той малюк? У притулку? А в тебе, Стасько, то серце є, так? Та в тебе насос в грудях, салом зарослий!
– У мене принаймні культура і лад у сім'ї! Мої діти працюють, дружин мають, чоловіків. Ядзя живе у Варшаві, Ромек у Берліні! Я їх у люди вивела, як Господь Бог приказав. Дітей мають у шлюбі, а не як твоя донечка-шльондра.
– Молоде, то й дурне, відома річ. Поки я за її помилки покую, то її малюк не сидить засраний в дитячому будинку. Магда, як позбирає ті полуниці в Іспанії, як піде на другу яку тяжку роботу, то може розуму набереться. Але треба дати дівчині шанс, а не виганяти, як собаку. Та ж то моя кров, га?
– Псяча юха, тьху! Пияцька твоя кров!
– Ти, Стасько, певно і Бога не боїшся! Мені пияцтвом дорікаєш, бо я йду додому після важкого дня, очі собі натрудив зваркою, і щоб легше стало, випив два пива, так? А своїх рук глитайських не бачиш?!
А на них людський розпач побитих до синців дружин, голодних дітей, наїла пузо з грошей, які їх татунцьо з хати виніс. А тобі й байдуже! Ти волієш дорікати моїй дочці байстрюком!
– Я пиякам горілку в пельку не заливаю, як дурні, то хай п'ють! У крамниці дорожче, то й більше з хати винесуть. І баб їхніх я бороню. Нехай йолопи заллються, бо й так не вгмоняться.
– Не один ще й осліпне від того руского гівна, що ти в них помпуєш! Ти, бабо, з пекла невилізеш!
– Я тобі, Едеку, таке скажу! Ти пильнуй своє пекло, бо воно сусідам спокою не дає! І закрий малому вночі рота, бо спати неможливо.
– Дивіться-дивіться! Дитина їй заважає! Як алконавти щогодини товчуть кулаками в двері, то добре! Сама собі винна, падло! Твої бухарі весь час дитині спати не дають, хвору дружину будять, то це добре?! Ясно, що хлопчик скуцає за мамою, а вночі навіть старому страх, а що вже малому? Дочекаєшся, мегеро, що я подзвоню в поліцію, нехай це гівно врешті скінчиться.
– Ти думай, що кажеш, лайдаку! Бо я тобі твої слова назад у морду всаджу...



© Matthieu Gafsou

Вже йдемо?

Думаю, вистачить? Забракне навіть твоєї святості й терплячки, щоб то стерпіти. Піду-но на кухню, загрію супу. Вони от-от накричаться досхоchu, і Едек прийде до хворої дружини. Захоче поїсти. Знаєш? Коли я його слухаю, то сама не пізнаю, чи то ще мій чоловік, чи вже якийсь чужий хлоп? Цікаво би почути, що ти про нього думаєш. Зрештою, якби не він, то я би нині з тобою не говорила. Клопіт у тому, що ти й так не відповіси. Ти ніколи не відповідала. Ти воліла об'являтися пастушкам, дітям, але не якійсь звичайній змученій польській бабі, бо навіщо? Вона би занадто легко повірила? Ти й так не маєш її що сказати такого, чого вона сама не знає. Так, ти певно скажеш, що Едек – пияк, задирака і неробством аж смердить, але серце має добре. Інший вигнав би дочку з дитиною. А в мого пияка золоте серце. Ти того не знаєш, бо ходиш по тих недолугих бабцях, котрі слухняно шепочуть навколішки та перебирають чотки? Нічого не кажи. Ти ніколи не відповідаєш, а я з тобою просто думки порядкую. Як є нагода, то вони самі на гадку спадають. Ти ж знаєш, як мені нелегко, і як я на тебе ображена. Ясна річ, не кажучи і слова проти, зовсім як дитина, я погодилася на його дурнувату затію з тим образом. Що я маю зробити? Як-як? Нагодувати його обідом, посміхнутися і прикрасити вівтарик? Зняти телевізор, поставити сухого зілля і штучні незабудки? А може відразу побігти до панотця по свячену воду? Найкраще принести її в пластиківій пляшці, голубій, у формі фатімської фігурки, а кришка на ній як жовта корона. Так, мені від того сміятися хочеться! Ну і що? Не можна? То мене сердить, і від того тисне в голові, знаєш? Але найбільше мене дратує, що я не можу сказати моему розтелепі, щоб він котився подаль з тими своїми ідеями! Щоб сам собі ті вівтарики прикрашав і лампадки світив, і щоб іще витягнув "ангельське волосся" й обвішав ним фіранки. Нащо воно мені? Закортіло йому, бач, побожності! Останнього разу він ходив сповідатися перед народженням першої доньки. Як друга вродилася, то він вже був такий сміливий і самовпевнений, що не потребував Божої опіки чи якогось благословення. Сам себе благословив, нажлуктився самогонки, як жаба мулу, і кохав ближнього. Цілував усіх навколо, п'яний, як чіп, а водяру наливав усім, як з дармового колодязя. Я мусила сама повертатися із пологового будинку додому. На таксі, бо хлописько не знав, на якому світі живе. Три дні не мав поняття, де його хата! Отаким був католиком побожним і люблячим! Але як священник ходить із колядниками, то голосно і врочисто його впускає, щоб Бурделиха бачила й чула. А як треба образок узяти додому, то він зразу ж перший у нашому панельному будинку, каже виїняти той костюм, що купив на онукові хрестини, і елегантно та побожно парадую сходовою кліткою.

2.

– Ну що там, Зосю? Вже йдемо?

– А ти вівтарик прикрасив, що збираєшся йти?

– То не Ямьолка була з образом? З ким то ти там знову торохтіла?

– Пияк якийсь, ясно, що до Бурдельової. Двері переплута. Не вперше і не востаннє.

– А хай би вона згоріла з тим шалманом, трясця її матері! Бачить Бог, урветься мені терпець, сам колись піду в поліцію, хай йому грець!

– Розслабся, нікуди ти не підеш! Лягави у нею горілкою затоварюються, і що ти зробиш?

– Ти хочеш сказати, що ми до смерті будемо з нею жертися?

– До смерті? Та певно! Тільки, не знати чиєї.

– Чорти цю бичку принесли! Вона з пекла не вилізе!

І стільки ж ненависті в тій падлі, що один дідько знає! Кожного з болотом змішає, на кожного наскочить, отрутою в очі наплює, і нікого ж не боїться! Тільки наліво-направо усіх обмовляє.

– Бо за нею рускі стоять. Водяру тягнуть, куриво без акцизу, то кого їй боятися? Пальцем ворухне, і зразу ж бензопилою ноги порівняють кому треба.

– Та яке там! Гавкуча баба-хамка, та й усього!

– Може так, а може й ні, але ти з нею, Едек, стережися. Пащекуєш до неї, пащекуєш, то дограєшся, що вона на тебе напустить бандюків.

– Нехай тільки спробує! Вона ж знає, що мене бити – ніякої користі. Вони що, відлупцюють злидня, лиш би бабі смердючій догодити?

– Оті рускі дикунки непередбачувані, для них людина – ніщо. Згадай, що отой Сталін виробляв, сволота. Сто чи тисяча, все лиш гарматне м'ясо. Рускі так навчені.

– Але ж нині пісний той суп, Зосю. Що, у нас все так зле? Дай до нього бодай шматок хліба.

– Тішся, що взагалі є суп. Малий нині марудний, певно йому зуби ползли. Весь час кулачки до рота тягне. На друге за покуту обгризеш костюмачу з гірчицею.

– За покуту? А що я тобі зробив?

– За покуту, що мушу вівтарики прикрашати! За покуту, що будеш мені тут розводити побожність, смердюху! Ті образки мені потрібні тут, як мертвому кадило! Може ще новени будеш читати, ектенії правити, га! Все то як чиряк на сраці в цій дірі. Хочеш святкувати у хліві? То без мене!

– Стережися, жінко, щоб кара на тебе не спала.

Таке гавкотіння може не сподобатися Пресвятій Богородиці. Хто знає, де би ти нині була, якби не вона! Ти ж зойкала перед її вівтариком у церкви? Вже забула? Як тебе прогнав той мудац, за котрим ти дівкою сохла? Прогнав! А завдяки Пресвятій Діві Марії маєш мужа, котрий тебе шанує! Маєш? То цілуй це, жінко! Бо тепер мені навіть тієї кістки з гірчицею розхотілося, як тебе послухав. Ніби порядна з тебе дружина, матір зразкова, але, чорт забирай, не можу зрозуміти, звідки в тобі стільки відрази до віри та звичаїв? Ще ж не так давно ти відпускала малу до "Оазиса", пакувала її на молитовні медитації, куди то все поділося? Ти не могла нею натішитися, що така порядна дитина, а тепер?

– Тільки й навчили її оті табори, що перший стрічний кретин зробив їй дитину! Якби вона була, як усі дівчата, то бодай би знала, що можна, а що ні! – Знову починаєш? Схожу я краще в крамничку по свічки. Поклади яку скатертину на комоді біля телевізора. Квіти розстав. Певно, не треба тобі пояснювати, що і як?

– Іди, святий чоловіче! Іди, тільки не забудь повернутися. Я ж тебе добре знаю, ти зразу поставиш свічку в придорожно пляшку. Ти мене не вчи, що

я маю покласти, а що попросувати. Господар, бач, знайшовся! І пам'ятай, що через годину Ямьолки принесуть тобі той твій образ. Вже намолишся за все життя! Може ще костюм тобі приготувати і краватку? Як свято, то свято!

– Не блюзнір, жінко, не блюзнір. Вже краще послухати жебрачок під церквою, ніж тебе.

3.

– Слава Ісусу Христу та Пресвятій Діві Марії, пані Зосю.

– Слава навіки, пані Ямьолкова, прошу, прошу. Образ несіть у велику кімнату. Поставте, пане Ямьолек, там праворуч.

– На той комод? Тут, де біла скатертину?

– Так. Едек скоро принесе свічки. Пізно спохопився, бо з Бурдельовою зчепився під будинком, але може от-от прийде.

– Ви, пані Зосю, добрячий клопіт маєте з тою бабою! Ви через неї, певно, просто в рай підете. Цілу добу мусите слухати той грюкіт. З Вашою хворобою, то страх Божий! І ще той образ! Треба ж так, щоб Вам випало саме їй його передавати! Та ж то бабисько ні на копійку стида не має! Записалася, бач, щоб і в неї образ побув! А вмирати вона не збирається?! Ганьба одна з тим її гадючником!

– І я так думаю, пані Ямьолкова, то нас уже дві. Тільки що з того, коли священник скаже мені, що Бог іншою міркою міряє? Я ж проста жінка, а не Господь Бог. Але я нізащо не понесу до неї образу на зневагу. Бо тоді хіба тим образом вперішу її по масній морді. Нехай Едек несе.

– Несповідимі шляхи Господні. Свята правда Ваша, пані Зосю. Бога підняти не слід, але, може, Пресвята Діва Марія заступиться за нас? Може виблагаємо в її сумного лику на цьому образі? Може грім поб'є той клятий притон? Сама не знаю.

– Та про що Ви? Будемо молитися за спад попиту на водяру! Пані Ямьолкова, Ви така добра, а така наївна. – Але покажімо, бодай "Богородице, Діво, радуйся". З нагоди передачі образу та щоб збулися наші відомі прохання. Казеку, поставив образ? Відкрив святий лик? Клякай тут із нами. Во ім'я Отця і Сина...

І Духа Святого мало для того пияка. Замкнули двері та залишили мене тут, ніби я про це просила. Але так мені й треба. Як не змогла відмовитися, то кому тепер скаржитися? Пияка немає, немає і шматка свічки, чотки теж, певно, десь запропастилися. Зрештою, я й так забула, як із ними слід молитися. Ображаєшся? Знаєш, насправді ти навіть не можеш мені чимось дорікнути. Вибач, але я тебе не запрошувала. Давай поговоримо щиро, як є нагода: без блискіток, без "Радуйся, Маріє", без вибачень, бо я не маю сили вибачитися за будь-що...

– Зосю моя кохана! Ти чекаєш? На мужа чекаєш?

Ти ж моя єдина кохана.

– Твоя єдина кохана гуде в тебе в голові та дурниці меле, нікчемо.

– Ти свята жінка! Все правильно. А я лайдак!

Кінчений лайдак! Інша би мене давно з хати вигнала! Стовокла би морду, на сміх людям, а псам на потіху, і в смітник! Але не моя Зося, не моя ангел-жінка! – Забери свої лапи, падлюко! Не треба мене слинити. Свічки приніс?

– Приніс, ясно! Для тебе все, що скажеш, хоч неба тобі прихило, зіронько моя.

– Навіки вічні вистачить мені того раю з тобою.

А нині небо саме прийшло до тебе, стоїть на комоді й тужить. Але ж ти і небо проп'єш, лайдаку!

– Мене жінка вимолить, одна за двох, моя голубка.

– Я тебе про це просила! Місяць ти мені виспівував про образ, а як його принесли, то що? Я мусила в Сірка очей позичити, і сама замість тебе той образ прийняти! Прикривала і боронила, як усе життя! Вони й так, напевно, знають, що ти до цього образу рвешся, як до обітниць тверезості в серпні!

– Та добре вже, Зосю! Такий день – це подвійне свято!

Тебе навідала Пресвята Богородиця, а я зустрів Владека. Розумієш? У нього син народився, такий син! Як добрячий щупак! Отакої довжини!

– Син?! Йолопе! Який син?!

– Еге! Отакий! Як щупак, кажу. Скільки ж мені повторювати? Я пив, чи ти?

– Який син, дурню? Владекові під сімдесят! А ти, розтелепо, сином його нагороджуєш? В його онук народився, придурку! Аська народила йому онука! – Син, онук... яка різниця, Зосю? Тішитися треба, що на одні штани вдома побільшало, що Владек має онука, я маю онука, Зенек має онука. Велика радість на все місто! А, може, не радість? Може, війна буде, га? Бо як же це? Самі хлопці народжуються, і ні одної для них дірки?

– Вони вже собі дірку просвердлять в голові, водярою.

Гени успадкують від дідусів. Де наші свічки?

– Тут. Одна в лівій кишени, друга – в правій, а свічник сама собі витягни, тільки мені блискавкою не прищеми, хе-хе-хе.

– Свинюко ти така, що ти приніс! Якісь малі вони та круглі? Та ж то пахучі, гівняні дрібнички! Одна з корицею, а друга? Лимонна? В наші свічники то, певно, не поміститься. Мені їх обрізати, чи що?

– Владек мене заговорив. Він був такий щасливий, що я про запахи й кольори не думав, головне, треба було скинутися.

– Я тобі зараз скинуся! Полетиш зі сходів разом із тими свічками, як будеш мене далі злостити! Іди тепер, як ти такий мудрий, і запали ті свічки!

– Зосю, та заспокойся вже. Цілий день надворі, змерз, як пес, мушу лягти. Встану через годину, га? Небоже, щоб я напідпитку... нехай і з радості, але напідпитку... не буду хухати водярою на святий образ. Яюсь негоже.

– А дудлити гоже?! Я не хотіла цього образу, ти сам його притяг! І тепер не викручуйся, нікчемо! О, я добре знала, як виглядатиме твоє стояння на колінах!

– Тихо вже, жінко, тихо. Добра ти жінка, але дуже марудна. Маєш записане в Господа Бога, що прийняла під свій дах матір його сина. То нічого, що я тобі сказав, а ти й так, певно, довго молилася. Ти свята жона, і тобі належаться усі милості, а я що? Навіть без сповіді, та ще й пияк. Навіщо комусь моя молитва?

– А ніби я сповідалася? Теж не рахується.

– Ти, принаймні, горілки не пила.

– Ну, ясно! Бо тобі ж силою в пельку заливали, може, навіть через трубочку? Але запам'ятай: з тим образом сам підеш до Бурдельової! А я тобі посвічу свічкою із запахом кориці! Подивлюся на юдині поцілунки, як ти смиренно передаватимеш образ Пресвятої Діви

Марії! Подивлюся, як ти звиватимешся за покуту!
– Та добре вже, добре, Зосю! Тільки трохи полежу на канані. Посплю біля образу годинку, а потім разом помолимося. Та й віднесемо гідри образ.
– За годину? Яку годину! Образ несуть після обіду, але наступного дня!
– Так люди носять, ти права. Тільки я, Зосю, не сказав тобі про одну річ. Вона впросила мене на тій лавці, як

я вертався з роботи, щоб увечері їй образ принести. Коли ті пияки так не лазять, щоб сусіди не бачили. Врешті соромно їй стало, що мене бештала. Зм'якла, вибачилася і попросила по-сусідськи їй допомогти. Якось не випадало відмовити.
– Ех ти, балда! Стелешся перед нею, а завтра вона знову тобі задницю надере і пику об нас витре. Серце тобі зм'якло? Ото вона вже тебе накопає в сраку!

© Matthieu Cafsou



– Ти, Зосю, все вірно кажеш, але ж людині треба дати шанс, га?
– А вижлуктане море водяри, це як? Спущені в унітаз надії, мрії, автомобіль і будинок на селі?
– Не бухти вже, Зосю, спати хочеться. Від четвертої ранку на ногах. Якби водяри не треба було жлуктити, то я би її пальцем не торкнув.
– Та йди вже, йди! Є ти, чи нема, однакова пустка. Залишилися мені тільки хвороба і відчай.

4.
Бачиш? Потерпи вже до кінця! Сорому й крихти не має, паскуда! Волосся стирчить, як брудна солома зі стріхи, в кімнаті смердить водярою, аж млосно! Хропе, гарчить і сопе, як лісопилка. Любиш таких віруючих? Богомільних? Вибач. Я знаю. Я сама винна. Могла б хоч раз відмовити. Я не маю власної думки і розплачуюся за це. Я завжди даю себе обкрутити, а він робить, що хоче. Якби я сказала: ніяких образів, бо піду з дому, то може б він то все покинув? Може б не було цієї комедії? В житті на мене руку не підняв, ніколи не образив. То ж не його вина, що він одружився зі мною, як я любила іншого. Правда, то теж не моя вина, що він на мене око поклав і за моїми старими бігав. Знав, що від мене згоди не

дочекається. Ми стільки пережили, і де ж та любов? Мала би прийти. Мала би, мама обіцяла, що вона з часом прийде. Спочатку я до нього звикну, потім забуду про Мар'яна, і любов прийде, коли я буду дивитися на свою дочку разом з Едеком. Він буде щасливий, то і я знайду своє щастя. І що я маю з того рецепту? Санаторій зі спитим стервом? Але я брала шлюб, тепер нестиму покуту до смерті. За що? За те, що не викинула його на вулицю? Що не шпурнула йому слідом валізи? Навіщо тепер це робити? Я вже не людина, а руїна. Десять років тому заслабла на серце, очі вже не ті, виразка шлунка. То що, сидіти самій із онуком та й усе? Рахувати дні до повернення дочки з Іспанії? Гівняне життя! І не кажи мені, що я би мала клепати чотки обіч пліткарок із довгими вухами. Квокчуть одна до другої та облизуються, як побачать молодого панотця. Якби ти хоч раз передала через мікрофон їхні думки! Ото була би правдива помийниця лайок, заздрості й підлоти, чистилища на п'ятсот років було би їм мало. Та досить вже тої балаканини. Прикрию твоє святе обличчя, бо смородом тягне з дивана від того цапа. Велике святотатство було, що ти до нас втрапила. Цього вже занадто! Я не допущу, щоб той мій жалюгідний чоловік повертався до тебе сракою і

пердів. Вибач, і на прощання хай уже буде: "Радуйся, Маріє, Господь з Тобою. Благословенна ти між жінками..." навіть тепер товчуть у двері! Чуєш?
– Чого тобі тут треба, Валендзяку!
– Пробачте, пані Зося, але я від Бурдельової йду...
– Може, до Бурдельової? По водяру, як завжди...
– Ні. Я сюди по водяру не ходжу. Мені на горілку не вистачає. На мене таку покуту накладено, що не можу виносити з хати бабки на бухло, відривати від дітей і дружини.
– А я тут до чого?
– Та оце куриво скінчилося. Не хотів іти в нічну крамницю, коли в Бурдельової коштує майже наполовину дешевше.
– Але я тут до чого?
– Ну Ви ж маєте той образ, так?
– Який образ? Може вона тобі трави до того курива досипає?
– Але ж Ви маєте той образ? Себто, отой, із церкви, який по квартирах обносять.
– А... отой... ну маю, а що? Хочеш помолитися? Приходь уранці, зараз я вже замкнула.
– Помолитися? Я?! Пані Зося, та я так до молитви надаюся, як до телебачення. Бурдельова послала мене, щоб я їй образ приніс. Нібито тепер її черга, чи як?
– Сам образ не піде. Бурдельова прийде і забере! Я до неї ходити не збираюся.
– Ну, але ж ми в одному будинку, пані Зося, люба! Вона тому мене й послала, щоб я приніс їй той образ. Вже нині! Не хоче його бабисько носити, коли клієнти до неї стукають, правда ж?
– Що вона тобі за це обіцяла дати? Признайся, як на святій сповіді!
– Стид казати, але обіцяла руску пляшку. Навіть нуль сім, оригінальна "Столична", словом. Принесла зі сховку, поставила в прихожій, біля телефону. Як

тільки зайду з образом, беру пляшку.
– Знаєш, Валендзяку? Я би тобі охоче віддала образ. Замість дивитися вранці на її брехливе, жадібне рило, то краще вже тобою послужитися.
– Дякую, пані Зося!
– Але я тобі його не дам.
– Та в чому справа? Я від Вас просто холодний.
– Про покуту йдеться, Збишеку, про покуту! Я тій шльондрі не прошу. Мій чоловік – проста людина, ти ж його знаєш. Але він працьовитий, чесний і добрий, хоч і дурень.
– А він тут до чого? Певно, вже спить, і перш ніж очуняється, Бурдельова вже встигне екстенію перед образом прочитати.
– Занадто легко би то їй обійшлося. Вона йому щодня життя отрує, просто в очі обзиває, то нехай тепер сама прийде по образ. Поцілує мого чоловіка і йде собі з миром.
– Пані Зося! А моя горілка! Коли і де друга така okazія мені трапиться!
– Про це не турбуйся. Зі мною не втрапиш, це точно. Почекай тут хвилику, принесу тобі пляшку... і не якусь там руску картоплянку!
– Господи Ісусе! Справді? Дасте мені? На халяву?
– Тримай! Я багато би дала за покуту цієї шльондри! Добрячу горілку тобі даю, дочка привезла рік тому. Правдива "Фінляндія", літрова, а не якась там нуль сім. Не ображаєшся?
– Та Боже збав! Цілую ручки, пані Зося, я завжди казав, що Ви...
– Добре вже! Не кади мені тут, не треба! Буде мені тут руки слинити. Іди й не гріши більше!

[Переклад: Андрій Павлишин]

JACEK WANGIN (1969, Polska) – prozaik, absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Autor zbioru opowiadań *Gdy wrony zawrócą* (2003) i powieści *Lucka rzecz* (2007). Prowadzi bloga – wangin.blog.pl. Mieszka w Gdańsku.

JACEK WANGIN (1969, Polen) – Prosaiker, Absolvent der polnischen Philologie an der Universität Danzig. Autor der Erzählensammlung *Wenn die Krähen umkehren* (2003) und des Romans *Luceks Sache* (2007). Führt seinen Blog: wangin.blog.pl. Er wohnt in Danzig.

ЯЦЕК ВАНГІН (1969, Польща) – прозаїк, випускник польської філології Гданського університету. Автор збірки оповідань *Коли ворони повернуть назад* (2003) та роману *Люцка річ* (2007). Веде блог wangin.blog.pl. Живе у Гданську.



© Dorota Gawryszewska

**Geh, aber
vergiss nur nicht
zurückzukommen.**



WYDAWCA / HERAUSGEBER / ВИДАВЕЦЬ



In Zusammenarbeit mit
We współpracy z
У співпраці з

prohelvetia

Allianz
Kulturstiftung 

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**